

Powoli przez gęstą mgłę bólu, w mękę kobiety wkraść się smutek. Powróciło poczucie kompletnej beznadziejności. Jej ciemne oczy rozszerzyły się, przypatrując badawczo pięknie urządzonego pokojowi. Patrzyła na dębowy kredens - owalne lustro oprawne w srebrne ramy odbiło jej spojrzenie, zmuszając leżącą do opadnięcia na poduszki.

W zwierciadle ujrzała wiedźmę. Twarz czterdziestoletniej arystokratki, przedtem piękna, teraz naznaczona była piętnem męczarni. Niegdyś pełne, czerwone usta, tworzyły teraz wąską, bladą linię, zęby przygryzały do krwi dolną wargę. Zmusiła się do ponownego spojrzenia, bo i tak nie dbała o swój wygląd, w każdym razie nie teraz.

Zdawała sobie sprawę, że prześcieradło, na którym leży, jest mokre. Każdy ruch powodował, że głośno łapała powietrze - tak wielki był ból niezagojonego po porodzie łona. Jej ciało wciąż krwawiło, kobieta lekceważyła to.

Gdzie jest Macaulay ze swym kłaczkowatym zarostem i nienawistnym, przenikliwym spojrzeniem szarych oczu. Odszedł, dzięki Bogu; drwiłby tylko z niej. W jej uszach wciąż dźwięczały jego szyderstwa. Słyszając je straciła przytomność, gdy dziecko już się urodziło. Nie dawały jej spokoju nawet we śnie. "To dziewczucha, mój panie. Lecz nie martw się - jest martwa!"

Mąż Marie, pan na Ulver, stojąc za plecami doktora, wykrzywił w szyderczym grymasie swą posępną twarz. Niepomny męczarni rodzącej i jej krzyków, zachowywał się nikczemnie. Przypominał wodza, który, przekonany o przewadze swych wojsk, oczekuje wieści z pola bitwy.

Do świadomości Marie przenikały mimo bólu słowa męża: "Chłopca! Kobieto, daj mi chłopca, abym miał wreszcie syna, dziedzica. Zawiodłaś mnie już cztery razy. Jeśli to znowu dziewczucha, niech zginie! Bezwartościowa suka!"

Dziecko zostało poczęte w bezuczuciowym, prawie mechanicznym akcie, który był jej obowiązkiem, a jego - prawem. Od momentu narodzin pierwszej córki Lord Ul-ver gardził swą żoną.

Nocny rytuał ciągnął się miesiącami - przychodził do jej pokoju cuchnąc wiejskimi dziwkami i przymuszał do wstrętnych pieszczot. Żądał od niej chłopca. Teraz chwila zwycięstwa lub zguby była bliska - ale nawet on nie miał na to wpływu.

- Jest martwe, mój panie.

Marie usłyszała wściekły głos męża i zaczęła spadać w czarną otchłań bez dna. Głuchy odgłos przypawił ją o mdłości - coś stoczyło się z łóżka i uderzyło o podłogę. Potem nie słyszała już nic, prócz niezrozumiałych szeptów Macaulay'a, jakby ścigał na jej głowę przekleństwo, żeby uchronić Lorda Ulvera przed jeszcze jednym zawodem.

Teraz obaj odeszli. Macaulay do swoich trunków, Ul-ver do chichoczących, rozpasanych dziwek, które swoimi chorobami okradały go z lat życia. Marie uniosła się na łokciach walcząc z zawrotem głowy. "Gdzie jest moje dziecko? Jest martwe? Nie, nie, chcę je ukołysać, dać mu piersi do ssania. Nie może być martwe!"

Przez wielkie okno wdarło się światło późnego, zimowego dnia. Morska mgła po omacku dotykała szyb, próbując dostać się do środka. Marie rozpoznawała kształty mebli - wysokie krzesło z oparciem rzeźbionym w łby wilków; warczące, otwarte pyski, drewniane drapieżniki szukały żeru. "Daj nam swoje dziecko, kobieto, żyjemy się padliną^czekamy na ciało twego dziecka."

"Nie!" Ścisnęła kurczowo kotarę łóża z baldachimem, szarpnęła ją i wychyliła się na bok. Na podłodze leżało zawiniątko. Jutowy worek okrywał mały, nieruchomy kształt. Drobnie, nieżywe ramiona z desperacją wyciągały się ku życiu. Za późno. Woń krwi i wód płodowych. Wyrok śmierci został wydany i wykonany, zanim dziecko przyszło na świat.

Marie patrzyła z przerażeniem i próbowała dosięgnąć zawiniątka, wierząc, że mogłaby wrócić życie swemu dziecku. Osunęła się na krawędź łóża; zrobiło jej się niedobrze. Spróbowała zwymiotować. Chciała umrzeć, lecz śmierć wzgardziła nią tak, jak doktor Macaulay i pan Ulveru.

Jakiś czas później, długo po tym, jak ciemność skryła kształt na podłodze, dźwignęła się z powrotem na łóżko i leżała, utkwivszy wzrok w suficie. Bogate płaskorzeźby rzuciły na nią z góry groźne spojrzenia: anioły z milczącymi harfami, rzeźbione słońca z promieniami jak macki żarłocznej ośmiornicy, które zacisnęłyby się na niej, gdyby mogły uwolnić się z kasetonów sufitu. Czuła zło, wilgotny chłód i odór śmierci.

Jej nienawiść znowu rozgorzała, wzbierając jak nabrzmiewający wrzód. Na dole, w ogromnej, udekorowanej chorągwiami sali, ścianę zdobił herb Ulverów - tarcza z ostrymi sztyletami. Posiadłości nadał im Jakub VI. Drgnęła. Uniosła ramię wolnym ruchem, zatapiając wyimaginowany nóż w ciele swego prześladowcy. Rozbrzmiewający w jej umyśle krzyk Lorda był dla niej słodką muzyką. Rozbudzona wyobraźnia Marie pracowała nadal - cisnęła teraz trupa w dół po schodach, raniła i wywlekała wnętrzności, tak jak robił to John, myśliwy, gdy upolował na wzgórzu jelenia. Ciało Lorda drżało i szarpało się, ale były to tylko pośmiertne drgawki. Zerwała z niego ubranie, śmiejąc się opętańczo, gdy jej sztylet zagłębiał się raz za razem w krwawych zwłokach. Kpiła z wioskowych dziewczuch, które już nigdy więcej nie zaznają rozkoszy z królewskim buhajem.

Marie powoli wracała do rzeczywistości. Przecież nigdy tak nie będzie. Zanim jej łono się zagoi, on przyjdzie do niej znowu. Będzie się rozkoszował zadawaniem jej bólu, będzie ją karał, ponieważ nie dała mu dziedzica Ulveru, ziemi i wysp wzdłuż wybrzeża.

Ktoś nadchodził. Skuliła się, naciągnęła na siebie prześcieradło i udawała, że śpi. Słyszała szybkie, lekkie kroki. To nie był Macaulay, ani jej mąż. Drzwi otworzyły się i światło rozkołysanej latarni rozświetliło pokój. Przez przymrużone powieki zobaczyła twarze, których widok dał jej chwilowe zapomnienie o nienawiści i strachu. Ulga.

- Matko - najstarsza z czterech dziewcząt, ciemnowłosa, niespełna dwudziestoletnia, uśmiechnęła się drżącymi wargami - matko, słyszałyśmy...

- Tak, to prawda - Marie wyszeptala chrapliwie - to była dziewczynka. Była przeklęta, nim przyszła na świat, urodziła się martwa. Gdyby to był chłopiec przeżyłby.

Zapanowała niespokojna cisza, podczas której Marie patrzyła na swoje córki. Mary, osiemnastoletnia, trzymała w górze latarnię. Elizabeth, rok młodsza, miała długie piękne włosy. Jej narodziny rozświeciły Lorda - nie była chłopcem.

Szesnastoletnią Margaret, z blyszczącymi, kasztanowymi lokami, które opadały, wijąc się, na ramiona - od ślepego gniewu ojca uchronił lekarz. Po jej narodzeniu Marie wydawało się, że jest już bezpłodna. Pięć lat conoc-nych prawie mąk, zanim narodziła się Edith. Miesiące trwogi, i niechęć lorda odrodziła się na nowo - wraz z następną córką. Edith, ponura, o złośliwym usposobieniu, często dostawała ataków hysterii - wrzeszczała, jeśli nie pozwalano jej czegoś zrobić. Cztery córki. I piąta -

martwa na podłodze.

Mary domknęła drzwi. Przez kilka sekund nasłuchiwały, jakby bały się, że ktoś je podsłuchuje. Spoglądały na siebie i na matkę, ale nie dostrzegły leżącego na podłodze, ukrytego w cieniu, kształtu.

- Matko - Mary postąpiła krok naprzód, a pozostałe dziewczęta skupiły się wokół niej. - Opuścimy Ul-ver, gdy tylko będziesz się czuła wystarczająco dobrze, by móc jechać. Zrobimy to skrycie, w nocy. Rozmawiałam ze stajennym, przygotuje pięć osiodłanych koni, gotowych do drogi, gdy tylko damy mu znak. Potem musimy pędzić, jakby nas diabeł gonił. Na południe do Anglii - tam będziemy błagać o zmiłowanie księcia Cumberland. Nawet jeśli jego żołnierze nas zabiją, nie będzie to gorsze, niż pozostanie tutaj.

- Jesteś szalona, dziewczyno!

- Nie ja, to nasz ojciec jest szalony. Jego gniew jest ślepy, nikt go nie opanuje. Słuchałyśmy jego szaleńcych  
10

bredzeń: zabije nas wszystkie i uwolni Ulver od tych przeklętych kobiet, jak mówi.

Marie wyraźnie zdrząła, wiedząc, że jej najstarsza córka mówi prawdę.

- Przez jakiś czas nie będę się czuła wystarczająco dobrze - jej głos drżał. - Mary, musicie jechać beze mnie, ruszajcie drogą wzdłuż wybrzeża i...

- Nie, matko - dziewczyna potrząsnęła głową - nie zostawimy cię. Gdyby ojciec zobaczył, że uciekłyśmy, twój los byłby jeszcze gorszy. Będziemy czekać. I modlić się.

- Więc niech tak będzie. Ale tymczasem musicie trzymać się od niego z daleka. Krążą pogłoski, że Anglicy chcą odszukać księcia, stoczyć z nim bitwę i rozgromić wszystkich, którzy go popierają. Przed nami straszne czasy. Wszyscy jesteśmy wierni naszemu umiłowanemu Karolowi - zniżyła głos do szeptu - ale wasz ojciec powiedział kiedyś, że jeżeli to ma oznaczać panowanie angielskie na jego ziemiach, zdradzi swego krewniaka - pogardliwie skrzywiła wargi.

- Więc jest zdracą - Elizabeth splunęła - i zasługuje na śmierć!

- Tak, to prawda - odrzekła matka - ale my umrzemy wcześniej. Módlmy się, żebym wyzdrowiała i żebyśmy wkrótce mogli wyruszyć.

## Rozdział II

Krematorium było przeraźliwie sterylne, bezdusnie obojętne wobec rozpacz. Wysoki mężczyzna stał pochylony w pierwszej ławce przestronnej, jasnej kaplicy. Miał szarą twarz, a ciemne włosy - przetykane siwizną. Silny, załamany mężczyzna - jedyna postać poza ostentacyjnie nieczułym księdzem, który recytował modlitwy tak, jakby wcześniej umówił się na ważne spotkanie, a ta postać była dlań niemożliwą do uniknięcia przykrością, której końca nie mógł się doczekać. Żalobnicy niepokoił się. Może mieli ochotę na papierosa - ukradkiem spoglądali na zegarki, a wreszcie któryś z nich odkaslnął, co było zapewne sygnałem zniecierpliwienia adresowanym do duchownego.

Zimny, choć skąpany w słońcu, jesienny dzień. Betonowe ścieżki na zewnątrz pokryte były opadłymi liśćmi;

promienie słońca wpadały przez wielkie okna igrając na błyszczącej trumnie. Frank Ingram poczuł nagły przyływ oburzenia: w całej tej uroczystości nie było ani krzty uczuć - prócz jego własnych. Dla innych była to tylko rutyna, interes, sposób zarobienia pieniędzy - na nieszczęście innych. Piętnaście minut - i to wszystko. Frank zdawał sobie sprawę, że na zewnątrz czeka następny orszak, słychać było czyjś szloch. Następna śmierć; i jeszcze jedna. Proszę zając kolejkę.

Nie był człowiekiem religijnym - w przeciwieństwie do innych farmerów ze wzgórz - ale w jego przekonaniu pogrzeby kościelne miały pewien rodzaj dostojności, którego tutaj nie mógł odnaleźć. Czuło się tam czyjaś troskę - ale być może to jedynie kwestia lepszego aktorstwa. Nie pogania się nikogo, pozwala się do woli wyżalić, a gdy ciało zostanie już pogrzebane - coś zostaje. To tylko grób, ale można tam chodzić, opiekować się nim, uronić parę łez. Tutaj nie zostawało nic - podpisa-

12

na kasetka z popiołami, które trzeba zabrać i gdzieś rozsypać. Popioły do popiołów, proch do prochu. Wiatr i deszcz zniszczą wszystkie ślady. Gillian odeszła na zawsze.

Tydzień temu kochali się po lunchu. Beztroska miłość, bardziej chyba fizyczna niż zmysłowa - oboje po prostu potrzebowali tego. Kochali się na sofie w holu, ignorując dzwonek telefonu. Potem ubrali się pośpiesznie - pożądanie zostało zaspokojone. On wyszedł, żeby skończyć pracę w polu, a ona wzięwszy samochód, pojechała do miasta po kawę. Robiąc ostatnio zakupy zapomniała o niej. Przez ten tydzień mogliby przecież pić herbatę, naprawdę nie było powodu, żeby jechała. O Boże, gdyby stało się inaczej!

Wąskie, kręte drogi - każdy, kto jechał tędy szybciej niż 25 mil na godzinę, był głupcem. A chłopak Jonesów był głupcem - prowadząc czterdziestką Volvo swojego ojca. Stało się to na zakręcie, tuż za formą Gwyther'ów. Gillian zginęła na miejscu; trzeba było ciąć blachę, żeby wydostać jej ciało. Młody Jones uderzył się w głowę, zabrano go do szpitala, ale wyszedł stamtąd jeszcze tego samego dnia. Jego Volvo wymagało niewielkiej naprawy. Za tydzień lub dwa bękart będzie znowu szalał po drogach. Niewinny zginął, a winny żyje - zawsze tak było.

Frank zastanawiał się, czy rodzina byłaby dla niego pociechą w tym okropnym dniu. Nie dzieci - on i Gillian nie chcieli dzieci - może rodzice albo teściowie. Ale żadne z nich nie miało żyjących rodziców, ani braci, ani sióstr. Gillian miała tylko kuzynkę, od której nie dostali nawet kartki na Boże Narodzenie, i która nie zadała sobie trudu, żeby się dziś pokazać. Był sam, nie tylko dziś, ale i każdego dnia.

Kotary zasunęły się automatycznie, zakrywając trumnę. I to był koniec. Grabarze pracowali, nie ukrywając pośpiechu. Zerkali na niego, jakby chcieli powiedzieć: "No ruszaj się pan, idź już, nie mamy tyle czasu, inni czekają". Frank poskromił gniewne spojrzenie. "Chcą tu pozostać, dranie - myślą - spróbujcie mnie tylko powstrzymać!"

Wolno ruszył, jakby jego ciało nagle sparaliżował ar-tretyzm. Wyszedł na zewnątrz. Liście wirowały wokół je-

13

go stóp, jak gdyby chciały go zatrzymać, gdy podążał w stronę parkingu. Miał kłopot z odnalezieniem swojego starego Landrovera, jakaś psychiczna blokada - podświadomie szukał metro, nie mogąc uwierzyć, że ten samochód również odszedł na zawsze. Razem z Gillian.

Zapalił motor. Świeży powiew wiatru poniosł chmurę gryzących spalin w kierunku kaplicy. Brudny, stary, roboczy wóz; z tyłu pół beli siana, siano na siedzeniu i na podłodze. Niezbyt dostojny wóz żalobny, lecz któż by zwrócił na to uwagę? Wszyscy byli tu

pochłonięci przez swoje własne smutki. Przez głowę przebiegały mu szybkie myśli; jedna z nich bardzo go niepokoiła: czy spalili ciało od razu po obrzędzie, czy później? Dręczyła go też kwestia: czy na pewno wziął właściwe prochy? Nikt zbytnio się o to nie troszczył. Nikt nie mógł być pewny. Ale czy to ma znaczenie?

Wszystko to zdarzyło się zeszłej jesieni. Potem przyszła zima - Frank ledwie zauważył jej nadejście. Była łagodna, przynajmniej tutaj na wzgórzach, tyśiąc stóp nad poziomem morza. W końcu stycznia gruba warstwa śniegu stopniała w parę dni i nadeszła wiosna. Myśli Franka, jak zwykle o tej porze roku, skierowały się ku owcom. Ale nie miał motywacji, by wziąć się do pracy, nikt prócz niego nie dbał o to. Więc czemuż, u diabła, się martwić?

W kwietniu Frank Ingram postanowił sprzedać Guilden Farm. Ta myśl chodziła mu po głowie od pogrzebu Gillian. Przez długie tygodnie wszystko było dla niego zbyt trudne, raczej wegetował niż żył. Zrobił duży zapas żywności i, kiedy był głodny, jadł prowizoryczne posiłki. Miał ochotę się stąd ruszyć, ale wciąż to odkładał. Później, może za rok, za dwa?

W kwietniu Guilden zaczęło mu działać na nerwy. Było bolesnym wspomnieniem o szczęśliwych czasach. Być może gdzie indziej, daleko stąd, łatwiej byłoby zacząć nowe życie. Nie zapomniałby, to pewne, ale może pamięć byłaby mniej bolesna?

Musiałaby to być farma - bo przecież musiał pracować na życie, a nie znał się na ni-

14

czym, prócz gospodarstwa. Nowa grządka w innym miejscu - spodobała mu się ta myśl.

- Radziłbym panu licytację - pan Hay z kancelarii Hay and Heller był mile zaskoczony, gdy Frank zgłosił się w jego biurze - jeśli pan naprawdę chce sprzedać Guilden, to tylko licytacja.

- Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie chciał - warknął Frank z irytacją - bez problemu można za to wziąć 40 tysięcy. Sprzedają inwentarza i maszyn pan się zajmie.

- Jak pan sobie życzy - Hay szperał w wielkiej stercie papierów na biurku - niewątpliwie chciałby pan kupić coś innego, panie Ingram. Może jakiś odosobniony bungalow?

- Nic w tej okolicy - w głosie Franka było więcej urazy niż irytacji - znajdę to, czego szukam. Proszę zostawić to mnie.

- Proszę bardzo - Hay szurnął krzesłem - nasz rzeczoznawca obejrzy Guilden jeszcze w tym tygodniu, panie Ingram. Do widzenia!

Tego wieczora Frank leniwie przeglądał pismo dla farmerów. Nie czytał go, nie mógł się skoncentrować. Przerzucał jedynie strony, nigdzie nie zatrzymując wzroku. Spoglądał na zdjęcia, na krzykliwe reklamy, aż dostrzegł rubrykę "posiadłości na sprzedaż". Małe ogłoszenie zwróciło jego uwagę, zmusiło go do przeczytania raz i jeszcze raz...

NA SPRZEDAŻ. Wyspa w Szkocji, zachodnie wybrzeże, 3000 akrów. 3-pokojowy dom do remontu. Zabudowania gospodarcze. 48000 funtów. Zgłoszenia - agencja Mc Bannon i Brown, Edynburg.

Frank wyprężył się, puls bił mu coraz szybciej. Farma na wyspie, na zachodnim wybrzeżu, za grosze. No, oczywiście za grosze w porównaniu z cenami ziemi na południu. Czterdzieści tysięcy za Guilden, następne tyle za inwentarz i maszyny. Zdawał się nie pamiętać przestrogi rzeczoznawcy, że będzie to „bardzo znaczna suma”, jak na miejsce, w którym niedawno zdarzył się wypadek. Nie,

15

nie brał tego pod uwagę; nie można przeliczać na pieniądze życia kochanej osoby. Tak czy owak, zysków ze sprzedaży farmy chyba wystarczy, żeby kupić wyspę Ul-ver. Logicznie myśląc, była to beznadziejna lokata kapitału; nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby kupować odległej, wystawionej na wiatry wyspy. Chyba, że zależało mu na samotności.

Wyobraził sobie to miejsce: płaska pokryta trawą ziemia bez żadnego drzewa w zasięgu wzroku; bijące w skalisty brzeg fale, i on sam - walczący z potęgą ryczących zachodnich wiatrów, z deszczem i śniegiem tnącymi jego twarz. Zerwana linia energetyczna, zepsuty telefon... Siedzieliby przy ogniu, słuchając wiatru uderzającego w okna - zupełnie jak Jake, jego szkocki owczarek. Zabierze ze sobą Jake'a; nic nie wart jest człowiek, który sprzedaje swojego psa razem z inwentarzem. Frank wiedział, że będzie tam ciężko, jeszcze ciężej niż zimą na wzgórzach. Będzie żył jak pustelnik. Nęciła go możliwość spędzenia w ten sposób reszty życia. Wiedział już, że pierwszą rzeczą, którą zrobi jutro rano, będzie telefon do Edynburga. Choćby po to, żeby uspokoić sumienie. Prawdopodobnie wyspa była już sprzedana.

Okazało się, że nie była.

Był maj, choć przypadkowy obserwator stwierdziłby z pewnością, że to listopad. Gęsta mgła zmniejszyła widoczność do dwustu jardów; nisko nad ziemią wisiały ciężkie, szare chmury. Fale uderzały w malutkie molo, usiłując zamienić je w stertę luźnych desek. Stojąca u pomostu łódka szarpała cumę, jakby chciała zerwać się z uwięzi. Nie było wiadomo, czy łódź pocztowa wyruszy dziś w morze. Wszystko zależało od kapitana portu.

Stojący na nabrzeżu Frank zaczynał wątpić w sens swojego przedsięwzięcia. Jeżeli ta cholerna wyspa jest sprzedana, może zerwać się z haczyka, na który złapał go los. Nie było ucieczki. Choć, oczywiście miejsce mogło nie być właściwe: jeżeli okaże się, że dom na wyspie jest w ruinie, mogą zacząć się poważne kłopoty. "Nie mam pie-

16

niędzy i, jeśli nie da się tam mieszkać, to koniec" - myślał. Wymówki. Przecież przyjechał tu z daleka i musi choćby rzucić okiem. Może wtedy uciszy swoje sumienie.

- Płyniemy - siwy przewoźnik wrócił. Wyglądał jak duch w swoim żółtym, nieprzemakalnym sztormiaku z kapturem osłaniającym pomarszczoną twarz. - Niech pan wsiada do łodzi.

Frank był zaskoczony, że na promie nie ma nikogo, prócz dwóch ludzi z obsługi, wypchanych toreb pocztowych i skrzynek z żywnością w kabinie.

W dziesięć minut później prom przedzierał się przez fale, powoli posuwając się naprzód.

- Przy tej pogodzie będziemy płynąć dwie, może trzy godziny. - Szyper siłował się z drzwiami kabiny. Przyglądał się Frankowi z podejrzliwością, niemal wrogo. - Ulver, co? Nie zawijaliśmy tam już dwa lata, mimo że latem morze było jak staw. Kilku turystów chciało się dostać na wyspę. Przekłęci głupcy, nie zostali tam dłużej niż dziesięć minut. Nikt nie zatrzymuje się na Ulver.

- Dlaczego? - Frank poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

- Ulver to złe miejsce. Zawsze takie było. Dlatego nikt go nie chce. Próbuje sprzedać wyspę od 1948. Nikt tam nie mieszkał od tego czasu.

- Ale ktoś kiedyś tam mieszkał - Frank zauważył, że szyper starannie unika wzroku sternika.

- Tak! - odchrząknął ponuro. - Kiedyś tam mieszkali. Ale po czterdziestym ósmym już nikt.

- Kto tam mieszkał? - Frank pomyślał z irytacją, że stary nie powinien o tym wspominać, jeśli dokładnie nie wie.

- Greenwoodowie. Kupili tę wyspę na próbę i żyli tam w czasie wojny.

- I po wojnie wyjechali?

- Nie - przewoźnik uparcie wpatrywał się w smagane deszczem okno kabiny.

- Dlaczego wyjechali?! - Frank krzyczał nie tylko dlatego, że morze ryczało wściekle.

2 - Wyspa

17

- Oni nie wyjechali - słowa były ledwo słyszalne. - Oni umarli. Frank poczuł, że lodowate ciarki znów przeszły mu po plecach.

- Byli starzy, nieprawdaż?

"Na litość boską! - myślał - muszę wiedzieć!"

- Byli młodzi, młodszy niż pan. A ona była naprawdę śliczna. Wpadła do morza i zabiła się o skały. Wskoczył za nią, ale kiedy morze jest takie jak dziś, nikt nie wychodzi z niego żywy. Pochłania, zgniata ciało na miazgę i kiedy fala powraca, wyrzuca to, co zostało na brzeg - mewom na pożarcie.

Frank zdał sobie sprawę, że nieświadomie z całej siły ścisnąca podtrzymujący sufit słup. Czuł lekkie nudności, nigdy przedtem nie odbywał morskich podróży. Szyper odwrócił się nagle, otworzył drzwi i wyszedł na pokład.

"Wypadek - pomyślał. To zwykły wypadek. Mogłoby się to zdarzyć każdemu, nawet mnie. Frankowi Ingramowi."

Zbliżali się do dużej, wyglądającej na gęsto zaludnioną, wyspy. Ludzie w sztormiakach pomogli im dobić do lądu, nie mogąc się doczekać poczty i zaopatrzenia. Potem prom ruszył w dalszą drogę; w pół godziny później byli u brzegu małej wysepki. Właśnie pojawił się pasterz z owczarkiem przy nodze. Wziął parę listów ściśniętych gumką i szamotał się ze skrzynką pełną żywności.

Teraz płyniemy prosto na Ulver - przewoźnik rzucił Frankowi oskarżycielskie spojrzenie spode łba. - Gdyby nie to, wracalibyśmy już na ląd. Pół godziny, dłużej nie będę czekał. Każda pańska minuta na łodzi wystawia nasze życie na niebezpieczeństwo. Nie przyplłynęlibyśmy tutaj, gdyby nie kapitan, dobrze pan wie.

Wyspa Ulver była duża; na pewno rozciągała się dalej, niż sięgał wzrok. Postrzępione skały wznosiły się nad spienionym morzem. W małej zatoczce fale rzucały łodzią na wszystkie strony. Drewniane molo wyglądało tak, jakby w każdej chwili miało się rozlecieć na kawałki. Nie bez trudności zacumowano łódź, i Frank, uchwyciwszy się poręczy, wyskoczył na brzeg.

- Pół godziny nie więcej! - przewoźnik wrzasnął za

18

nim - bo inaczej zostanie tu pan do wtorku. Ja nie spędziłbym nocy na Ulver nawet za roczną pensję!

Frank podążył wąską ścieżką w głąb lądu, zdziwiony, że teren jest tu zupełnie płaski. Trawa, zaskakująco zielona, rozrastała się swobodnie. Gdzieś tam rosły kępy wrzosu i jałowca. Były tu też karłowate srebrne brzozy, które jakoś oparły się ostrym zimom. Frank dostrzegł dom; jego kształt był zatarty. W szarym mroku wydawał się olbrzymi i groźny niczym forteca. Obejrzał się za siebie, ale już chwilę potem był zły, że o tym pomyślał. Psiakrew, cała ta podróż będzie kompletną stratą czasu, jeśli stchórzy. Musiał przynajmniej obejrzeć budynek i skłęk tego chorego faceta z promu.

Frank uśmiechnął się ponuro. Agenci mieli niewątpliwie rację w jednym punkcie - dom potrzebował remontu. W dachu ziały dziury, dwa okna na piętrze były wybite, mętne jak oczy- umarłego szyby zdawały się śledzić każdy jego ruch. Kamienne ściany były całe, ale ciągle deszcz i wiatr odarły je z tynku. Niektóre miejsca wymagały natychmiastowej naprawy.

Ogród nie było. Trawa zarastała. Ścieżka prowadziła do drzwi, z których płatami odpadała farba. Frank zawahał się. Instykt mówił mu, żeby wracał. Spojrzał na dom: solidna konstrukcja. Guilden też było w opłakanym stanie, kiedy się tam wprowadzał z Gillian. Wszystko zaczynało się od nowa. Tylko to go zachęcało; nie miał nikogo, kto podzieliłby z nim samotność w zniszczonym domu, kto dodałby mu otuchy, gdy wszystko zdawało się być zbyt trudne do udźwignięcia.

Klucz łatwo obracał się w zamku, ale drzwi były spaczony i musiał wypchnąć je ramieniem. Ciemne zakurzone wnętrze śmierdziało stęchlizną. I złem. "Wyobraźnia - powiedział sobie - ten przewoźnik załatwił mi za skórę, przeklęty facet".

Frank żałował, że nie wziął pochodni, bo gdy wcisnął przełącznik, światło się nie zapaliło. Nic dziwnego, że nie działa, generator jest pewnie wyłączony, albo - co bardziej prawdopodobne - zepsuty. Ruszył i zauważył, że

19

wciąż stały tu meble: stół grubo pokryty kurzem i kilka krzesel z prostymi oparciami. Na blacie stały talerze. Zadrżał odruchowo. Wyglądało to tak, jakby poprzedni mieszkańcy nagle wyszli, uciekając przed czymś niewidzialnym w panicznym strachu. Nie, przecież oni umarli, utopili się w morzu, ich ciała rozbiły się na miazgę o skały. Ta myśl wcale nie dodała mu otuchy. Może uciekli z domu, a potem biegli w ślepym strachu i woleli rzucić się do morza, niż być tu i stać twarzą w twarz...

"Na Boga, opamiętaj się, człowieku!"

Na ścianie wisiał telefon, masywny aparat, którego tarcza patrzyła na Franka, jak pojedyncze, niechętnie oko.

Cofnął się czując, że telefon mógłby nagle zadzwonić, ryknąć na niego, domagając się, żeby podniósł słuchawkę.

Szybko ruszył naprzód, pokonując schody. Nagie deski skrzypiały pod jego ciężarem. Powstrzymał chęć obejrzenia się za siebie. Mały podest miał troje położonych obok siebie drzwi. Otworzył najbliższe i zajrzał do sypialni. Ona też była

umeblowana: stało tam podwójne łóżko z rozrzuconymi prześcieradłami, które, postrzępione i nadgniłe, podarte były w pasy. Tak, jakby Greenwoodowie uciekli z łóżka w środku nocy i zbiegli ze schodów prosto w burzliwą noc. Teraz wiedział, że było to

całkiem bez sensu. Oblał się zimnym, lepkim potem. OK, oni umarli, utopili się - wypadek. Dlatego nie wrócili do domu, żeby pozmywać naczynia i pościelić łóżko. To było logiczne. Prawdopodobnie - tak jak i on - nie mieli rodziny, więc nikt nie pofatygował się na Ulver, żeby posprzątać dom. Albo, jeśli mieli krewnych, nie interesowało ich nic, prócz sprzedaży wyspy.

Przyległy pokój był pusty, a trzeci zawalony rupieciami - ponieważ nie było światła, nie wszedł tam i nie obejrzał go dokładnie.

Wracając po schodach, zmuszał się do tego, by nie biec. Gdzieś kiedyś czytał, że najlepiej oglądać posiadłość w niepogodny, zły dzień, bo wtedy widzi się ją jak najgorzej.

"Wyglądałaby o niebo lepiej, gdyby świeciło słońce" - zdecydował. Ten dom mógłby być całkiem przyjemny,

20

gdyby go odnowić, sprzątnąć, położyć świeżą farbę, ułożyć nowe dachówki i wstawić szyby w okna. Byłaby kolosalna różnica. Swoją drogą nie musiał przecież tego kupować. Przyjechał tylko rzucić okiem. Niektórzy ludzie oglądają tuziny domów, zanim jakiś kupią. Byli też tacy, dla których oglądanie posiadłości stanowiło hobby, robili to po to, żeby "mieć nosa".

Na zewnątrz zrobiło się jaśniej. Mgła zniknęła; Frank zobaczył całą wyspę i rozpoznał pomost, przy którym cumował prom.

Dzięki Bogu, nie odplynęli bez niego.

Przybudówki tworzyły z tyłu domu kwadrat, osłoniętą zagrodę, w której zimą chroniło się bydło. Drzwi opuszczonej stajni zwisały na jednym zawiasie. Słomiana podściółka przegniła, a gruba warstwa błota nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do tego, że nigdy nie wyschnie. Uświadomił sobie, że gospodarowanie tutaj to walka, wydzieranie jałowej ziemi środków do życia, pośród sztormu i zawieruchy. Wszystkie roboty, które musiały być wykonane, będzie zmuszony zrobić sam - nie było tu

żadnego sąsiada, który mógłby pomóc. Nie ma Gillian, która przygotowałaby obiad - przyjdzie przemoknięty i zziębnięty, i będzie musiał zabrać się za przygotowanie posiłku. Nikogo, kto dzieliłby z nim łóżko. Tylko praca i sen - ledwo wystarczający po wielkim wysiłku - czy to się powiedzie?

Frank zaczął iść z powrotem do łodzi, zatrzymał się tylko raz i spojrzął na opuszczony dom: ślepe okien, drzwi niczym usta, zdawały się uśmiechać. W tej chwili nie wyglądał złowieszco, ani też ponuro, był raczej wzruszający, błagał o towarzystwo, przyzywał go z powrotem.

Oglądał go w zły dzień i dlatego poddał się pierwszemu wrażeniu. Czterdzieści lat temu zdarzył się tu wypadek - dwoje ludzi utonęło. Wypadki zdarzają się codziennie, ludzie giną. Ale życie toczyło się dalej, nie mógł od niego uciec, choćby - nie wiadomo jak - próbował. Nawet tutaj. Miejsce wytchnienia, w którym mógłby ułożyć życie od nowa - w Guilden było zbyt wiele pamiątek. Odwrócił się i odszedł.

- Już po wszystkim? - przewoźnik chrząknął, gdy

21

Frank wspiął się na pokład. - Czy zobaczył pan wszystko, co chciał zobaczyć?

- Zobaczyłem - odpowiedział Frank - trzeba tu odwalić kawał roboty, ale można to doprowadzić do porządku.

- Nie Ulver - burknięcie spomiędzy skrzywionych warg - tu nie można żyć spokojnie. Nigdy tego nie sprzedali, już panu mówiłem. Przez ostatnie sto lat. Bo Ulver nie chce być sprzedane. Umarli chcą je zatrzymać dla siebie.

- Nonsens! - uciął Frank - dwoje ludzi utonęło 40 lat temu i z tego powodu nikt nie kupi wyspy? Ludzie umierają w domach na całym świecie i inni ludzie wprowadzają się do nich.

- Zrobi pan, co zechce - przewoźnik wzruszył ramionami i otworzył drzwi kabiny, zniecierpliwiony uporem pasażera. - Ale opowiem panu, choć może nie powinienem... - zawahał się i odwrócił wzrok - co zdarzyło się na wyspie dużo dawniej niż 40 lat temu!

W tym momencie ubrany w sztormiak człowiek nieoczekiwanie przerwał i wyszedł na pokład, jak gdyby pożałował swoich słów.

### Rozdział iii

Marie leżała w ciemności swojej sypialni. Nasłuchiwała, oczekując odgłosu kroków, z nadzieją, że będą to lekkie, szybkie kroki jej córki. Bała się, że zamiast tego usłyszy ciężkie stąpanie męża. Ale od trzech dni nikt do niej nie zajął, z wyjątkiem młodej dziewczyny, która przynosiła jej bulion i świeżą pościel.

Zdawało się, że Macaulay przestał się nią interesować. Dał jej lekarstwo, które miało pomóc w wygojeniu łona i nie pokazywał się już od pięciu dni. Podobnie jak mąż. Być może mieli nadzieję, że umrze i w ten sposób zostanie ukarana za to, że nie urodziła syna, dziedzica Ulveru.

O Boże, jak bardzo nienawidziła lorda, czasem nawet modliła się, żeby Anglicy rozgromili Szkotów pod Cullo-den. Jeśli ziemie Ulveru miałyby zostać rozgrabione, niech tak się stanie. Nie są potrzebne ani jej, ani jej córkom. Były tu prawdziwymi więźniami.

Dzisiaj po raz pierwszy chodziła, stawiała chwiejne kroki, raz omal nie zasłabła - ale szła. Jutro, jeśli Bóg pozwoli jej pozostać przy życiu, znów spróbuje i może za kilka dni będzie mogła dosiąść konia. Nocna ucieczka, mocno chwycone cugle i ciągłe oglądanie się za siebie w oczekiwaniu pogoni. Jeśli ludzie lorda ją dogonią, odbierze sobie życie, pchnie nożem we własną pierś i będzie drwił z nich, leżąc we krwi na posłaniu z wrzosów. Nigdy nie wróci do zamku w Ulver.

Nigdy nie zapomni tej nocy, kiedy ludzie lorda złapali w dolinie kłusownika Macphersona. Wielki, brodaty mężczyzna zabił jelenia, żeby przeżyć. Zabrał tylko to, co nadawało się do jedzenia. Przygotowano zasadzkę i kłusownik w nią wpadł. Kiedy, ślaniając się na nogach, wrócił do domu z upolowanym jeleniem na plecach już czekało czterech ludzi, którzy powlekli go do zamku.

23

Nie wzywano szeryfa, gdyż lord był sam dla siebie prawem - od zachodniego wybrzeża po krańce swych nowych ziem. Wrzeszczącego kłusownika zawleczono do lochu, rozebrano do naga i powieszono ze skrępowanymi rękami. Taka była sprawiedliwość lorda Ulver - zmuszał ludzi do patrzenia, żądał oklasków, a sam śmiał się podczas egzekucji. Żołdak uderzał białym batem z precyzyjnym okrucieństwem, raniąc tak, że z ciała wijącego się z bólu skazańca odrywały się krwawe strzępy.

Ofiara obracała się zwisając na sznurze, ciało wilo się pod gwałtownymi uderzeniami białego, a krzyk powoli zamierał, przechodząc w coraz to słabszy jęk bólu. Sługa, który wybierał dla lorda wiejskie dziewczuchy, zamieniony został w nieszczęśnika, który już nigdy nie mógł dzielić z kobietą łóżka. Rannego, oślepiętego eunucha porzucono na pustkowiu; nieszczęśnik przez całą noc czołgał się do swojej nory. Następnego ranka stajenny znalazł jego nagie, poszarpane ciało sto jardów od zamku.

Marie wiedziała, że to prawda. Wyla się w konwulsji udawanego orgazmu, gdy lord przyszedł do niej tej samej nocy. Krzyki dobiegające z lochów odbijały się echem w jej uszach jeszcze kilka tygodni później. I wiedziała aż nazbyt dobrze, że mąż wymierzyłby tę samą karę swej żonie i córkom, gdyby tylko przyszła mu na to chęć.

Wciąż czuła zapach śmierci w sypialni, od czasu do czasu mdląca woń martwego ciała dochodziła do jej nozdrzy. Zmarłe dziecko wyniesiono z pokoju następnego dnia

- służący po prostu wyniósł krwawe zawiniątko. Wiedziała, że nie było pogrzebu, ciało prawdopodobnie rzucono na żer ogarom. Lord patrzył z mściwą satysfakcją, jak bestie rozszarpują krwawy ochłap.

Usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Wielka ulga

- to były dziewczęta. Ostrożnie, chyłkiem wchodziły po schodach, żeby odwiedzić opuszczoną matkę, której grzechem było wydanie na świat dziecka niewłaściwej płci.

Weszły w milczeniu otaczając łóżko Marie. Migoczący płomień świecy ukazał przerażenie malujące się na ich twarzach.

24

- Matko, nie mogłyśmy przyjść wcześniej - wyszeptwała wysoka dziewczyna. - Służący śledzą nasz każdy krok, szpiegują nas. Możemy zaufać tylko Agnusowi - jest niemy. Ma dla nas pięć najlepszych koni, mogą być osiodłane w każdej chwili. Jak długo, matko, jak długo jeszcze?

- Dzień lub dwa, nie więcej - Marie uśmiechnęła się blado - po raz pierwszy udało mi się dziś przejść kilka kroków, z każdą godziną jestem silniejsza.

- Słyszałyśmy, że pod Culloden rozgorzała straszna bitwa - Mary zniżyła głos jeszcze bardziej - zdaje się, że armia księcia ponosi klęskę. Wrzosowisko jest zalane krwią walczących.  
- Musimy uciekać na południe - Mary poruszyła się, próbując nie skrzywić się z bólu - bardziej ufam miłosierdziu Anglików niż słowom diabła, którym jest mój mąż, a wasz ojciec. Bądźcie cierpliwe, a być może za dwa dni będę się czuła na tyle dobrze, żeby jechać z wami. Nie przychodźcie tu więcej, to zbyt ryzykowne. Spotkamy się w stajni o północy i...  
Urwała nagle. Na dziewczęta padł blady strach - usłyszały głuchy odgłos ciężkich kroków na półpiętrze. Stąpienie wściekłego olbrzyma roznosiło się echem, wprawiając w drżenie schody zamku.  
- To ojciec! - Elizabeth ścisnęła Mary za ramię tak mocno, że ta nieomal upuściła świecę. Ogień zamigotał, przygasł, rzucając upiorne, przerażające cienie na przeciwległe ściany.  
Drzwi otworzyły się gwałtownie, przeciąg zdmuchnął łojową świecę, z której uniósł się obłok drażniącego dymu. Silne światło trzymanej wysoko latarni oślepiło kobiety. Wydały z siebie stłumione, przestraszone okrzyki rozpoznawszy wysoką postać lorda, z twarzą wykrzywioną wściekłością i nienawiścią. Jego szkarłatne ubranie było uwalane błotem tak, jakby dopiero co wrócił z polowania.  
- A więc - jego cienkie wargi wykrzywiła złość - cały kurewski pomiot zebrał się w burdelu. Dziwki, szumowiny, knujecie spisek!

25  
- Ależ nie, mój panie - Marie zmuszała się, żeby mówić spokojnie - córki przyszły jedynie spytać mnie o zdrowie, odwiedziły swą chorą matkę.  
- Kłamstwo, ale to nie ma znaczenia - zdawało się, że Ulver odprężył się nieco. Kobiety zauważyły w słabym świetle świecy, że przez jego bladą, napiętą twarz przebiegł nagły skurcz. - Zdarzają się gorsze rzeczy niż narodziny dziewczuchy. Armia księcia Konda została rozgromiona pod Culloden, jego wojska wyrżnięte w pień i nie ma jeszcze wiadomości o losie samego księcia. Nie minie tydzień, jak Anglicy tu będą.  
Cisza. Lord spoglądał to na żonę, to kolejno na córki, przesywając je wzrokiem. Na jego wąskich wargach błąkał się nerwowy grymas, w oczach miał pogardę - umyślnie trzymał je w niepewności. W końcu odezwał się:  
- Anglicy to lubieżne plemię, szczególnie żołnierze. Obnażą każdą z was i będą gwałcić jedną po drugiej, a kiedy już nie będzie pożytku z waszych zużytych ciał, wypatroszą was i rzuca psom na pożarcie.  
Edith zaczęła łkać i ukryła twarz w sukni Mary.

- Ciszej, suko! - warknął Ulver. - Nie mamy czasu na beczenie!  
Wyraz twarzy Marie był mieszaniną gniewu i oburzenia. Jej dłonie były kurczowo zacisnięte na zmiętej pościeli. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale zamknęła je na powrót. Dziecko uciszyło się, ale wciąż wstrząsało nim przerażenie. Utkwiwszy oczy w wysokiej groźnej postaci ojca, dziewczynka trwała czekając następnym słów z zapartym tchem. Cokolwiek by lord powiedział, nie wróżyło to niczego dobrego kobietom z zamku Ulver.  
- Zamierzam was wysłać w bezpieczne miejsce, bo tu nastaną trudne czasy. - Głos Ulvera zmienił się, ale światło latarni odbijało niepokojące błyski w jego pół-przymkniętych oczach.  
Serce Marie stanęło w miejscu. Splecione dłonie zacisnęła na brzuchu, znowu czuła gwałtowne ułknięcie przesywające jej łono. Konie były gotowe - pomyślała, że powinny być uciec już zeszłej nocy. Mogła się przywiązać

26  
do siodła, gdyby była zbyt słaba. Córki miałyby szansę ucieczki nawet w przypadku jej śmierci. Usta Marie zadrżały; gdy spytała:  
- Dokąd?  
- Jest tylko jedno takie miejsce - zmarszczył grube brwi, jakby nagle odgadł, co planowały i cieszył się bardzo, że udaremnił ich ucieczkę. - Góry i doliny będą roić się od angielskich żołnierzy. Przemierzą całą Szkocję, będą grabić, palić i gwałcić wszędzie, gdzie przyjdą. Nie będzie przed nimi ucieczki, ale myślę, że nie wyruszą w morze. Przynajmniej na razie. Zamierzam was wysłać na wyspę Ulver!  
- Nie! - Marie mimowolnie krzyknęła.  
- Nie? - grube brwi uniosły się w udawanym zdziwieniu - może powiesz mi, kobieto, dlaczego nie?  
- To straszne miejsce - głos Marie zdradzał przestach - jałowa wyspa pozostawiona na pastwę żywiołów. Nigdy nie mieszkał tam człowiek, wyspę odwiedzają tylko dzikie gęsi i morskie ptaki. Zginie tam tak samo, jakbyśmy wpadły w łapy Anglików!...  
- Nonsens - jego głos był słodki jak miód, fałszywie uprzejmy, jedynie oczy zadawały kłam słowom. - Dzika owszem, ale to przecież raj... Jest tam szopa, osłonięta i ciepła. Na plażę fale naniósł wystarczająco dużo drzewa, żebyście mogły nim palić przez długie zimowe miesiące.  
- Umrzemy z głodu.  
- Będę doglądać, żeby Zoke dostarczał wam regularnie żywność łodzią.  
- Zoke! Nie, mój panie, nie Zoke, proszę!  
- A dlaczego nie, kobieto?  
- On jest... diabłem!

Ulver odwrócił głowę i ryknął głośnym śmiechem. Dziewczęta stłoczyły się, kuląc ze strachu. Marie podciągnęła prześcieradło pod brodę, zakrywając dolną część twarzy.  
- Zoke, przewoźnik. Zoke - czarownik Ulveru, sa-mozwańczy magik, którego wieśniacy boją się bardziej niż

27  
śmierci. To wierny sługa, jeden z niewielu, którym mogę ufać. Nie możemy pozwolić, żeby przeszkadzały głupie uprzedzenia, kiedy nasze życie wisi na włosku. Dość tych głupstw. Ubierzcie się natychmiast, za godzinę wszystkie macie być na dole. Poleciłem Zoke'owi, żeby przygotował łódź. Morze jest niespokojne, ale on jest doskonałym żeglarzem. Nie ma czasu do stracenia. Wyjdź z łóżka, nieszczęsna, niech zobaczę twą wdzięczność - ratuję cię, mimo że odmówiłaś mi syna i spadkobiercy.

Obrócił się i wielkimi krokami wyszedł z pokoju. Drżące dziewczęta słuchały oddalających się kroków. Zauważywszy, że Edith znów płacze, pojękiwały głośno, przerażone, nie były w stanie logicznie myśleć.  
Bielizna zaszeleściła - Marie usiłowała wstać z łóżka ciężko dysząc, jakby dostała nagłej gorączki.  
- Matko - Mary odezwała się w końcu - w każdej chwili Angus może osiodłać konie. Jest jeszcze czas - jeśli ruszymy w tej chwili.

- Nie - głos matki był zmęczony, lecz nie było w nim rezygnacji. - On wie, jestem tego pewna. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ma ludzi gotowych do pościgu za nami. Może nawet puściłby naszym śladem psy. Nie mamy wyboru,

musimy iść tam, gdzie rozkazał - albo zginąć tutaj.

- Ale Zoke...

- Nic nie mów - Marie rzuciła ostro bojąc się, że mogłyby jeszcze bardziej przerazić Edith. Dziewczynka schowała się za jej plecami. - Ubierzcie się ciepło. PozwólmY waszemu ojcu uczynić z nami, co zechce, bo nic innego nie możemy teraz zrobić. Na pewno nie ma innych przyczyn, dla których wysłał nas na wyspę, niż próba uchronienia nas przed Anglikami. Gdyby chciał nas skrzywdzić, mógłby to zrobić tutaj z mniejszym dla siebie kłopotem. No, czy nie mógłby?

Cała czwórka kiwnęła głowami w mroku. Słowa matki miały sens. Być może lord miał na względzie ich dobro i chciał je uchronić od barbarzyństwa angielskich żołnierzy.

Próbując ukryć swój ból i strach, Marie zaczęła się

28

ubierać. W głębi serca wiedziała, że mąż chce się zemścić na niej za urodzenie pięciu córek, na dziewczynkach za to, że ośmieliły się przyjść na świat - co było osobistą zniewagą dla lubieżnika, który je spłodził. Miała złe przeczucie przede wszystkim z powodu Zoke'a, odrażającego dozorca, który miał przewieźć je na samotną wyspę. W miejsce, o którym wieśniacy szeptali, że jest mieszkaniem diabła.

## Rozdział IV

Morze było spokojne, prom miarowo kołysał się na falach. Głęboki błękit wody kontrastował z jasno upierzonymi mewami, które co chwila przysiadły tuż obok burty. Gdzieś tam gładka powierzchnia marszczyła się - to polująca foka poszukiwała ławic śledzi. Gdyby nie chłodna morską bryza w małej łodzi byłoby nieznośnie gorąco. Stary szyper wciąż miał na sobie ten sam wytarty, niegdyś biały sweter z golfem. Poczerniała fajka sterczała między jego bezzębnymi zębami.

Napastliwie utkwiał wzrok w bezchmurnym niebie, jakby żywił do niego jakąś sekretną urazę, a może dlatego, że już od trzech tygodni nie było deszczu. Tęsknił do chłoszczących porywów wiatru i bryzgów piany. A może dlatego, że mieli dziś na pokładzie pasażera, "obcego" z południa, którego drogi nie były jego drogami i który nie rozumiał morza z jego zmiennymi nastrojami.

Szyper wyjął fajkę, splunął za burtę i znów ją włożył do ust. Fajka była wypalona, tytoń przemókł i teraz z cybucha dobywał się jedynie donośny gulgot. Ale szyper nie usiłował jej zapalić, po prostu żuł z zapamiętaniem ustnik.

Spojrzał w kierunku małej kabiny, gdzie były ułożone drewniane skrzynie i kilka tekturowych pudeł obwiązanych plastikowym sznurkiem. W zeszłym tygodniu musieli nająć dwóch dodatkowych ludzi do pomocy przy wysyłce skrzynek z herbatą, a raz nawet rozładować je i przenieść wąską ścieżką, która wiodła z przystani do domu na Ulver. Dyskutował o tym z kapitanem portu, ale nic nie działo - prom dostarczał na wyspę wszystko z tego odcinka wybrzeża i, jeśli nie chciał stracić pracy, musiał to robić. Taki był porządek rzeczy i nie miał tu nic do powiedzenia.

Przewoźnik obejrzał się znów, ukradkiem spoglądając na pasażera. Czy był to ten sam człowiek, który płynął na wyspę w kwietniu czy w maju zeszłego roku? To był burzliwy dzień - w ogóle nie wypływaliby w morze, gdyby kapitan portu nie upierał się przy tym. Musieli płynąć na Ulver, bo jakiś pieprzony głupek chciał obejrzeć wyspę. Przewoźnik próbował to przyjeźdnemu wyperswadować, ale nie udało mu się. Było to kompletnie niezrozumiałe - tamten człowiek wrócił i najwyraźniej kupił wyspę. Czy nie rozumiał, że ten skrawek lądu dla nikogo nie jest dobrym miejscem? Stary marynarz był przekonany, że najlepiej byłoby pozostawić wyspę Ulver własnemu losowi. Nikt nie mieszkał tu od 40 lat, a nawet przedtem ludzie, którzy się ośmielili tu pozostać, zginęli i tylko przypadkowo odnaleziono ich roztrzaskane o skały ciała.

Szyper widział w tej tragedii ostrzeżenie - i dziwił się, widząc kogoś nierozsądnego, kto je lekceważy. Atmosferę lęku potęgowały dodatkowo przekazywane z ojca na syna stare legendy o przekleństwie, które ciąży nad tym zagubionym, otoczonym morską kipiela skalistym skrawkiem lądu.

Przewoźnik naturalnie nie chciał, żeby ktokolwiek mieszkał na Ulver, gdyż oznaczało to, że będzie musiał płynąć tam dwa razy w tygodniu z pocztą i zaopatrzeniem. A - pomijając legendę - była to daleka droga w sztormową pogodę. Ulver było złym miejscem, nawet dalekomorscy rybacy je omijali. A teraz wszystko wskazywało na to, że historia wyspy Ulver rozwinie się o jeszcze jeden wątek...

Frank Ingram pochylał się nad rufą, patrząc na ślad spienionej wody. W zamyśleniu gładził łeb Jake'a - swojego czarno-białego owczarka, który siedział tuż przy nim, opierając się o swego pana całym ciężarem tak, jak to zwykle robił. Jake łatwo się adaptował, nie przejmował się, dokąd jedzie, dopóki był z nim jego pan.

Słońce iskrzyło się na wodzie i oślepiało go tak, że gdy Frank spojrzał w górę, miał przed oczami jedynie błyszczące plamy.

Morze było dziś spokojne, zupełnie inne niż owego majowego dnia, kiedy musiał chronić się przed żywiołem w kabinie.

Frank czuł na sobie wzrok starego szypra, oczy pa-

31

trzące z irytacją, która graniczyła ze złością. Był obcym. Nikt się nim nie interesował, asystował mu tylko nadgorliwy kapitan portu, który niegdyś służył w marynarce. Ale to była jego praca, był zobowiązany do wykonywania swoich obowiązków. „Jeśli chce pan mieszkać na Ulver, sir, to pańska sprawa” - zdawał się mówić. „Jestem tu, żeby pomóc panu jako osoba urzędowa i me zrobię nic ponad to, do czego jestem zobowiązany. Proszę, tu jest rozkład jazdy promów, oczywiście, zależny od warunków atmosferycznych. Przetransportujemy pańskie bagaże, bo za to nam płacą, ale nie zrobimy nic więcej”. Zimna uprzejmość, "sir" w niemal każdym zdaniu.

Frank obrócił się w drugą stronę, chroniąc oczy przed blaskiem słońca. Daleko na horyzoncie farmer rozpoznał ciemny, nieregularny kształt, nieznacznie wyrastający ponad linię morza, długi i płaski. Był to wschodni brzeg wyspy Ulver.

Krótki dreszcz przebiegł mu po plecach, poczuł lodowate drzenie, które przypominało mu ów pamiętny dzień sprzed trzech miesięcy.

Ulver - to było coś więcej niż odległy brzeg wyspy, to był jego nowy dom. Dopiero teraz zaczął to sobie uświadamiać, doznał szoku, jego oddech stał się nierówny, jak przy ataku astmy. Uprzytomnił sobie, że jego stara farma odeszła na zawsze, razem z Gillian. Stracił swoją żonę i swój dom, a teraz jakby obudził się ze złego snu i odkrył, że to wszystko o czym śnił zdarzyło się naprawdę.

Przez chwilę czuł żal, Jake opierał się ciężko o jego nogę, jak gdyby rozumiał i chciał powiedzieć: "Nie powinniśmy tego robić, proszę pana. Powinniśmy poczekać rok, zobaczyć, jak się będziemy czuć. Ale teraz jest już za późno".

"Obawiam się, Jake - mruknął Frank pod nosem - że spaliliśmy już wszystkie mosty". Schylił się i poskrobał psa za uchem. "Teraz nie mamy wyboru, bo nawet gdybyśmy zmienili decyzję, nie znajdzie się nikt inny, kto by odkupił wyspę, skoro nikt jej nie chciał przez czterdzieści lat".

Collie uderzył kilka razy ogonem w pokład, jakby w odpowiedzi.

32

Mogli teraz widzieć wyspę Ulver w całej okazałości. Przypominała płynącego po powierzchni wody gigantycznego jaszczura. Postrzępiona okrutna głowa zwężała się z jednej strony w wydłużony, pokryty łuskami ogon, częściowo zanurzony tak, że obserwator nie mógł określić jego wielkości. Postrzępione skały wybrzeża wyglądały jak olbrzymie, otwarte w ostrzegawczym warczeniu szczęki:

"Trzymaj się z daleka, na Ulver mieszka śmierć, zawsze tam była i zawsze tam będzie".

"Pozwalamy naszej wyobraźni na zbyt wiele, piesku" - pomyślał Frank, głaszcząc Jake'a po głowie.

- Za dziesięć minut dobiegamy do brzegu - burkliwie rzucił szyper, nie wyjmując fajki z ust. Ślina wyciekała mu z kącika warg i spływała wolno po porośniętej szczecina szczęce. - Proszę wyrzucić wszystko na brzeg tak szybko, jak pan może, nie mamy czasu, żeby się tu wałęsać. "Nikt nie wałęsa się na Ulver - pomyślał - jeśli ma choć trochę rozumu".

Świetna pogoda utrzymywała się do października. Frank pracował niestrudzenie od dnia, w którym przybył na wyspę.

Najważniejszą rzeczą była naprawa domu tak, aby nadawał się do zamieszkania. Większość znalezionych wewnątrz podziurawionych przez korniki mebli wykorzystano na opał. Wstał brakujące dachówki, zreperował największe dziury, postanowił poprawić murarkę na zachodnim szczycie domu.

Jake spał na macie w kuchni, wdzięczny swemu panu, że przez kilka pierwszych nocy pozwolił mu pozostać w domu. W Guilden zawsze spał na podwórzu, ale teraz Frankowi zależało na towarzystwie psa.

W drugim tygodniu prom przywiózł wreszcie owce Franka, dwieście sztuk rasy shopshire.

Oziębilo się, jesień wcześniej przyszła na zachodnie wyspy. Praca była najlepsza, na wywołaną wspomnieniami, depresję.

Frank chwalił sobie swój nowy dom, z wielu względów traktował przeprowadzkę na to odludzie jako swoiste wyzwanie. Powoli przyzwyczajał się do nowego

3 - Wyspd

33

życia i zaczął już krążyć myślami wokół wiosennej pory wypasania owiec.

Tylko jedno mu przeszkadzało i nie był w stanie tego w sobie zabić. W przyszłym tygodniu przypadała rocznica śmierci Gillian.

Wiedział, że wtorek będzie ciężkim dniem, ale przyjął to i przygotował się. Przeszkoda, którą musiał przejść, potem będzie mógł dalej żyć, bo nie będzie już spoglądał wstecz przypominając sobie, co on i Gillian robili dokładnie rok temu. Od wtorku znacznie się dla niego nowe życie.

Straszliwe liczenie godzin. W niedzielną noc Frank nie poszedł spać do góry, nie byłby w stanie znieść samotności. Brakowało mu siły woli, żeby spróbować. Usiadł na fotelu przy kominku, zapadł w niespokojną drzemkę i przespał nocne godziny. Rano obudził się odrętwiały i przygnębiony z lekkim bólem głowy z rodzaju tych, które narastają w ciągu dnia. Nie przejmował się śniadaniem, nakarmił tylko Jake'a i wyszedł na zewnątrz obejrzeć swoje gospodarstwo. Powitał go szary, chmurny świt, z mgłą nadchodzącą znad morza. Z każdą mijającą godziną rosło jego przygnębienie.

Brakowało mu energii, zrobił tylko to, co niezbędną, ale zwlekał z powrotem do domu aż do zapadnięcia ciemności. Nie był głodny, ledwie zauważył, że ma mdłości i nawet, gdy zmierzch zagnał go do domu, zjadł jedynie kanapkę. Większość przygotowanego na kolację jedzenia oddał Jake'owi, który dopominał się o więcej.

Rozpałił w kominku, siadł przed nim i wpatrywał się w płomień, choć tak naprawdę ich nie widział. Wiedział, że również tę noc spędzi tutaj. Nawet owczarek zdawał się czuć nieswojo i leżał z głową między łapami, wpatrując się w swego pana szeroko otwartymi, rozumiejącymi oczami.

Frank orał znów na szczycie wzgórza Guilden, którego stok zbiegał w dół do krętej wiejskiej drogi. Jake siedział w kabinie ciągnika i był całkiem zadowolony, że nie musiał zaganiać owiec. Kiedy Frank skręcił, żeby zaorać zbocze, zobaczył błyszczący w słońcu samochód daleko w dole. Gillian

34

jechała do miasta, wróciła za dwie godziny - to właściwie wycieczka, bo sprawunek był zbyt mały, by usprawiedliwić jazdę.

Rzęsisty deszcz załomotał o dach ciągnika. Frank chciał zapalić długie światła i wrzasnąć, żeby nie jechała. Na próżno, słowa zginęłyby w szumie hałasującego w kabinie radia. Zresztą i tak by nie usłyszała. Otrząsnął się ze złych przeczuc, próbował skoncentrować się na pracy. Nudne zajęcie: jedzie się w dół i w górę, a gdy skończy się praca na jednym wzgórku, trzeba jechać na następny. Było to nużące

- i to bardziej psychicznie niż fizycznie - praca na roli stała się zbyt zmechanizowana.

Był już prawie w połowie wzgórza, przejeżdżał przez miękki błotnisty skrawek, kiedy jakiś ruch na dole ściągnął jego wzrok.

Samochód przejeżdżał przez bramę - biały Escort z niebieskim sygnałem na dachu i czerwonymi literami na drzwiach:

POLICJA. Zaparło mu dech. Ujrzał stojącą przy wozie postać w niebieskim mundurze - policjant obserwował go, jak gdyby wahał się, czy uda mu się przejść przez miękką ziemię w niskich półbutach. Pnę

- było za daleko, żeby go rozpoznać, ale nie mógł to być nikt inny tu, w Huilden. Frankowi zaschło w ustach. Podniósł pług i zaczął jechać ukosem w kierunku drogi. Zgasił radio, rozprasało go. Czego on chciał, ten policjant? Mógł mieć tysiąc spraw

na przykład: „Nie odnowił pan pozwolenia na broń”. Ale przecież wysłał je dwa tygodnie temu. "Ostatnio zdarzają się kradzieże owiec. Myślę, że lepiej żeby pan o tym wiedział. Frank".

Blisko, coraz bliżej, mógł już zauważyć nienaturalnie poważną twarz policjanta. Nie miał dobrych wiadomości. O Boże, wiem, co chcesz powiedzieć! Mocniej ścisnął kierownicę, próbował włączyć radio, żeby zagłuszyć straszne słowa, tak, jakby było możliwe, aby go nigdy nie dosięgły, a to się nie wydarzyło. Radio było głuche. "Będziesz musiał się zatrzymać, bo przejeździsz Price'a" - mówił do siebie. Zahamował, lecz nie gasząc silnika, głośno dodawał gazu. Odnalazł klamkę drzwi, ale ich nie otwierał

- kabina była dźwiękoszczelna. "Nie chcę słyszeć!"

- Musisz mnie wysłuchać, Frank - policjant wyda-

35

wał się wyższy niż przedtem. Jego współczujące oczy wpatrywały się w niego, stał na palcach i przyciskał twarz do szyby.

Wyglądał jak prehistoryczny gad. Usta poruszały się, słowa usiłowały bezskutecznie przedostać się przez szybę. Frank cofnął się i przyłożył ręce do uszu, ale nawet to nie mogło zagłuszyć słów, które wałyły w jego mózgu:

"Gillian zginęła, Frank. Nic z niej nie zostało, ale musisz jechać ze mną... zidentyfikować zwłoki".



"Zamknij się. Kłamiesz. Wynos się z mojej ziemi!" Klamka trzasnęła i drzwi otworzyły się. Silne ręce sięgnęły po niego, zacisnęły się na nadgarstkach i zaczęły wywlekać go z kabiny. "Bierz go, Jake, na miłość boską, bierz tę pluskwę!" Ale Jake'a nie było w pobliżu.

"Chodź ze mną obejrzeć ciało żony, Frank. Zobacz, co jej zrobili. Nie jest już piękna, możesz jej nawet nie poznać. Ale przysięgam ci, że to Gillian".

Upadł, wszystko rozmazało mu się przed oczami. Twarz policjanta zaczęła wirować tak, że nawet nie był pewny, czy to Price. Nie, to nie mógł być Price - on by mu tego nie zrobił. To był głupi kawał.

Zaszło słońce i zapadła ciemność. Podążał za ciężko stąpającym policjantem jak w transie. Naprzód, naprzód, w coraz głębszą ciemność - gdzieś tam leży Gillian martwa i pokaleczona. Frank chciał krzyknąć, ale żaden dźwięk nie mógł przedostać się przez ściśniętą krtani. Wszędzie panowała cisza, której nie można było przerwać. Cisza śmierci.

I właśnie wtedy Frank Ingram obudził się, drżąc z zimna i strachu. Pierwsze, nieśmiałe światło świtu wdzierało się przez okna, kominek dawno zgasł, a Jake wciąż leżał, patrząc na niego brązowymi, mądrymi oczami. Jake rozumiał. "Miał pan zły sen" - zdawał się mówić. "To było nie do uniknięcia".

„Więcej niż sen, Jake. Nigdy nie zdołam zasnąć, jeśli będę wracał tam, skąd uciekłem. O Boże, widziałem ją dobrze tego dnia, rok temu na płycie w kostnicy. Patrzyła na mnie, mimo że zamknęli jej oczy. Pozszywali ją, zanim przyszedłem. Nie mogłem nawet płakać - i to się jeszcze

nie skończyło. To jest ten dzień - będę czekał, bo policjant znów przyjdzie..."

Frankowi huczało w głowie, ale nie poszedł szukać aspiryny - żaden lek nie mógł zagłuszyć łomotania w skroni. Usiadł i patrzył przez okna na rozjaśniające się niebo. Drżał - był wtorek.

Wciąż to samo - trzeba nakarmić owce. Zaparzył filiżankę mocnej herbaty, odrzucił myśl o śniadaniu. Będzie pościł na cześć Gillian. Cierpiała, więc on też będzie cierpiał.

Wiatr go odświeżył, powietrze było wilgotne. Pogoda się zmieniała, skończył się suchy okres. Na wyspę przyszła jesień i wkrótce będzie zima. Poczucie osamotnienia wzmogło się i raz jeszcze zaczęło go kusić pozornie proste rozwiązanie problemu. Tak proste. Wystarczyło pójść na cypel w miejsce, gdzie skały były strome i ostre, gdzie morze waliło w nie nawet przy spokojnej pogodzie. Nie musiałby nawet skakać, po prostu szedłby naprzód i potknął się, upadając w spienioną kipieli. Wzdrygnął się. Myśl była kusząca.

Albo - jeśli nie miałby odwagi - był jeszcze łatwiejszy sposób. Na szafce w kuchni stała pełna butla aspiryny. Mógłby połknąć wszystko wnosząc mocną whisky toast za swoje odejście. Zatrzymał krok: dwa wyjścia. Ja-ke skomlał i ocierał się o jego nogi. Zmierzył mu sierść na łbie. "Nie martw się, Jake, zadzwonię najpierw na łąd. Przyjdą i zabiorą cię na prom. Dobre owczarki są w cenie, będziesz miał dobry dom, bo jesteś jednym z najlepszych. Tak, zrobię to - ucieczka na wyspę nie była dobrym posunięciem, dokądkolwiek bym nie poszedł, nie ucieknę od tego".

Poczuł chłodny wiatr i w tej chwili usłyszał głos Gillian, czysty i zdecydowany. Twardy, ale nie zły, pełen współczucia, choć rozkazujący: "Nie rób tego, Frank. Nie z mojego powodu, proszę. Nie pozwolę ci".

Obrócił się, jakby spodziewał się, że ujrzy ją stojącą przy nim, ale zobaczył tylko Jake'a.

Chciał płakać, ale zamiast tego roześmiał się. Było w nim dziwne pomieszanie żalu i radości, którego nie rozumiał. Decyzja zapadła i będzie przy niej trwał. Gillian

37

gdzieś istniała, w wymiarze, którego nie mógł pojąć, ale była tam. W miejscu poza czasem, gdzie będzie czekał, aż przyjdzie ten dzień - powiedziała mu, żeby też czekał. I będzie czekał.

Ale na razie był wtorek. Wiedział, że będzie ciężko, bardzo ciężko.

Noc. Frank postanowił, że tym razem pójdzie na górę do łóżka. Była to świadoma decyzja - Gillian mówiła do niego i nie będzie już taki samotny. Ona tam będzie w ciemności, niewidoczna, nieuchwytna, ale właśnie tam. Ta świadomość kołała mu w dziwny sposób umysł. Jake machnął ogonem na znak zgody. Może psy rozumieją więcej niż ludzie?

Frank leżał w ciemności, słuchając wycia wiatru, czuł jego uderzenia w okiennice, jak gdyby żywy, zawiedzione jego zmianą decyzji, domagały się ofiary jego ciała. Wymknęła się - zle moce usiłowały ją teraz odzyskać. Pamiętał, jak było tej nocy rok temu - sypialnia w Guil-den, ciemność i wiatr. Próbował płakać, uwolnić długo powstrzymywany żal i w końcu udało mu się. Teraz - tak jak wtedy - zasnął.

Ktoś krzyczał. Frank słyszał to przez sen, niespokojnie przewracał się z boku na bok. Kobieta..., nie, kobiety, przesywające wrzaski potwornego przerażenia, rosnące crescendo. Wiatr wył jakby próbując je zagłuszyć. Frank obudził się, krzyki stopniowo ucichły. Dopiero teraz powróciła mu rozszpana świadomość. Jedynym dźwiękiem było wycie wiatru i skomlenie Jake'a na dole, w kuchni.

Generator jeszcze pracował - Frank zapalił światło. Włożył koszulę i spodnie, potykając się zszedł po schodach i wkroczył do kuchni. Jake skrobał w drzwi, sierść miał zjezoną, a oczy szeroko otwarte. Ignorując swego pana, próbował wydostać się na zewnątrz.

- Co się stało, Jake? - spojrzał na zegar, była 2.20. Dzięki Bogu, wtorek się skończył - pomyślał - jest środa! Jake spojrzał za siebie i warknął.

- Nonsens, Jake. - Frank próbował ugładzić stojące na szyi psa włosy, ale sierść wciąż się unosiła - na wyspie nie ma nikogo prócz nas. Ani lisów, ani nawet królików. To był sen.

Znów Gillian, krzyczała w pułapce pogruchozanego auta. Nie, nie ma tu nikogo, prócz jego i psa. Sen - mara, nic więcej. Lecz owczarek wciąż sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Na ciele Franka wystąpiła gęsia skórka, stawało się to czymś. Niechętnie sięgnął po silną lampę i nacisnął klamkę.

- W porządku, zobaczymy. Żeby uspokoić nas obu. Wiatr otworzył drzw^i na oścież. Deszcz jadownicie smagnał go po twarzy. Światło odbijało się od kropel wody, tworząc tysiące migających złych oczu, ryczących gniewnie: "Chcemy ciebie, Frank, chodź tutaj."

- Chodź, Jake, zobacz! - „Jestem piekielnym tchórzem - pomyślał - nie zamierzam wychodzić gdziekolwiek w taką noc."

Pies zaskomlał i podkułił pod siebie ogon. Spojrzał na pana, a w jego ślepiach błyszczało przerażenie.

- W porządku, nie możemy tu stać całą noc przed otwartymi drzwiami. - Frank zamknął je z trudem, pokonując opór wiatru.

Zamknął zasuwę. "Nie dlatego, żebym się bał, że coś jest na zewnątrz - powiedział sobie - ale nie chcę, żeby je wiatr otworzył." Owczarek wrócił do kominka, położył się i zwinął w kłębek, jakby chciał stać się tak niepozornym, jak to tylko możliwe. Spojrzał na drzwi i warknął cicho po raz ostatni.

- Zadowolony? - Frank próbował się zaśmiać, ale dźwięk, jaki z siebie wydobył zabrzmiał dziwnie.

Wrócił na górę i w ubraniu położył się do łóżka, próbując nie słuchać wiatru i deszczu uderzającego w okno. Nic się nie stało. To wszystko tylko sen, po nim przyjdą następne. Musiały się pojawić. Ale rok minął, teraz zaczniesz nowe życie i od tej chwili wszystko będzie inaczej.

## Rozdział V

- Szybko! - lord wynurzył się z ciemności, prowadząc żonę i córki przez dziedziniec zamku Ulver. Unoszony przez wiatr, ciemny płaszcz powiewał na jego ramionach. - Zoke oczekuje nas na brzegu. Nie ma czasu do stracenia, Anglicy mogą tu być o świcie.

Marie walczyła z bólem. Poczwała lekko ciepło na udach - znów krwawiła. Była bliska omdlenia. Zebrała wszystkie siły, gdyby upadła nieprzytomna na ziemię, lord mógłby wtrącić je do lochu. Podejrzewała swego diabo-licznego męża o zdradę. Dlaczego, skoro otwarcie mówił, że chciałby, żeby jego żeńskie potomstwo zginęło i uwolniło Ulver od kobiecej plagi, teraz szukał dla nich schronienia od Anglików? Mógł się ich pozbyć nie kalając krwią własnych rąk. Oparła się na ramieniu Mary i pozwoliła się jej ciągnąć.

Za pędzonych wiatrem chmur zaświecił cienki sierp księżyca. Suknie kobiet trzepotały w podmuchach wiatru. To nie była dobra noc, żeby wyruszać w morze, z pewnością nawet Zoke to rozumiał - ale przewoźnik był posłuszny swemu panu, niezależnie od konsekwencji.

Lord prowadził je wijącą się, skalistą ścieżką w dół, na brzeg. Od czasu do czasu odwracał się, przywoływał je i przeklinał. Edith szlochając trzymała się Elizabeth. Margaret zamykała pochód, tak jakby chciała uciec z powrotem. Ale nigdy by tego nie zrobiła.

Byli już na brzegu. Ostre kamienie raniły ich stopy obute jedynie w lekkie sandały. Morze wydawało się być jednolitą ciemną masą, na falach pienili się białe bałwany. Marie odnalazła wzrokiem sylwetkę łodzi - była to stara krypa, której Zoke używał w swoich wyprawach na wyspy - stała mocno zanurzona z naprężoną cumą.

40

Z cienia wyłoniła się zgarbiona postać, której twarzy nie sposób było rozpoznać. Ale Marie знаła je przecież wystarczająco dobrze. Oblicze przybylego naznaczone było zwierzęcym okrucieństwem, oczy dziko błyszczwały, zapadnięte w głębokich oczodołach. Z haczykowatego nosa sączył się śluz na skołnione szare wąsy. Cienkie, okrutne usta skrywała strzępiasta broda, której kosmyki sięgały piersi. Nieprawdopodobnie krótkie nogi i długie ramiona - karzeł wciąż próbował się wyciągnąć na swą pełną wysokość, ale nigdy mu się to nie udawało. Był to Zoke, o którym krążyły wieści, że jest mistrzem czarnej magii, którego Ulver chroni przed inkwizytorami. Choć wąty i słabowity, jak nikt potrafił prowadzić łódź po najbardziej nawet wzburzonym morzu.

- Panie - przewoźnik skłonił się lekko - jestem gotowy.

- Dobrze - Ulver musiał krzyczeć przez ryczące podmuchy wiatru. - Nie ma czasu do stracenia. Nie spocznę, póki lady i moje córki nie będą na wyspie bezpieczne od Anglików.

Księżyc pojawił się na chwilę między poszarpanymi chmurami, oświetlając zniekształconą twarz karła. Na jej widok kobiety ogarnęło przerażenie. W jego uśmiechu była jedynie przebiegłość i uznanie dla sprytnie uknutej diabelskiej zmywy.

- Jak długo? - Marie obróciła się do męża, próbowała spojrzeć w jego kanciastą twarz, ale skrywał ją kaptur. - Jak długo... musimy pozostać na wyspie?

- Dopóki nie zażegnamy niebezpieczeństwa - odpowiedź była natychmiastowa. - Zdecyduję kiedy, a wtedy wyślę Zoke'a, żeby was sprowadził z powrotem. Ale teraz nie ma czasu na głupie pytania. Siadajcie do łodzi.

Zoke wdrapał się na pokład i wyciągnął sękatą dłoń, żeby pomóc pasażerom. Marie zadrżała, gdy twarde palce zacisnęły się na jej delikatnym ramieniu. Marie miała wrażenie, że Zoke znajduje rozkosz dotykając jej ciała. | Złośliwie szarpnął jej dłoń i wciągnął do łodzi. Chwycił Elizabeth, zbliżył swą twarz tak, że cofnęła się czując jego

:

41

cuchnący oddech. Margaret i na końcu Edith - małe dziecko szarpało się panicznie, więc lord dał jej mocnego szturchańca, żeby ucihła.

Marie opadła na kolana i spojrzała w górę. Zobaczyła lorda otoczonego srebrem blasku księżyca. Patrzył, napawając się ich widokiem, po czym, szarpnąwszy, odczepił liny, jakby mówił: "Przewoźnik bez zwłoki zrobi wszystko, co mu każę i nie zawiedzie mnie".

Łódź przechylała się raptownie, matkę i córki rzuciło na stertę śliskich desek. Edith krzyknęła i kurczowo chwyciła się matki. Prąd porwał łódź od brzegu, zakręcił nią wokół - patrzyły na Zoke'a szarpiącego się ze sterem.

Marie nie obejrzała się za siebie - zresztą nic nie było widać. Woda rozpryskiwała się za burtami, słone bryzgi zalewały łódź.

Gdziekolwiek prowadził je los... były bezsilne i nie mogły go odmienić. Lord Ulver rozkazał, Zoke będzie posłuszny.

Olbrzymie fale rzucały łodzią na wszystkie strony niczym kawałkiem dryfującego drewna. "Nawet Zoke nie doprowadzi łodzi do miejsca przeznaczenia" - pomyślała Marie. "Może Ulver chce się pozbyć żony i potomstwa, wysyłając je na morze podczas sztormu? Ale ten szkaradny przewoźnik, skulony przy rumplu, zdawał się być zdecydowany dopłynąć do celu - nie pierwszy raz żeglował w takich warunkach. Chłopi szeptali, że sam Szatan kierował swoim sługą, chroniąc go przed niebezpieczeństwem na morzu. Marie zadrżała i przytuliła cztery córki do siebie. Jeśli zginą, to przynajmniej wszystkie razem. Nie o ich życie, lecz o dusze lękała się teraz, tej strasznej nocy.

Jej palce wśliznęły się pod przemoczony płaszcz i zacisnęły na rękojeści małego sztyletu, który tam schowała. Ale co z dziećmi, jeśli ona odbierze sobie życie? To była jedyna przyczyna, dla której nie wbiła go sobie w serce. Nie mogła ich zostawić. Ale czy mogła uciec nawet w objęcia śmierci?

Znała wieści krążące o jej mężu między dworakami i pospólstwem. Nie o wiejskich dziewczkach - to była tylko część jego ciemnych sekretów. W Noc Walpurgii lord

42

chodził do starej, zrujnowanej kaplicy w lesie. Mówiono, że to miejsce nie było już świątynią Boga lecz Szatana, wyznawcy zła zabijali tam zwierzęta i pili ich krew, oddając się dzikim orgiom.

Alice, wnuczka starej pasterki, urodziwa siedemnastolatka, zniknęła w tajemniczych okolicznościach po jednej z walpurgijskich orgii. Niektórzy mówili, że była w ciąży z Ulverem i dlatego wygnał ją z kraju, inni twierdzili, że złożono ohydną ludzką ofiarę, że

doprowadzeni do szału zebrani pili ludzką krew i sam Szatan pojawił się, by błogosławić swoim uczniom.

Wszystko to były pogłoski. Marie nie dawała im wiary wzruszając ramionami - aż do teraz. Na falach wzburzonego morza, widząc Zoke'a u steru, nie wątpiła już w te opowieści. O, gdyby mogły umrzeć i odzyskać spokój. Czy nie istniała ucieczka w śmierć? Jeśli wieśniacy mówili prawdę, Marie i jej córki były skazane na wieczną niewolę ciemności.

Edith była chora, skulona na drewnianej ławce krzyczała, że jej niedobrze. Elizabeth i Margaret na próżno starały się ją uspokoić. Ogromna fala prawie zalała łódź, która wydawała się teraz drobna i krucha. Ciągłe groziło jej wywrócenie do góry dnem, ale jakimś sposobem wciąż przesuwiała się po białych bałwanach, unosila się w górę, opadała i nadal sunęła naprzód. Zoke trwał nieporuszony, zgarbiony nad sterem nie zważając na niebezpieczeństwo - gdyby to nie karzeł był ich opiekunem, mogłaby mieć nadzieję na ocalenie. Ale przeznaczono im inny los. - Utonąć - byłoby w porównaniu z nim błogosławioną ucieczką.

Księżyc nie wyszedł już więcej spomiędzy ciężkich chmur - jak gdyby bał się ukazać, wiedząc, że wszystko, co się wydarzy, powinno skryć się w ciemność. Padający deszcz mieszał się z morską pianą i nawet Zoke zniknął z widoku. Tej nocy udręki piekło nie jawiło się już jako ogólnista czeluść - lecz jako bezkresne, rozszalałe morze. Mo-tże przewoźnik miał je przewieźć przez Styks do Hadesu?

Marie pomyślała, że robi się jaśniej - mogła rozpoznać kontur postaci trwającego przy sterze sługi. Spojrzała w górę

43

i zobaczyła, że księżyc zaszedł. Niebo nieco się przejaśniło poszarzało nadchodzącym świtem. Lecz sztorm nie osłabi uderzał nadal z bezlitosną, nieubłaganą fują.

Nagle po obu stronach pojawił się stromy, skalista brzeg, poszarpane szczyty wznosiły się wysoko ponad róż szalonym żywiołem. Byli już w zatoce, woda pieniała się grożąc rozbiciem łodzi o niebezpiecznie bliskie skalne ściany. Marie westchnęła ciężko; zrozumiała, że przybył na wyspę Ulver. Ominęli niebezpieczne głębie, prowadzeń przez ciemną siłę, której uosobieniem był groteskowy że glarz. Zoke był wciąż na nogach, utrzymywał równowagę na kołyszącej się łodzi i zgrabnie rozwiązywał zwój liny Rzucił obciążony koniec cumy. Marie posłyszała uderzenie nie o skałę. Łodzią szarpnęło, potem jej dno zazgrzytało o kamienie. Byli na lądzie.

W półmroku Marie przyglądała się twarzom dzie wcząt. Widziała na nich przerażenie, ich oczy były nienaturalnie rozszerzone, wargi poruszały się bezgłośnie szepcząc modlitwę. Leżały razem na zalanych wodą deskach łodzi, trzymając się siebie nawzajem.

Zoke przykucnął. Skoczył, zniknął im na chwilę ;

oczu, zwinnie jak mała wydostał się na brzeg i umocował cumę. Potem wrócił, jego złe oczy błyszczały, gdy światło wczesnego poranka przyglądał się kobietom. Prze klinając nieużyteczne dziewczki, kazał im wyjść na brzeg.

Edith wstała, karzeł chwycił ją, podniósł wysoko, po tem rzucił brutalnie na kamienistą plażę. Mary o własnych siłach wyszła z łodzi i padła na ziemię, Margaret po niej. Zoke splunął. Z niechęcią krzyknął na Marie, żeby się pośpieszyła. Łódź szarpała się, próbując zerwać cumę jakby pragnęła uciec.

Marie zachwiała się i upadła. Zoke wpadł w furję wyzwał ją od łajdaczek i kazał się spieszyć. Powoli, z trudem odzyskiwała równowagę, sięgnęła ręką między fałd swej sukni, która - zamoczona - przylgnęła do jej szczupłego ciała. Zaciśnęła palce na ukrytym sztylcie obróciła ozdobną rękojeść, chwyciła ją pewnie.

Zoke znów ją przeklinał; diabeł w przesadnym pośpie

iał uciec ze swego piekła. Prawą ręką brutalnie ją za lewy nadgarstek, szarpnął naprzód i zaczął iść przez burzę, zły, że wyładunek się opóźnia. aym ruchem Marie wyciągnęła nóż spomiędzy i szat.

## Rozdział VI

Wraz z jesienią na wyspę przybyły dzikie gęsi. Frank prowadził owce na wschodnie zbocze wzgórza, gdy zauważył pierwszy klucz - wrzaskliwa linia była zaledwie widoczna, kilka ptaków przykryła nisko idąca chmura, Było ich może 50, niespokojnie zniżyły lot.

Patrzył zafascynowany, jak lądowały. Gęś-przewodnik opadała na olbrzymie bagno, zwane Moss, reszta podążała za nią. Lądowały, siadając nagle na ziemi, głodne i zmęczone po długim locie z pustek Arktyki. Wracały z lęgów na zachodzie wyspy, aby przezimować. Szare gęsi -czytał o nich - gatunek, od którego pochodzą gęsi domowe. Dzikie i wolne. Jak on.

Stał tam i patrzył na nie przez godzinę albo i dłużej, Przyleciało jeszcze kilka kluczy i gdy siadły na szorstkiej trawie, zauważył, jak stary gąsior-przewodnik, często unosząc głowę, bada otaczający go teren. Gęsi były zmęczone, ale ani na trochę nie zaniechały ostrożności - od tego zależało ich przeżycie.

Myśli Franka przerwało skomlenie Jake'a. Nachylił się, żeby pogłaskać psa: "To gęsi, piesku" - wymamrotał miękko. "Co ty na to, żebyśmy jutro spróbowali jednej, hę?"

Jake z entuzjazmem zamierzał ogonem, jakby zrozuł miał.

- Tylko jedną na obiad - Frank wyprostował się - Nie więcej. Chcę, żeby przylatywały tu każdej jesieni. Może to gęsi wystraszyły nas tej nocy.

Po powrocie do domu, Frank usmażył kotlety z bara niny, ugotował trochę ziemniaków i wyjął z zamrażarki woreczek zielonego groszku. Po raz pierwszy od śmierci Gillian gotował obiad, uczył się żyć na nowo.

Deszcz uderzał w okna; kominek trochę kopcił. Trze ba było przeczyścić cały przewód kominowy. Frank ni-

46

mógł się za to zabrać. Może jutro - będzie musiał to zrobić, zanim przyjdzie zima.

Po posiłku Frank usiadł przy piecu z gazetą. Tym razem czytał, nie poprzestając na przerzucaniu stron. Gospodarstwo na wyspie było czymś zupełnie innym niż farma na lądzie - przed zimą całe stado trzeba będzie sprowadzić do owczarni i tam je karmić. Krótkie dni stają się monotonne, po nakarmieniu zwierząt rano i wieczorem resztę czasu przeznaczal na rąbanie drewna na opał. Zwykle przeżycie jest najważniejsze - trzeba walczyć z żywiołami cały dzień, żeby w miarę spokojnie spędzać wieczory. Wcześniej do łóżka, wcześniej wstawać - na nic więcej nie ma czasu.

Frank przetrząsnął kredens i znalazł starą strzelbę, której nie używał od dnia, gdy zastrzelił lisa porwijącego owce w Guilden. Wyciągnął szmatkę i oczyścił lufę. Jej wnętrze było porysowane i nierówne - typowa strzelba farmera, narzędzie służące do zabijania szkodników i - czasem - zdobywania mięsa na posiłek. Żaden kaprys, kupuje się ją, bo jest użyteczna. Strzelba

należała do jego ojca, pochodziła z czasów, kiedy stary Dick Ingram polował na króliki, w czasach Wielkiego Kryzysu. Frank znalazł też kilka starych ładunków i ułożył je na stole. Obrócił w palcach jeden z nich - były to naboje Maximum, wypełnione grubym śrutem numer 4. Zabijały tak samo dobrze, jak 50 lat temu, i jeśli udało mu się ustrzelić lisa, to bez problemu zapewne trafił dziłą gęś. Sprawdzi to jutro o świcie.

- Idziemy spać, Jake - musimy wstać przed wschodem słońca. - Wrzucił do pieca dwa kawałki drewna. - Jutro idziemy na polowanie.

Kładąc się do łóżka. Frank zastanawiał się, czy murowany dom przetrwa sztorm. Pocięszył się, że skoro opuściłszy budynek przetrwał dwa wieki, to z pewnością wytrzyma, mimo ataków wściekłej nawałnicy, co najmniej kilkadziesiąt następnych lat. Kiedyś ludzie wiedzieli, jak budować domy.

47

Zasnął smacznie, ale gdy już zapadał w głęboki sen, nagle poderwał się. Nie wiedział, co go obudziło.

Prawdopodobnie wiatr zerwał kolejną dachówkę i zrzucił ją z trzaskiem na dziedziniec. Na dole Jake skamlał. I wtedy Frank usłyszał krzyk.

Zesztywniał, po chwili podniósł się na łokciu. Dźwięk powtórzył się, daleko, gdzieś koło Koste - tak przypuszczał. To był histeryczny wrzask kobiety; po chwili dołączyły do niego inne głosy. Nie, tym razem nie było wątpliwości: wiatr niósł krzyki przerażenia.

Potem, tak samo nagle, jak się pojawiły, krzyki umilkły. Teraz tylko wiatr uderzał w okna i drzwi. "Obudź się, ktoś jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie!"

Ależ to niemożliwe! Przecież nikogo oprócz niego nie ma na wyspie. No, jeszcze Jake, ale owczarek ucichł.

Frank powstrzymał się od zejścia na dół. Po co? Otworzyłyby drzwi na deszcz i wiatr, poświecił wokół latarnią, zamknął je z powrotem i wrócił do łóżka. Leżał więc, pozwalając dreszczom przebiegać przez ciało. Był niespokojny, i zalekany - nie rozumiał, co się dzieje. Jeśli ktoś na zewnątrz jest w tarapatkach, powinien odpowiedzieć na ten krzyk o ratunek. Ale tam nikogo nie ma, Dlatego się bał.

Frank wyszedł z domu na pół godziny przed świtem, ze strzelbą przewieszoną przez ramię. Jake biegł za nim, niechętnie, ale przywykł do posłuszeństwa.

Maszerowali pod wiatr, ominęli wzgórze i zeszli w dół, na Moss. Nocna wichura nieco zelżała, deszcz przestał padać. W mglistym świetle przedświt ukazały się wysokie kontury kolczastych krzaków - jałowce wyrastały spośród bagiennej trzciny.

Krajobraz nie zmienił się tu od pięciu wieków, pozostał nietknięty. Nikt nie próbował tu kopać torfu.

Przykucnął, skulił się. Jake przycisnął się do niego. Lepiej nie iść dalej, można tu zaczekać do wschodu słońca. Było cicho, tylko wiatr szeleścił w suchych trzcinach. Nie wiedział nawet, czy gęsi są jeszcze na bagnie; możliwe, że wraz z zapadnięciem nocy poleciały nad morze i wrócić

48

dopiero po wschodzie słońca. Chyba jednak nie odrunęły, na Ulver nie miały żadnych naturalnych wrogów - nie było tu ani lisów, ani myśliwych - już od wielu lat.

Usłyszał słabe gęganie, zesztywniał; to było na pewno nawoływanie gęsi. Być może stary gąsior mówił stadu, że świt blisko i czas na żer. Były dość daleko stąd, może ćwierć mili. Mogą go zauważyć, gdy się będzie skradał i odlecieć zanim podejdziesz na odległość strzału.

Na wschodzie niebo zaczęło szarzeć, kiedy Frank In-gram znów usłyszał krzyk. Nie mógł się mylić: ktoś krzyczał ze strachu. Głos urwał się gwałtownie, jakby kogoś nagle uciszono.

Frank zamarł, Jake trącił go nosem i zaskowytał lekliwie. Farmer tkwił w miejscu, pewnie by uciekł, ale nie był w stanie się ruszyć. Wiedział, że ktoś był na Moss - i kogoś by to był, zdarzyło mu się coś zdecydowanie nieprzyjemnego.

Powoli wypuścił z płuc powietrze, wstrząsnął nim dreszcz. Drżącymi dłońmi złamał strzelbę. Wytężył wzrok patrząc w ciemność, jakby chciał przyspieszyć nadejście świtu.

Krzyk trwał może dwie sekundy, nie dłużej. Frank na kilka chwil stracił poczucie czasu, wytężając słuch czekał, aż się powtórzy. I wtedy, bez ostrzeżenia, Moss wybuchnęło życiem. Morze hałasu, orkiestra strachu, jakby śpiące gęsi eksplodowały krzykiem i ruchem; uderzeniom skrzydeł towarzyszył dziki chór - dźwięk, mogący zagłuszyć tysiąc krzyczących gardeł.

Zobaczył ptaki, długą, pofalowaną linię dwadzieścia jardów nad ziemią. Ten sam stary gąsior prowadził je z bagna i nieświadomie kierował w stronę ukrytego strzelca. Siedziały na zdradliwym bagnisku, bezpieczne od myśliwego, ale krzyk kazał im wzbic się w górę.

Frank instynktownie podniósł strzelbę do ramienia. Drżała mu w rękach. Gęsi były wszędzie, wypełniły całe niebo nad wyspą. Nad bagnem rozległ się pierwszy strzał, zagrzmiął, odbił się echem, dobiegając aż do stromego zbocza pagórka. Przewodnik powinien opaść jak kamień,

4 - Wyspa

49

ponowo w dół, ze złożonymi skrzydłami - ale on głośno krzyknął i usiłował wzniesić się wyżej. Pozostałe gęsi podążyły za nim, zbijając się w stado.

Frank wypalił drugi raz nie mierząc, na chybił trafił, w stronę wlatujących gęsi. Zdumiał się, że za pierwszym razem spudłował. Gęsi hałasowały, powietrze wibrowało od uderzeń skrzydeł. Zaklął, ale gdy patrzył z rozgoryczeniem na uciekające ptaki, jedna z gęsi oddzieliła się od pozostałych i zaczęła spadać na dół, z nieruchomym bezwładnym skrzydłem.

- Za nią, Jake! - ruszył biegiem, ostrożność nie była już potrzebna. Popędzał psa, widział, jak raniony ptak uderzył o trawę i zniknął z oczu między wysokimi kępami. Ale Jake nie był psem myśliwskim, jedyne komendy, jakie rozumiał, dotyczyły zwierząt gospodarskich. Biegł przy panu, patrząc nań pytająco - ciekaw, czegoż ten oczekuje.

Gęś leżała na grzbiecie, z rozpostartymi skrzydłami, wspaniała po śmierci, tak, jak za życia. Frank stał, patrząc na nią, nawet Jake trwał nieporuszony. Polowanie było skończone; mieli świetną kolację na dzisiejszy wieczór. Wspaniałe życie dzikiej istoty skończyło się - pomyślał Frank.

Przypomniał mu się krzyk. Odwrócił się powoli, trzymając martwą gęś za szyję i rozglądał się badawczo przenikliwym wzrokiem. Było już prawie jasno, widział teraz Moss w całej rozciągłości: kilkaset akrów moczarów, gęsto porośniętych krzewami, w których mogłaby się skryć cała armia. Świeży wiatr pochylał badyle trzcin. Nic poza tym nie widział, żadnego ruchu, który nie był częścią natury - pusta przestrzeń, nawet gęsi już odleciały.

Ale przecież coś spłoszyło gęsi do lotu...

Oskubanie i patroszenie gęsi zajęło Frankowi półtorej godziny. Kiedyś skubał drób - indyki i kury na Boże Narodzenie - ale nie

miął wprawy w skubaniu z piór wodnego, dzikiego ptactwa.

- Zjemy ją późnym wieczorem, Jake - Frank miał

50

otarcia na palcach. Była już prawie szósta. - Koło dziewiątej.

Owczarek spojrzął na niego smutno i żałośnie uderzył ogonem w podłogę. Jake zachowywał się dziwnie cały dzień. Trzymał się blisko Franka, gdy obchodzili owce, oddalał się tylko wtedy, gdy miał chęć pogonić się z owcą dla zabawy. Co chwilę spoglądał na pana, czołgając się na brzuchu. Wyraźnie czegoś się bał.

Zachowanie psa niepokoiło Franka, sam też był zdenerwowany. Krzyk na Moss był aż nadto realny, wciąż brzmiał mu w uszach. Ale nikogo prócz nich nie było na wyspie. A może ktoś jednak był? Na wyspie nie można było się skryć, chyba, że w grotach na plaży przy zatoce - ale te napelniały się wodą z każdym przyplywem. Ktoś, kto by się tam ukrył, nie tylko by utonął, ale i rozbił o skały. Więc na Ulver nikogo nie może być. A jeżeli...?

Szukał logicznego wyjaśnienia. Głos lisicy przyzywający samca w okresie godowym był ludzako podobny do ludzkiego. Ale przecież, na wyspie nie było lisów, w żaden sposób nie mogły się tu dostać ze stałego ładu, chyba że ktoś przywiózł parkę. Ale po co? Myśliwi przecież nie odwiedzali Ulver.

Gęś była już w piecu. Frank sprawdził czas - obiad będzie gotów przed dziesiątą. Po namyśle przeszedł przez pokój i zamknął drzwi domu na zasuwę. Wiedział, że to głupie, ale trochę się uspokoił. Czuł się bezpieczniejszy. Jake wodził za nim oczami, zamierzał ogonem, jakby mówił: "Tak jest lepiej, proszę pana. Bezpieczniej za zamkniętymi drzwiami".

Frank usiadł w fotelu i zabrał się za gazetę. Znał ją dobrze - czytał ją już dwa razy. Jutro środa, przybędzie łódź pocztowa, przywiezie mu świeży numer. Bardziej niż na gazecie, zależało mu na kontakcie z ludźmi, nawet, gdyby miał to być tylko ten stary ponury szyper.

Wiatr znów się zerwał. Rzadko kiedy nie gościł na wyspie. Frank musiał się do niego przyzwyczaić. Próbował nie nasłuchiwać wmagającej się wichury. Włączył radio i wyszukał stację, na której brzmiała muzyka. Jeśli tej

51

nocy ktoś zamierzał znów krzyczeć, nie miał chęci tego słuchać.

Gąska pachniała wyśmienicie, apetyczny aromat pieczonego mięsa i ostrego farszu tworzył domową atmosferę, przywoływał do rzeczywistości. Do tej pory Frank nie uświadamiał sobie, jak bardzo jest głodny. To był długi dzień, jutro nie musi wstawać przed świtem. Jeśli dzikie gęsi powrócą na Moss, zostawi je w spokoju. No, może ustrzeli jedną na Boże Narodzenie. A może nie. Moss to miejsce, którego lepiej unikać o świcie i o zmierzchu. Następnym razem będzie polował w dzień.

- No, myślę, że już dochodzi... hej, co się z tobą, u diabła, dzieje? - Frank podniósł się właśnie z fotela, żeby zająrzeć do piekarnika, kiedy Jake wyciągnął się nagle na całą długość, zaszurał brzuchem po podłodze, sierść stanęła mu dęba. Wzrok utkwił w drzwiach, a z gardła wydobył przeciągłe, grzmiące warczenie, zawierające w sobie groźbę, i strach.

- Nie bądź głupi, Jake, do cholery, tam nie ma niko-

52

Zanim Frank skończył mówić, rozległo się głośnie pukanie w drzwi, walenie pięściami, które wstrząsnęło solidną konstrukcją.

Skomlenie Jake'a przeszło w wycie, pies skulił się, chowając ogon pod siebie.

Pukanie powtórzyło się, gwałtowne i natarczywe. Ktokolwiek był za drzwiami, domagał się, żeby go wpuścić.

## Rozdział VII

Karzel okazał się być niewiarygodnie silny. Uniósł Marie do góry, po czym rzucił nią na pokład łodzi. Poczuli ból. Wiedziała, że groteskowy przewoźnik mógłby złamać jej rękę, a nawet nogę, gdyby upadła na kamienistą plażę.

W desperacji nie zwracała na nic uwagi. Palcami wolnej ręki chwyciła rękojeść małego sztyletu i wyciągnęła go spod płaszcza. Krótka klinga była ostra jak brzytwa - August naostrzył ją, nie pytając o nic.

Broń była gotowa. Marie zobaczyła mocno naprężoną cumę. Nóż musnął jej pierś, błysnął w szarym świetle świtu. Jedno pchnięcie - nie było czasu na więcej, musi dobrze wymierzyć i uderzyć wystarczająco silnie. Z pokrytych solą ust wydostało się westchnienie triumfu, gdy stał bez trudu przecięła grubo skręcony konopny sznur. Marie przeskoczyła przez burtę i rzuciła się na skalisty brzeg. Sztylet wyśliznął się z jej ręki i z lekkim brzękiem odbił od skały.

Wiatr wdarł się do zatoki z rykiem, jak gdyby nawet żywioły zdały sobie sprawę z tego, co zrobiła. Ich lament zagłuszył pelen furii pisk Zoke'a, gdy zobaczył, co się stało. Ale było za późno.

Przewoźnik rzucił się naprzód, rozpaczliwie usiłując chwycić zerwany koniec cumy, ale znikła już w wodzie. Łódź uniosła się na falach, rzucana na wszystkie strony, wessana przez prąd wody była na łasce żywiołu bez ster-; nika, bez ratunku.

| Prąd porwał ją, ryknął mściwie, rzucił w górę, cisnął o , skały. Rozłupała się na części, dziób oddzielił się, jak usta rozwarte w krzyku bólesci. Opadła w dół, potem znów się uniosła i trzasnęła o przeciwległą ścianę. Jej szczątki wirując

53

zmierzały do brzegu, potem znów porwał je prąd, aż zniknęły między pokrytymi białą pianą górami ciemnej wody.

- Głupia! - Zoke załamał kościste ręce w bezsilność ci i furii. Jego rysy wykrzywił szal. Wyciągnął długie ramiona, skrzeczał coś bez związku, może przywoływał swego mistrza władającego ciemnością. Zachowywał się tak jakby chciał wskoczyć do wody po daremnej próbie wydobycia łodzi z morskiego grobu, zachwiał się, ale udał mu się odzyskać równowagę.

- Głupia dziewczka! - odwrócił się do Marie, pochylił nad nią w pasji. - Teraz jestem uwięziony razem z wami Zginę z głodu, tak jak wy miałyście zginąć, a nasze ciah rozdziobią mewy!

- Więc miałam rację - Marie zaśmiała się. W te chwile nienawidziła lorda Ulver bardziej niż przez 20 lat okrutnego małżeństwa. - Mój mąż chciał się nas pozbyć Jaka szkoda, że nie ma go tutaj, by umrzeć razem z nami

Zoke zacisnął pięści, uniósł je, jakby chciał ją uderzyć ale po chwili uspokoił się. Opadł z sił, jego kalekie ciało zastygło w bezruchu. Obrzydliwa twarz zmieniła się - złość zmieszana się ze strachem. Skulił się, wyglądał ja! brzydkie dziecko, które za moment zacznie płakać, zała małżonek z rozpacz.

- Wszyscy umrzemy - zawodził.

- Czyja to wina? - Marie spytała ostro, czując swój;

naślę przewagę. Jej oczy szukały czegoś na kamiennej plaży i odnalazły sztylet leżący parę stóp dalej. Oparła się chęć ci sięgnięcia po niego, nie był jej w tej chwili potrzebny.

- Nie miałem wyboru - jęczał Zoke. - Lord ska załby mnie na śmierć, gdybym odmówił, złożyłby ze mnii ofiarę Lucyferowi w starej kaplicy. Moja krew ściekła;  
do kielicha i wypłyby ją dziwki.

- Więc to wszystko prawda! - Marie spojrzała ni córki. Mary i Elizabeth coś podejrzewały, nie była pewn;  
Margaret. Ale Edith nie zdawała sobie z tego sprawy, by ła za młoda.

- No cóż, jesteśmy tutaj, porzuceni na wyspie i nii tego nie zmieni.

54

- Umrzemy! - Zoke wydał z siebie piskliwy jęk i opadł na skałę.

- Nie - Marie rzekła pewnie patrząc na Edith. - Mamy schronienie. A jedzenie... Hm, będziesz łapał króliki, spleciesz sieć na ptaki. Na pewno są tu zioła i korzonki, które można jeść. Lord Ulver nie jest już twoim panem, Zoke. Ja jestem twoją panią, będziesz posłuszny mnie i moim córkom. Nie zapominaj, jest nas więcej, i jeśli spróbujesz nas zdradzić, zrzucimy cię ze skały do Kotła. Być może - jej oczy zwiężyły się - w każdym razie byłoby nam lepiej bez ciebie...

- O nie, pani - Zoke pochylał się, Marie z ponurą satysfakcją patrzyła na jego drżenie. - Może pani na mnie polegać, będę służył całym mym marnym życiem. Daję słowo. Daruj mi życie, będę polował, zbierał drewno i kopał torf do ogniska. Przysięgam.

- Dobrze. - Marie pochylała się, podniosła sztylet i schowała go za połą przemoczonego płaszcza. - Czas zaczynać, inaczej umrzemy na zapalenie płuc. Prowadź do szopy - Zoke. Rozpal ogień, wysuszmy ubrania. Rozejrzyj się za czymś do jedzenia. No, rusz się, nie możemy tu zostać, ani chwili dłużej.

Zoke powłóczęgając nogami ruszył przodem, przemoczony orszak postępował za nim ścieżką wiodącą w głąb ładu, Ji kompania wygnańców wdzięcznych za pozostanie przy ży-1 ciu. Ale ich walka o przeżycie dopiero się zaczynała.

## Rozdział VIII

Frank spojrzął z niedowierzaniem najpierw na owczarka potem znów na drzwi. To musiała być halucynacja, dalszy ciąg nocnego koszmaru, tak jak krzyki na bagnach - wszystko było częścią snu. Jake warknął przeciągle. To nie sen, tam ktoś jest. Pukanie powtórzyło się. Tym razem było głośniejsze, ktoś szarpał klamkę, napierał na drzwi, rozpaczliwie usiłując się dostać do środka. "Nie ma nikogo na wyspie prócz mnie i starego Jake'a" - Frank powtórzył sobie po raz setny. "A w taką noc nikt nie byłby w stanie tu przepłynąć." Poczuli, jak włosy stają mu dęba i ciarki przebiegają po plecach.

- Proszę otworzyć! - rozległ się przejmujący kobiecy głos i pięści znów uderzyły w drzwi.

"To był kobiecy głos, ten sam głos, który słyszałem w nocy, i potem rano na Moss" - rozważał pospiesznie Frank. Stał tak bez ruchu, niezdecydowany. "Ktokolwiek to jest, nie mogę jej zostawić na zewnątrz".

- Dobrze - krzyknął - zaraz otworzę. Przez tę chwilę starał się dojść do siebie. Sekunda wydawała mu się być wiecznością. Jake spojrzął na niego i zawarczał ostrzegawczo.

Frank zobaczył strzelbę opartą o ścianę i do połowy opróżnione pudełko z nabojami stojące na obramowaniu kominka.

Podniósł broń, złamał zamek i grzebał, szukając naboji. Dwa Maximum. Zatrzasnął broń i pomyślał, że lepiej odsunąć bezpiecznik. Cóż, w tej sytuacji odbezpieczona broń była koniecznym rekwizytem powitania nieproszonych gości.

- Spokojnie, Jake. - Ruszył w kierunku drzwi, wciąż niezdecydowany, chwycił zasuwę. Ale wiedział już,

; w końcu otworzy drzwi. Drżał, jego głos brzmiał obco, iedy spytał:

- Kto tam?

- Och, proszę, pozwól nam wejść, jesteśmy przemo-sone i zmarznięte. Zgubiłyśmy się.

"Nam". To znaczyło, że na zewnątrz było więcej osób, łoże dziewczyna i jej mąż lub chłopak. Może bandyci ticią się wdrzeć podstępem? Nie, na tej wyspie to nie-łożliwe. Odsunął zasuwę, drzwi pchnięte wiatrem otwo-syły się szeroko. Deszcz lał, ściana wody lśniła w padają-ym ze środka świetle. Na progu stały słoczone trzy... ztery... pięć zgarbionych postaci w przemoczonych ubra-iach. Pięć kobiet!

Chciał powiedzieć: "Wejdźcie do środka", ale nie był J stanie wykrztusić słowa i stał tak, trzymając drzwi, gdy o kolei przechodziły koło niego. Marynarki i spodnie ciekaly wodą, wszystkie niebieskie, jak mundurki, z emb-anatami naszytymi na klapach.

Zamknął za nimi drzwi. Ukradkiem postawił pod ścia-ią strzelbę z nadzieją, że jej nie zauważą. Rozładuje ją óźniej. Nabita strzelba w domu mogłaby się wydać dziwią i niebezpieczna - większość nieszczęśliwych wypad-ów z bronią zdarzała się w domu.

- Dzień dobry - czuł się nieswojo, był zmieszany. Od iaru miesiący nie rozmawiał z nikim, prócz przewoźnika.

- Jestem Frank. Frank Ingram. Jake, zamknij się! Owczarek schował się w kącie, jak najdalej od nowych

ości. Szczerzył kły i warczał. Na rozkaz Franka ucichł,

le jego sierść pozostała zwichrzona.

- Przepraszam, Jake nie jest przyzwyczajony do ob-ych.

- Och, nie ma za co, przecież to nie jego wina - ajwyższa z kobiet była starsza od pozostałych, dużo starzą; Frank dawał jej jakieś 35 lat. Szczupła, o krucoczar-lych włosach, tak ciemnych, że jej cera wydawała się cho-obliwie błada. Rysy twarzy miała delikatne, i nawet tak irzemoczona była nadzwyczaj piękna. Ich oczy spotkały ię na moment, kobieta uśmiechnęła się. Woda splywała z

57

jej ubrania, tworząc kałużę na kamiennej posadzce. - Jestem Samanta, przedstawię ci pozostałe - wskazała na towarzyszki - to Debbie...

Wysmukła, prawie tak wysoka, jak Samanta, ciemnowłosa, choć nie krucza, uśmiechała się szeroko.

- To Janet...

Ta z kolei miała krótkie, jasne włosy i krępe, choć nie tęgie ciało. Spuściła oczy, gdy Frank skinął jej głową i nk spojrzała na niego. Około szesnastu lat, rok może dwa młodsza od Debbie.

- To jest Ruth...

Była młodsza od poprzedniej - zdecydował Frank, Kasztanowe włosy, piegi, zuchwały wyraz twarzy zdradzający pełen tupetu charakter. Spojrzała na Franka w sposób, w jaki żadna kobieta od dawna na niego nie patrzyła. Jej zielone oczy napotkały jego spojrzenie i wytrzymał je. Zmieszał się. Poczuli, że mocniej bije mu serce.

- I na koniec Ellen, najmłodsza z nas.

To było jeszcze dziecko, miała nie więcej niż 11 czy 12 lat, szeroką twarz, mysie, rozczochrane włosy i wydęte wargi. Nieciekawe usposobienie - pomyślał - ale może tak się tylko wydaje, taka noc każdemu odbiera odwagę. Odsunęła się od Franka, zmierzyla go niepewnym spojrzeniem, szukając dłoni Samanty.

Frank przebiegł wzrokiem po przybyłych i spojrzął kątem oka na klapy ich marynarek. Przewodniczki! Jezi Chryste, tu, na Ulver! Jeśli to sen, to stawał się on coraz bardziej szalony. Jake'owi wszystko to niezbyt się podołało, wciąż siedział skulony, cicho warcząc.

Kobiety zdjęły wierzchnią odzież, ukazując ręcznik dziergane, wełniane swetry. Skupiły się przy piecu, grzejąc zgrabiące dłonie. - Otworzę piec - Frank pochylił się i otworzył małe drzwiczki, odsłaniając płonące drwa. - Kolacja już prawie gotowa - pieczona gęś, jeśli jesteście ciekawe. Star czy dla wszystkich.

- Pyszności! Umieramy z głodu - rzekła Samanta nie odwracając się.

58

- W porządku, możemy siadać do stołu - odpowiedział.

- Porozmawiamy potem. A ty bądź cicho, Jake. Mamy dziś gości, czy ci się to podoba, czy nie.

Owczarek przypatrywał się im zalęknionymi oczyma, uszy położył płasko po sobie. Warczenie ustało, ale pies nie zbliżył się ani na centymetr.

- Była wspaniała! - Samanta zaczęła zbierać puste talerze, wstawiła je do zlewu i skinęła Frankowi, żeby nie wstawał. -

Jesteśmy bardziej niż wdzięczne, i myślę, że winiliśmy ci wyjaśnienie.

- Jesteście na wyspie od jakiegoś czasu - odpowiedział farmer, wspomniawszy mrożące krew w żyłach nocne krzyki.

Oczywiście, były to przewodniczki i ich prowadząca, ale cokolwiek je tu sprowadziło, wydawały się być teraz całkiem normalne.

- Ależ skąd! - brwi Samanty uniosły się ze zdziwieniem. - Minęła godzina, najwyżej dwie odkąd nasza łódź rozbiła się na skałach.

Frank wstrzymał oddech, słyszał, jak wali mu serce. Zdawało mu się, że pokój się przechylił, wykrzywając twarze siedzących przy stole. Usłyszał swój głos: „Acha... rozumiem.”

- Jesteśmy na kursie przewodniczek - kontynuowała Samanta; mówiła szybko, jakby opowiadała tę historię już wiele razy i chciała jak najszybciej skończyć. - Punkty na odznakę, nie będę cię zanudzać szczegółami. Ellen rzeczywiście nie powinna była ruszać z nami, to prawda, ale jest siostrą Ruth, rozumiesz, a że ich rodzice wyjechali za granicę, zgodziłam się ją zabrać.

Wynajęliśmy łódź, żeby zwiedzić wyspy. Kiedy wyruszałyśmy rano, morze było zupełnie spokojne, ale po południu zaskoczył nas silny sztorm. Nigdy w życiu tak się nie bałam. Łódź zbczyła z kursu, dziewczęta wpadły w panikę, no i wtedy ujrzałyśmy piętę wyspę. Udało nam się doptynać w jej pobliże, a po-tem - nawet wylądować na plaży, ale z nim zacięliśmy się, porwała ją fala. Wyobraź sobie nasze położenie, Frank - użyła jego imienia z taką łatwością, jakby

59

znała go od lat - wyrzucone na odludną wyspę, wieli mil od lądu. Robiło się ciemno i najważniejsze było znaleźć jakiegokolwiek schronienia. Błądziłyśmy parę godzin i nie mogłyśmy uwierzyć naszemu szczęściu, gdy zobaczyłyśmy światło. No i - jesteśmy tu.

Prawdopodobnie, choć nie całkiem przekonujące - pomyślał Frank przygryzając wargi. Odezwał się:

- Więc nie macie łodzi. No cóż, jutro powinni przypląć łódź pocztowa, jeśli pogoda się nie pogorszy, będziecie mogły wrócić nią na ląd. Ale na pewno wasz kaja - może nawet wysłali łódź ratunkową. Myślę, a trzeba zadzwonić do kapitanatu i zawiadomić ich, że jesteście bezpieczne - odsunął krzesło i wstał.

- Och, nie sądzę, żeby to było potrzebne - rzekła Samanta z naciskiem, którego nie sposób było nie zauważyć.

- Mówiąc szczerze, nikt nie wie, gdzie wyruszyłyśmy

- Z wyjątkiem człowieka, który wynajął wam łódź

- Frank napotkał jej spojrzenie i wytrzymał je - może oszaleć z niepokoju. Zadzwonię, to oszczędzi wielu ludziom kłopotu, a może nawet - ocali czyjeś życie.

"I nie próbuj, do cholery, powstrzymać mnie od tego w moim własnym domu" - pomyślał.

Samanta wzruszyła ramionami, jej twarz spoczęła. No tak, najstarsza z przewodniczek nie była zapewne przyzwyczajona, by cokolwiek działało się wbrew jej woli

- pomyślał Frank. Ruszył w kierunku telefonu. Numer kapitanatu portu znał na pamięć: Ulver 458.

Wykręcił numer, ale coś było nie w porządku. Chociaż, kiedy podniósł słuchawkę - był sygnał, który teraz zniknął. Nacisnął widełki - nie pomogło. Głucha cisza;

- nic, nawet trzasku.

- Jakiś problem? - w głosie Samanty zabrzmiał;

ledwo słyszalna nutka sarkazmu.

- Telefon chyba się zepsuł. To dziwne, wcześniej działał; dzwoniłem na ląd żeby zamówić dodatkową do stawy żywności na jutro.

- Podwodne kable telefoniczne bywają zawodne -

yczuł, że kobieta znowu z niego kpi. Psiakrew, nie mógł znaleźć słów, żeby odpowiedzieć tej słodkiej suce.

- No cóż, do czasu, jutro przybędzie tu łódź.

- Jeżeli uciszy się sztorm...

Ich oczy spotkały się, rzucając wrogi błysk. Frank poczuł dreszcz przebiegający po całym ciele. Wszystkie kobiety patrzyły na niego szeroko otwartymi oczami. Za głupie uśmiechy należałoby tym cholernym smarkulom iludnie złozić skórę - pomyślał.

- Musicie zostać tu na noc - wymamrotał. - Musiałbyście zresztą tu zostać tak, czy inaczej, bo stąd nie ożna wrócić nocą na ląd, nawet gdyby telefon działał.

- To bardzo miłe z twojej strony - Samanta odwróciła się do swych podopiecznych. - Dziewczęta, musimy przygotować sobie miejsca do spania. Niestety nie mamy s sobą śpiworów, ale...

- W porządku - rzekł Frank i pomyślał: "mam nadzieję, że chociaż zmyjecie naczynia".

- Dwie z was mogą zająć mój pokój, mam też dwa materace i kilka kocy, więc mogę przygotować wolną sypialnię i...

- O mój Boże! I tak nadużywamy twojej gościnności. Nie śmiemy wyrzucać cię z twojego własnego łóżka. Nie, rzeźpimy się na materacach, tu, na dole, przy ogniu.

- Zapewniam cię, często śpiam na dole - następna alka, tak jakby ta harda kobieta chciała go wypróbować. "Cóż, zrobiłem co było w mojej mocy, żeby zatelefować - myślał - ale nikt nie będzie mi mówił, gdzie mam spać."

- Będziemy spać na dole, nieprawdaż, dziewczęta? - )yła podopieczne, całkowicie ignorując Franka.  
- Tak, Samanto. - Chór głosów brzmiał zbyt uleg-!, co sprawiło, że Frank ponownie poczuł niepokój. Wyglądało to tak, jakby ta kobieta miała je wszystkie pod antoflem. I to nie dlatego, że była szefową koła prze-odniczek.  
- To dobrze - zadowolona, odwróciła się do Franka.  
- Daj nam, proszę, materace i koce, urządzimy sobie

61

sypialnię tu, na dole. Frank. Myślę, że wcześniej pójdzie spać, farmerzy powinni wstawać o wschodzie słońca.  
Zatrzął się, myśląc: "Cholera, niech cię diabli we mą!!! Nie dość, że wdarłaś się do mojego domu, teraz j szcze chcesz mi rozkazywać, jakbym był jedną z tyi twoich głupich, małych przewodniczek. Jeśli w tej chw kpina nie zniknie z twojej twarzy, zmażę ją siłą!" Pies z czał warczeć cicho i groźnie. Jake miał rację od samej początku - myślał Frank - ta paczka i jej wysane palca historyjki o przewodniczkach to jakaś brudl sprawa. Skąd mogę wiedzieć, czy to nie uciekinierki kobiecego więzienia.  
- Wolę spać na dole - chciał, żeby zabrzmiało twardo i mocno. Ale jego słowa były słabym, nieprzek nywującym tłumaczeniem się, bez wiary, że odniosą jał kolwiek skutek.  
- Ależ nie, pójdiesz spać na górę, do swojego łóži - to z kolei miało zabrzmieć uprzejmie, jak głos gości który nie chce gospodarzowi sprawić kłopotu, ale jej sł wa były rozkazem: rób, co mówię!  
- W porządku - zirytował się, że ustąpił pola, z miast posłać je do diabła. - Skoro nalegasz...  
- Tak będzie ci najwygodniej, naprawdę. I pomyśle że mogliśmy spędzić tę noc na wrzosowisku, w taką p godę. To luksus, móc spać w ciepłej kuchni. A teraz v już sobie i kładź się do łóžka. I nie przejmuj się nami.  
- Przyniosę materace i koce - odwrócił się w stro:  
schodów. Ledwie zrobił krok, zauważył że Jake depc mu po piętach, nie odstępując ani na krok. Pies bał się, przecież nie tak łatwo było go przestraszyć.  
- Proszę - Frank złożył materace i koce na kuche nej podłodze, z satysfakcją stwierdzając, że dwie stars dziewczyny wzięły się za mycie naczyń. Samanta sta przy otwartych drzewczkach pieca, grzejąc plecy. Spojr2 w górę, ledwie kryjąc zmieszanie. Kobieta zdjęła swetel przewiesiła go przez krzesło, a guziki jej bluzki były ro piętę. Rozchyłona tkanina odsłaniała jej nagie, nie ski powane biustonoszem piersi. Były gładkie i jędrne, z uni

62

nymi, pobudzonymi brodawkami. Nie zmieszana, sięg-:a do paska spodni, z wyraźnym zamiarem ich zdjęcia. Ruth też zaczęła się rozbierać.  
- Zostawię was same - wykrztusił. Cofnął się do lodów, kręciło mu się w głowie. - Jeśli będziecie cze-s potrzebować, krzyczcie - w duchu dodał: "nie, na 'ga, nie, nie!"  
- Dobranoc, Frank - słodki chór dziewczęcych gło-v dogonił go na schodach. Potknął się i o mały włos by adł.  
Jake leżał w nogach łóžka, w jego ślepiach odbiła się ;a, gdy Frank wszedł i zamknął za sobą drzwi. Kiedyś ta tu zasuwa - zostały po niej dziury na śrubach - ; nie widział powodów, dla których miały ją zamonto- ,ć. Aż do teraz. Pocił się i trzął, chwycił krzesło, lecz ale mu nie ulżyło, gdy okazało się, że jest idealnej wy-tości, aby podeprzeć nim kłamkę. Czuł suchość w ach, niespokojnie lizał wargi. Po raz pierwszy owczarek ił z nim w sypialni; jeszcze parę godzin temu byłoby to s do pomyslenia.  
Przemknęło mu przez myśl, że naładowana strzelba iąż stoi oparta za kuchennymi drzwiami. Hm, wcale nie toby najgorzej, gdyby zaczęły się w niej grzebać i lućmęto im trochę...  
Gdy się rozbierał, poczynił następne alarmujące odęcie - patrzył na siebie z niedowierzaniem. Miał erek-! Po raz pierwszy od ponad roku. To ta na wpół roze-ina kobieta grzejąca się przy piecu była temu winna. odlił się, żeby łóžd przyplłynęła jutro wczesnym ran-an.

## Rozdział IX

W przeciągu paru dni dwuizbowy domek został urz( dzony całkiem wygodnie, jak na spartańskie warunki żyd na wyspie. Zoke podtrzymywał ogień, znosząc drewno brzegu; z każdym przyplływem morze nanosiło nowe poi cje. Gdy jedne kawałki płonęły, drugie suszyły się przy oł niu. Zoke naciął trawy i trzciny i ułożył dla kobiet miękkie legowisko do spania.  
Marie uparła się, że ona i jej córki zajmą nie wykoi czony pokój i wygoniła karła do przylegającej izby, któł w istocie była pomieszczeniem, gdzie zimą trzymano bydłc  
Pierwszej nocy suszyły ubrania, siedziały nagie, stł( czone przy ogniu, grzejąc się. Ubrania będą w przyszłci problemem, kiedy się podrą, nie będzie ich czym zastąpi Być może, myślała Marie, gdy nastanie ciepła pora roki będą mogły chodzić lżej ubrane, latem może nawet nago zachować cieplejsze rzeczy na zimę.  
W dzień po przybyciu na wyspę, Zoke złapał na pułaj kę królika. - Olbrzymią kamienną płytę podparł cieńk gałązką na ucześniej przez króliki ścieżce i przywiąz;  
skręconą trzcina. Nieostrożne zwierzę wbiegło na nią, zł< mało trzcinę i zostało przygniecione kamieniem. Jedli wi( świeże mięso. Zoke używał tej samej pułapki do łowieni ptaków, kładąc królicze skóry i kości jako przynętę.  
Na bagnie, pod ziemią rosły orzeszki ziemne, i przy różne zioła, znane tylko karłowi, który warzył z nich ró:  
ne napoje lub dodawał do mięsa, jak jarzyny, dla zabić:  
ostrego smaku mewiego i wroniego mięsa.  
Po latach spędzonych w ponurym zamku, ich nov życie było całkiem znośne, szczególnie, gdy sprzyjała p< goda. Tutaj mogli się cieszyć czymś, czego odmawiano ii w Ulver - wolnością. Podobało im się, że nie było lord:

64

óry miesza ich z błotem, przeklinając za to, że narodziły ; kobietami. Tylko Edith była niezadowolona.  
- Kiedy będziemy mogły wrócić do domu, matko? pytała bez przerwy nadaśanym tonem. - Nienawidzę go miejsca.  
- Być może któregoś dnia... - Marie patrzyła na orze. Napawało ją lękiem przypuszczenie, że któregoś lia mogłaby się na horyzoncie pojawić łóžd, aby zabrać z powrotem na ład; dziwny kaprys męża, któremu za-ął doskwierać brak kogoś, na kim mógłby wyładować /oje okrucieństwo. A może zechce je złożyć w ofierze atanowi. Ale nikt nie przybywał, a Edith z każdym liem stawała się posępniejsza. Zaczęła towarzyszyć Zolowi w jego pracach.  
- Edith, nie podoba mi się, że spędzasz tyle czasu z ?ke'em - rzekła Marie pewnego wieczora, gdy siedziały 7y ogniu,



ogryzając ostatnie kawałki mięsa z kości kor-orana. Przewoźnik spał w swoim pokoju, ale na wszelki wypadek mówiła cicho. Byłoby nierozsądne usposobić ugę wrogo.

- Dlaczego? - dziewczynka odrzuciła kawałek mięsa skrzywiła usta spoglądając ze złością na matkę.

- Dlatego - Marie była rozdrażniona. Edith nigdy e przyjmowała posłusznie nawet najprostszych poleceń.

• Nie sądzę, aby to było dobre dla ciebie, oto dlaczego.

- Dlaczego to nie jest dobre dla mnie? Marie westchnęła; Edith miała niedługo skończyć 12 t i nie można było wciąż kryć przed nią prawdy.

- Dlatego, że twój ojciec uczestniczy w potwornych rytuałach - oddaje cześć Szatanowi, zabija zwierzęta i pi-ich krew, a Zoke zwykle mu w tym asystował. Twój oj-ec chciał zostawić nas na wyspie, żebyśmy zginęły z głó-n, ale przecięłam linę i łódź odpłynęła - gdyby nie to oke zostawiłby tu nas same. Zoke chciał nas zabić, tak imo, jak twój ojciec. On jest... zły. Opiekuje się nami, bo Se ma wyboru. Gdyby znalazł drogę ucieczki, nie mam lwet cienia wątpliwości, żeby nas tu zostawił. Nie może-

- Wyspa 65

my mu ufać. Dlatego nie chcę, żebyś spędzała z nim zh wiele czasu.

Edith, nie zmieszana, wciąż patrzyła na matkę. N dawała po sobie poznać, że plan pozbycia się kobiet z U ver zaniepokoił ją czy przeraził. "Być może nie zrozum! ła w pełni, a jeśli rozumiała, nie uwierzyła" - myślą Marie. Dziewczyna w milczeniu kończyła posiłek - z dnych pytań, żadnego znaku posłuszeństwa wobec zalea matki. Brak reakcji był niepokojący.

Rankiem, gdy poszły na plażę, żeby leżeć w ciepłym promieniach słońca w osłoniętej zatoce, która podca sztormu i przypiływu stawała się wściekłym Kotłem, Edii zniknęła. Marie najpierw chciała jej szukać, ale w końcu zdecydowała, że nie robi tego;

Edith sama powinna wn cić. Najprawdopodobniej poszła z Zoke'em na Moss ci;

trzcinę - robili to każdego dnia w zeszłym tygodni więc i dziś pewnie tam się wybrali.

Edith rzeczywiście towarzyszyła kalekiemu siudze drodze na Moss i pomagała mu kopać orzeszki. Śledzia przykucnięta, patrząc, jak karzeł wykopuje podobne c karczochów bulwy kawałkiem ostrej skały, kładąc je po niej na kamieniu, aby wyschły w słońcu. Śmieszył ją śpi sób, w jaki z mozołem oddychał, krzywił twarz i chrząkąc gdy nakazano mu coś, co wymagało od niego wysiłku l zycznego. Zoke był dużo bardziej zabawny, niż jej urocz sta matka i siostry, które brały życie tak poważnie. By takie głupie; ubierały się pośpiesznie, gdy słyszały kro Zoke'a, jakby bały się, że zobaczy je nagie.

- Moja matka mówi, że ty i ojciec chcieliście zost wić nas na wyspie, żebyśmy zginęły - nagle odezwała s Edith, wyrzucając glucho słowa, jakby tłamsiła je cały r nek. - Czy to prawda?

Zoke wzdrygnął się i prawie upuścił swoją prymitywi kopaczkę, ale kiedy podniósł głowę, na jego twarzy wi niało oburzenie.

- To nikczemne kłamstwo, moje dziecko! - z grzmiął. - Ale nie wolno ci tego powiedzieć twojej ma

ce, bo będzie na ciebie zła. Mogłaby strącić nas oboje z urwiska do Kotła.

Edith zbłądła i odrzekła:

- Nie, nie powiem jej. Ale dlaczego ona kłamie, Zoke? Sługa zastanawiał się parę chwil, zanim odpowiedział. Gdy mówił, oczy miał tępo wbite w ziemię, nie chcąc napotkać spojrzenia dziecka.

- Jesteś wystarczająco dorosła, żeby ci powiedzieć, ale musisz najpierw przysiąc mi, że nie powiesz nic matce ani siostram.

Przyrzekasz?

- Przyrzekam.

- Bardzo dobrze. Twój ojciec jest wspaniałym i bardzo bogatym człowiekiem, a twoja matka i siostry uknuły spisek, żeby go zabić i okraść. Lord dowiedział się o tym, i zamiast wysłać je pod miecz, postanowił wysłać je na wyspę Ulver, gdzie mogłyby żyć, nie narażając na niebezpieczeństwo nikogo więcej. Mnie nakazał przywieźć was wszystkie na wyspę.

- Ale ja nie zrobiłam mojemu ojcu żadnej krzywdy! - Edith wykrzyknęła z oburzeniem. i - Oczywiście, że nie, i myślę, że jest teraz bardzo nie-l szczęśliwy. Miałem podstępem zabrać cię łodzią z powro-l tem na zamek, ale twoja matka przecięła cumę. Dlatego 1 tu jesteśmy - wygnani razem ze spiskowcami, a ja jestem ' ich sługą i muszę robić wszystko, co rozkażą.

- Ale dlaczego mój ojciec nie przybywa, żeby nas oswobodzić? - spytała Edith, a jej oczy zwięzły się, pełne ; zdziwienia.

Zoke znów namyślił się, zanim odpowiedział. - Ar-! mia angielska wkroczyła do Szkocji. Anglicy rozgromili | siły naszego księcia pod Culloden, potem mieli ruszyć, żeby zdobyć wszystkie zamki w kraju. Można się domyślać, że zamek Ulver został wzięty przez Anglików i że twój ojciec jest więźniem.

- Och! - Zoke myślał, że dziewczynka uderzyła w płacz, bo ukryła twarz w dłoniach, ale gdy podniosła wzrok, jej oczy były suche i błyszczały w nich ogień gnie-

67

wu. - Więc moja matka, Mary, Elizabeth i Margare muszą zapłacić za zdradę! - warknęła.

- Zapłacą - oczy Zoke'a błysnęły. Zniżył głos: -Ale jeśli będą podejrzewać, że ty i ja wszystko wiemy wtedy nie będzie dla nas nadziei. Rozumiesz?

Skinęła głową i zbłądła. Nagle ogarnął ją strach.

- Przysięgam, że nie powiem, ale co my zrobimy Zoke?

- Musimy uzbroić się w cierpliwość - uniósł ko paczkę i zaczął grzebać w ziemi w poszukiwaniu bulw. -Ale możesz mi pomóc. Chciałbym, żebyś słuchała uważnie wszystkiego, co mówią, i potem, gdy będziemy sami prze kazywała mi.

- Dobrze. Ale matka zabroniła mi spędzać z tobą ty le czasu.

- Więc musisz być jej posłuszna. Przynajmniej na ra zie. Ale na pewno nadarzy się sposobność, żeby porozma wiać. Bądź cierpliwa, dziecko, a pewnego dnia będziem;

mieli szansę, żeby uciec stąd razem, pozostawiając je, żeb;

zginęły. Czyż to nie piękne, wiedzieć, że złe kobiety, któn chciały zamordować twojego szacownego ojca, zdychają :

głodu na wyspie, bo mnie tu nie ma i nie mają co jeść?

- Będę się śmiała do rozpuku - Edith wydała z się bie przeraźliwy pisk, pełen gniewu pomieszanego z radoś cią.

- Tak się stanie, zapewniam cię - spojrzał za siebie jakby się obawiał, że ktoś może podsłuchiwać i wyszeptaj - Twój ojciec jest w przyjaźni z bogiem, moje dziecko.

- Z Bogiem?!

- Nie, nie z tym fałszywym, do którego modli sii twoja matka. Nie rozumiesz tego, jesteś za młoda, ale tei bóg jest silny, mieszka w ciemności i gdy mówisz do nie go, słyszy cię. Zobacz - wyciągnął powykręcaną, brudną, rękę i uniósł krzyżyk wiszący u szyi Edith. - Spróbuj nim rozmawiać, w tajemnicy, a gdy mówisz, trzyma krzyż do góry nogami, o tak!

Słońce zaiskrzyło się na odwróconym krzyżu, oślepia jąć ją tak, że przez jakiś czas nic nie widziała. Zakolysał;

68

się i byłaby z pewnością upadła, gdyby przewoźnik nie chwycił JCJ i nie przycisnął do siebie

- Oooh' - jęknęła cicho

- Nie bój się - zachichotał, głaszcząc jej rozczochrane włosy - To znaczy że cię usłyszał, a to dobrze Mówiłem ci JUŻ, że on jest bardzo silny, silniejszy niż Bóg, któremu oddajecie cześć Mów do niego zawsze, gdy się czujesz, tak jak teraz i pros go, zęby pomógł tobie i biednemu Zoke'owi, jego słudze, który był także zaufanym sługą twego OJCB Na pewno wysłucha prośby dziecka i pomoże nam obojgu

Skinęła głową, oszołomiona

- Twoja matka i siostry chcą cię skrzywdzić, nie zapominaj o tym Ale nie możesz im dać poznać, że coś wiesz Wracaj teraz do nich Nie bój się, uciekniemy z ich szponów - ale musimy być bardzo sprytni

Zoke patrzył na nią jak zbiegała po trawiastym zboczu. a jej niewinna nagość podnieciła Karla Jego kalekie ciało rozpałił żar pożądania Pamiętał zeszłą noc i wiele poprzednich, kiedy leżał w swojej śmierdzącej sypialni naprzeciwko niedomkniętych drzwi i podglądał lady Ulver i JCJ córki gdy rozbierały się przed ogniem I to, jak bardzo podniecały go ich smukłe kształtne ciała, tak jak za młodu podniecały go inne kobiety I jak modlił się żarliwie do boga którego znakiem był odwrócony krzyż, zęby mógł mieć nad tymi kobietami absolutną władzę, władzę i siłę, aby zaspokoić swoje żądze.

## Rozdział X

Sen nie przychodził do Franka Ingrama. Leżał w ciemnej sypialni, słuchając oddechu Jake'a, zbyt szybkiego, jak na śpiące zwierzę, i wyteżał uszy, aby usłyszeć stłumione głosy z dołu. Zdawało mu się, że słyszy szczebiot i śmiech dziewcząt, ale nie był tego pewien.

Ich głosy wciąż dźwięczały mu w uszach: miękkie, jedwabiste, słodkie, a przecież groźne. "To wszystko wyobraźnia" - powtarzał sobie wciąż. To dlatego, że odzwyczaił się od towarzystwa ludzi, a szczególnie kobiet. Ich obecność przeszkadzała mu, ich zaskakujące przybycie na wyspę zburzyło jego samotność. Nie chciał ich tu. Jutro odpłyną; odprowadzi je do łodzi i osobiście powierzy opiece starego szypra.

Myśli o kobietach nie dawały mu ostatnio spokoju. Przypomniał sobie dziewczynę w barze w Ulver, podczas swej pierwszej podróży w maju. Próbowła nawiązać z nim rozmowę. Był samotny, owszem, ale odrzucił ją. Znienawidził ją, bo nie była Gillian - gdy przemyślał to spokojnie, stwierdził, że to potwornie głupie.

Dziewczyny, które miał dawno temu, teraz wracały do jego pamięci, wkładały się jak widma, aby go wyszydzać:

„Jesteś przystojny, Frank”. "Nie, nieprawda. Nie chcę być atrakcyjny dla kobiet, chcę, żeby mnie unikały, tak jak ja ich unikam. Jedyną kobietą, której kiedykolwiek pragnąłem, była Gillian, i jeśli nie mogę jej mieć, nie chcę żadnej innej."

Próbował się zmusić do myślenia o żonie, próbował zobaczyć ją oczyma wyobraźni: ubrana w pończochy i kraciastą bluzkę uśmiechała się do niego, leżała naga na łóżku i całe jej ciało zapraszało go do siebie. Ale to nie działało, było jak stare zdjęcie - wyblakłe, niewyraźne i bez 'znaczenia. Zamiast tego zobaczył Samantę stojącą

70

przy piecu z prowokacyjnie rozpiętą bluzką, uśmiechniętą Kusicielkę

"Uciekaj stąd, suko!" Jutro odpłynie - pomyślał - siłą wpełchnięta na łódź, jeśli będzie się opierać, otoczona wiankiem młodych dziwek To dziecko też, złośliwie uśmiechający się mały brzdąc'

Wiatr na zewnątrz rozszalał się na dobre, uderzał w okno grudami piachu Burza długo zbierała siły i potrwa jeszcze parę dni Łódź nie przyplynie - powiedział sobie - morze jest zbyt wzburzone Jake zawył cicho, bał się

Boże, modlił się, pozwól mi myśleć o Gilhan i odsunąć wszystko mne1 Ona jest tutaj, nigdy me odeszła Kochanie moje, jesteś tu, prawda9 W jego myśli wkradł się jakiś kobiecy kształt, ale zamiast pończoch miał dzinsy, a pod rozpiętą bluzką widać było nagie ciało Piersi z uniesionymi, różowymi brodawkami, długie czarne włosy opadające na ramiona, ciemne oczy wpatrzone w niego, uśmiech na twarzy Zwinne palce zręcznie odpięły zatrzaski na pasku i zaczęły ściągać dzinsy - niespiesznie, odstawiając uda, a między mmi - kępkę miękkich włosów „ Jesteś bardzo przystojny. Frank"

Chrząknął gniewnie, wyjął ręce spod kołdry, wyciągając je, zęby pogłaskać Jake'a, ale pies leżał na podłodze i wciąż wył

Frank zadrżał i próbował zwalczyć podniecenie, które znów nadeszło Wyciągnął ręce, tak daleko, jak mógł, wyprostował palce "Nie - myślał - nie, do cholery, nie zmusisz mnie, Samanto Nie chcę tego To ty chcesz"

Gilhan me chciała wrócić do jego pamięci, zdawało się, że zgubiła się w wirującej mgłę, która zasłoniła przed nim jej twarz Było tylko to ciało, zmysłowe, nagie ciało, Samanta zdjęta JUŻ dzinsy i odrzuciła je od siebie „Chodź, Frank, nie odmawiaj sobie tego dłużej, no chodź"

Było tak, jakby ktoś chwycił go po ciemku za nadgarstki i włókł do łóżka, pchając go między prześcieradła, gdzie było przytulnie i ciepło Opierał się, próbował rozcapierzyć pal-

71

ce - na próżno. "Odmawiałeś sobie tego przez ponad rok, Frank. Nie walcz z tym. Potrzebujesz tego, naprawdę".

Wiedział, że nie może dłużej się opierać; to tak, jakby oglądał film, który już wcześniej widział i wiedział, co się stanie. Nie mógł nic zmienić, musiał przez to przejść. „0, Boże, daj mi Gillian, proszę!"

Ale to była Samanta, wiedział o tym bardzo dobrze. Czuł jej ciepły oddech, łagodnie otaczające go miętko, delikatnie, ale pewnie. Był zbyt słaby, żeby się wymknąć. Łóżko skrzypiało leciutko, tak jak łóżko na Guilden gdy kochał się na nim z Gillian. Przysięgał, że nikt nie zajmie jej miejsca, a teraz zdradzał ją. Niewierność, cudzołóstwo: "Nie chcę tego zrobić, ale nie mam siły się powstrzymać".

Słyszał śmiech Samanty, przyzywający go i drwiący zarazem. Przytuliła się do niego, zdecydowanie dążyła do celu, pociągając go na siebie. Jeszcze jedna, ostatnia próba ucieczki - bez skutku. Modlił się, żeby nie stało się to tutaj w ciemności, żeby Gillian nie była świadkiem jego zdrady. Samanta zapanowała nad nim - nawet Jake przestał wyć.

Ciała Franka miało się konwulsyjnie rzucane to w jedną, to w drugą stronę, jakby odzieranego ze skóry. Frank wiał się w pościeli wydając z siebie zduszone krzyki, które wydawały mu się być jękami wstydu. Samanta była tak rzeczywista, nie opuszczała go, a jej nawoływania paraliżowały mu mózg.

Nawet gdy się w końcu uspokoił, była tu nadal, drwiła z niego, pogardzała nim, był jej zabawką. Pozwalała mu opuścić łóżko - ale nawet wówczas nie był w stanie od niej odejść.

Jake zaszczekał krótko, z dezaprobatą. Frank zakrył dłońmi zalaną potem twarz, gorąco rozlewające się w dole ciała paliło go wstydem. Wił się w duchowej agonii; próbował płakać, ale łzy nie płynęły. Chwytał poduszkę, miał ją, skręcał i chciał, aby kobiety na dole go słyszały.

Po długim czasie zapadł w sen. Męczyły go potworne sny, w których erotyzm mieszał się z przerażającymi zjawami; wszystko to przerywało posępne wycie Jake'a. Wi-

72

chura dosięgła zenitu, grad nieprzerwanie walił w szyby okien, jak gdyby nawet niebo potępiało go, za to, co zrobił.

Frank obudził się z bólem głowy - czuł uderzenia pulsu w skroniach, tępy ból rozsadał mu głowę, tak że nawet szarość zimowego poranka, była dlań zbyt jaskrawa. Dzień brutalnie wtargnął w jego zmaltretowany, zmęczony mózg. Stoczył się z łóżka, chwycił za kotary i z przerażeniem wpatrywał się w matowe szkło szyby. Spływały po nich strużki wody. a wiatr próbował wyrwać je z ram. Na morzu szalała burza, słyszał dalekie uderzenie fal w Kotle. Wiedział już, że łódź dziś nie przyplynie.

Jake wstał, przeciągnął się i przyglądał się badawczo swemu panu. Frank pogłaskał go, zatrzymał dłoń na głowie psa, ale ten strząsnął dłoń. „Przepraszam, Jake. Musimy coś zrobić, żeby się ich pozbyć. Chodź, zejdziemy na dół”.

Owczarek ociągał się, zawarczał i wyszczerzył zęby.

"No, chodź, nie bądź głupi! Nie możemy tu zostać przez cały dzień. Wyjawszy wszystko inne, mamy dziś trochę roboty z owcami. Chodź!"

Frank schodził stopniowo na dół, trzymając się poręczy, Jake za nim. Zanim jeszcze doszli do drzwi na dole, ostry zapach uderzył w ich nozdrza. Smażony bekon: słyszeli skwierczenie na patelni.

- Dzień dobry, Frank. Dobrze spałeś? - Samanta była ubrana, stała razem z trzema dziewczętami, a jej szybkie, niemal lękliwe spojrzenie rozproszyło początkowe obawy farmera, że jej bluzka mogłaby wciąż być rozpięta. Ruth smażyła bekon, Janet opiekowała chleb przy kominku, a Debbie kładła sztuczce i talerze na wyczyszczonym sosnowym stole. Ellen wciąż leżała owinięta w koce i spała. "Co za dziecko - pomyślał Frank - leniwy, mały brzdąc".

- Dziękuję, dobrze spałem - skłamał, zmuszając się do uśmiechu. - A wy?

- Cudownie. Wszystkie.

- To dobrze - czuł się nieswojo, był zmieszany; nie nawykł do tego, że ktoś przygotowuje mu śniadanie, nie

73

wiedział, co ze sobą zrobić Niepewnie usiadł przy stole, zauważył, że Jake znów ułożył się w najdalszym kącie po-koju, spoglądając na mego, z płasko położonymi uszami i podwiniętym pod siebie ogonem Nic me zmieniło się od poprzedniego wieczora

- Jakie jajka lubisz? - Ruth odwróciła się od pieca, jej pełne czerwone usta rozciągnęły się w uśmiechu, d zielonkawe oczy zdawały się pytać o coś więcej niż wygłoszone konwencjonalne, domowe pytanie - utkwione w nim, penetrujące, przeszukujące go

- Ja - Frank z trudnością wykrztusił - Hm takie średnio usmażone Nie jestem wybredny Jajka to jajka

Odwróciła się do patelni, a on nie mógł od mej oderwać wzroku, instynktownie wyczuwając pod wytartymi dżinsami twarde pośladki i dziewczęce biodra Gdy z trudem oderwał od niej wzrok Samanta przyglądała mu się z dezaprobatą Zazdrośnie Przełknął ślinę skrzepowany

- Ranek dziś niezbyt ładny - czuł, że musiał coś powiedzieć, zęby uratować sytuację - Grad znów zmienił się w ulewny deszcz, niesiony gwałtownymi podmuchami wicheru

- No cóż, sztorm się me skończył - Samanta nie patrzyła teraz na mego, koncentrując się na układanych na stole sztuccach -

Wygląda na to, że łódź jednak me przyplynie - Jej głos brzmiał dwuznacznie

- Zadzwoń do portu - zatrzymał się Zapomniał zupełnie, że telefon me działa Poczuł się jak człowiek złapany w potrzask -

było to coś w rodzaju paniki "To ja zostałem porzucony na bezludnej wyspie, nie wy" - Może, jeśli wichura osłabnie, łódź przyplynie za godzinę czy dwie Zdarzało się JUŻ, że docierali tu dopiero koło południa Na wyspach wszystko zależy od pogody - wiedział, że wiatr me zmniejszy siły, i że na pewno prom dziś nie przybędzie, ale nie chciał tak łatwo dać za wygraną

Rzucił ukradkowe spojrzenia w kierunku drzwi i stwierdził z ulgą, że strzelba stoi oparta tam, gdzie ją zo-

74

stawił zeszłej nocy. Dało mu to przez moment cień nadziei. Było to głupie; wiedział, że nie mógłby użyć strzelby wobec gromady kobiet. W stosownym momencie powinien ją rozładować i odłożyć w bezpieczne miejsce.

- Śniadanie gotowe! - Ruth zaczęła ustawiać na stole talerze pełne bekonu, smażonych jaj i chleba.

- No, chodźcie wszyscy, bo ^ostygnie! Hej, Ellen ciągle leży w łóżku! Wstawaj, Ellen! Śniadanie!

Dziecko poruszyło się, otworzyło oczy, ale zanim siadło, leżąc przypatrywało się jakiś czas obecnym.

- Nie chcę wstawać - rzekła nadąsana. - I nie chcę żadnego śniadania.

Samanta spojrzała na Ruth i rozluźniła zacisnięte usta, powstrzymując się od wybuchu gniewu. Były przecież w obcym domu.

Rzekła więc tylko, wzruszając ramionami:

- Dobrze, proszę bardzo, rób jak chcesz. Ale jeśli będziesz głodna przed obiadem, nie zwracaj nam głowy.

- Skąd jesteście? - spytał Frank, gdy jedli. Zapadła krótka cisza, trzy dziewczyny patrzyły na Sa-mantę, jakby mówiły: no, powiedz, musisz mu powiedzieć, to ty tu rządysz.

- Ze środkowej Anglii - Samanta patrzyła w dół, na talerz, niepewna siebie. - Nie sądzę, żebyś znał te okolice.

- Wręcz przeciwnie - poczuł, że je niemile zaskoczył, przyłapał na kłamstwie, które łatwo może być odkryte. - Pochodzę z pogranicza Walii, to niedaleko od środkowej Anglii. Około godziny jazdy do Wolverhampton. Z której części środkowej Anglii? - Wolverhampton.

Zapadła niepokojąca cisza. „Powiedziałaś tak tylko dlatego, że wymieniłem tę nazwę” - pomyślał. Żadna z nich nie miała środkowoangielskiego akcentu, w ogóle nie miały śladów jakiegokolwiek dialektu, mówiły czystą angielszczyzną, jak dziewczęta z prywatnej szkoły z internatem, córki bogatych biznesmenów. Postanowił nie upierać się przy kwestii ich pochodzenia, w każdym razie nie teraz.

- Oczywiście zapłacimy ci za żywność, za cały czas,

75

jaki będziemy musiały tu pozostać. - Samanta odsunęła od siebie pusty talerz i sięgnęła po grzanki.

Już otwierał usta, żeby powiedzieć: "W porządku, nie ma sprawy", ale w porę się powstrzymał. Czemu, u diabła, Ulver miałyby się stać darmowym domem wczasowym?

- Policzymy to - odpowiedział - zobaczymy, ile czasu tu zostanieie. Raczej niedługo, łódź rzadko kiedy spóźnia się więcej niż

o dwa, trzy dni.

- Cóż, myślę, że możemy zrobić tu coś pożytecznego - Samanta uśmiechnęła się; przypatrywała mu się w ten sam, badawczy sposób. - Ten dom potrzebuje kobiecej ręki, mam nadzieję, że wybaczysz mi, że tak mówię. Widzę, że umiesz dbać o siebie i o dom, ale jesteś farmerem, zbyt zajęтым, aby zwracać sobie głowę detalami. Domyślam się, że nie masz żony? To pytanie sprawiło mu ból. Przekłęta, przecież wiedziała! Znów się nim bawiła. W takim razie, co z tą nocą?!

- Jestem wdowcem - nie zamierzał wchodzić w szczegóły, było to zbyt bolesne.

- Och, przykro mi - szybko zmieniła temat. - Dobrze, Frank, idź teraz i weź się do pracy - my, posprzątam, zmyjemy naczynia i zrobimy coś w domu. Potem chcę wziąć dziewczyny na długi spacer po wyspie.

- W taką pogodę? - patrzył na nie osłupiały - Boże, przecież w takim wietrze ja sam ledwo dojdę do owiec. To raczej niezbyt dobra pora na wędrówki.

- Pamiętaj, że to odznaka miłośnika przygód - uśmiechnęła się, demonstrując Frankowi błyszczący emblemat. - Przypłynęliśmy tu z łądu w sztormie. I miałybyśmy się wzbraniać przed spacerem w deszczu i na wietrze?

- Cóż, przypuszczam, że nie - wstał, a Jake podbiegł do niego, omijając gości tak szerokim kołem, jak było możliwe. - W porządku, zrobicie, co będziecie chcieli. Ja wyjdę na godzinę lub dwie; wpadnę tu przekąsić co nieco, zanim pójde karmić owce. Wezmę ze sobą strzelbę. Nie obiecuję następnej gęsi na kolację, ale może trafi mi się królik. Do zobaczenia. Z jaką ulgą znalazł się na zewnątrz, w bijących pory-

76

wach wiatru i strugach deszczu! Od długiego czasu nie zaznał takiego uczucia. W przeciągu paru minut głowa przestała go boleć i nawet Jake biegł z uniesionym ogonem. Krótkie wytchnienie, godzinę lub dwie - próbował nie myśleć o wieczorze. Strzelba ciążyła mu przyjemnie na ramieniu - dawała możliwość obrony, zadawania śmierci. Nie było potrzeby, żeby tyle godzin spędzał dziś poza domem; większość owiec była na farmie i karmienie pójdzie szybko. Ale odczuwał potrzebę trzymania się jak najdalej od przewodniczek. Możliwe, że pogoda się zmieni i będzie szansa, że łódź przyplynie później, po południu. Uchwycił się kurczowo tej nadziei.

Postanowił iść na wzgórze by wytopić królika. Nie było ich tu wiele, ale miał nadzieję ustrzelić jednego. Cholera, powinien był wziąć ze sobą więcej naboń. Zatrzymał się, ale przypomniał sobie, że zostawił dwa naboje w strzelbie. Powinny wystarczyć, nie miał zamiaru robić rzezi - tylko jeden królik na kolację, żeby sprawdzić talent kulinarny Samanty. Duszony albo pieczony, a może nawet pasztet z kruchym ciastem?

U stóp wzgórza było cicho, podmuchy atlantyckiego wiatru uderzały w szczyt, pozostawiając zbocze w spokoju. Frank był ciekaw, czy dzikie gęsi wróciły i postanowił później przejść tamtędy i rzucić okiem. Ale nie zamierzał im przeszkadzać - ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było wygonić je z zimowego zerowiska.

Jake biegł u nogi Franka, nie odchodząc ani na krok, nie chciało mu się nawet węszyć. Był dziwnie wyciszony, posępny, jakby ten spacer był stratą czasu, bez owiec, które by musiał zaganiać.

Wysokie kępy trawy żółciły się, falowały, a wysokie łądygi szeleściły ocierając się o buty Franka. Tu ślady królików były bardzo nieliczne, a stara królikarnia porośnięta trawą - wyglądało to, że kolonia wyginęła. W takie dni jak ten, te, które przeżyły na pewno siedzą w swoich kryjówkach. Frank podniósł strzelbę i maszerował z bronią gotową do strzału. Był optymistą; wciąż miał nadzieję,

77

że jakiś pojedynczy królik odważy się wyjść w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Tylko jeden, nie chciał więcej.

Jego życzenie się spełniło. Błyskawiczny ruch w wysokiej, mokrej trawie; królik biegł po otwartej przestrzeni w kierunku bezpiecznych zarośli. Dwadzieścia pięć jardów, żaden problem! Szybko uniósł strzelbę, wymierzył i nacisnął spust.

Trzask!

Przeklął głośno, zaskoczony, wymierzył jeszcze raz;

królik już prawie dobiegł do najbliższej dziury, ale jeszcze była szansa na celny strzał. Nacisnął spust drugi raz.

Trzask!

Znów nic - te przekłete naboje były już za stare albo zwilgotniały w kredensie. Dwa niewypały, nie będzie królika na kolację. Ale przecież te same naboje zabiły gęś wczoraj rano...

Frank Ingram otworzył strzelbę i z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy. Strzelba była rozładowana, ktoś wyjął z niej naboje!

## Rozdział XI

Zoke niezadarnym krokiem, powłócząc nogami pokonywał drogę na wzgórze. Od czasu do czasu rozglądał się, ale nigdzie nie było Edith, od paru tygodni trzymała się od niego z daleka. Tak jak jej polecił: "Słuchaj, co mówię, a potem, gdy będzie okazja do rozmowy, opowiesz mi." Ale dziecko ignorowało go, wyraźnie schodziło mu z drogi, unikało go. Z pewnością matka zakazała dziewczynie kontaktować się z przewoźnikiem. Widział, jak chodzi sama nad morze, ale gdy tylko go zobaczyła, gdy przychodził zbierać drewno lub sprawdzić pułapki na ptaki, uciekała. Nie ufał jej, zło poznało się na źle. A Edith była zła, bardzo zła.

Coraz trudniej było łapać króliki. Kolonia nie była wielka, a trzy ostatnie, które złapał, okazały się kotnymi samicami. To znaczyło, że wymordował całą rodzinę królików, zanim zdążyły się rozmnożyć. Nie zostało ich wiele, a zima zbliżała się wielkimi krokami - zimą świeże mięso będzie im najbardziej potrzebne.

Pułapka była nietknięta - ciężki kamień podparty gałęzią, naprężony linką - wszystko było tak, jak to zostawił dwa dni temu. Potrząsnął głową przygnębiony. Nie będzie łatwo wrócić do domu i powiedzieć Lady Ulver, że na wzgórzu nie został już ani jeden królik. Nie spyta go o szczegóły, będzie miała mnóstwo pretensji. Ich żołądki muszą być wypełnione.

- Więc znajdź jakieś inne mięso, Zoke. Na brzegu jest mnóstwo ptaków - powie.

To była prawda. Na urwisku nad Kotłem żyły kormorany. Zoke wspiął się po skale i wykradł gniazdo, wrócił z jajami, które upiekł w piecu chlebowym. Parę dni później znalazł gniazdo mewy i znów jedli jajka. Ale ptaki były inteligentne i ostrożne.

Wokół, na morzu, było mnóstwo innych wysp, na których mogły budować gniazda, bez

79

obawy, że ktoś wykradnie im jajka. Nie próbował tego wyjaśnić Marie i jej córkom. I tak trzeba było znaleźć żywność i to on musiał się o to martwić.

W morzu żyły ryby - ale żeby je złapać potrzebna była łódź. Czasem, podczas odpływu można było znaleźć na piachu makrelę lub śledzia, pod warunkiem, że zauważyło się ją wcześniej niż żarłoczne mewy. Zdarzało im się jeść nadpsute ryby i nikt prócz Edith nie narzekał. Ale Edith narzekała ostatnio na mnóstwo rzeczy.

Nigdy nie opuszczają tej wyspy żywi. Zoke pogodził się z losem. Gdyby na Ulver rosły drzewa, gdyby można było zdobyć solidne drewno a nie tylko gnijące pniaki i połamane gałęzie wyrzucane przez przypyły, zbudowałby łódź, a nawet tratwę i dopłynąłby na ląd. Ale to niemożliwe. I nikt tu nie przybędzie, na pewno Anglicy pobili Szkotów, Saksończycy nie przyplłyną tu, nie widząc pożytku w odległych, niezamieszkałych wyspach.

Myśli Zoke'a powędrowały dalej. Karzeł wspominał z lekkim drżeniem w łędźwiach, jak leżał wczoraj naprzeciwko drzwi, a kobiety sądziły, że śpi już na swym łóżku z wyschniętych gałęzi. W spaczonyj drewnianej ścianie była dziura, wystarczająco duża, aby mógł patrzeć przez nią jednym okiem.

Patrzył, jak rozbierają się przy gasnącym ogniu, jak ich nagość lśni różową poświatą w ciemności i lubował się erotycznym posmakiem tej sceny. Dojrzała kobieta i jej dorastające córki, dziewice szukające rozkoszy w swoich własnych ciałach, gdy ogień zgasł, kładły się do łóżek i udawały, że śpią i nie widzą, co robią pozostałe. Słyszał przyspieszone oddechy, sucha trzcina szeleściła, gdy drżały i wiły się z rozkoszy, którą same sobie dawały, podczas gdy Edith spała cicho a niewinnie.

Och, jak te dziewczuchy i ich matka tęskniły do mężczyzny, silnego mężczyzny, a miały pod swym dachem tylko kalekiego przewoźnika. Z pewnością było to lepsze, niż brak mężczyzny w ogóle, ale nigdy nie przestaną okazywać mu swej pogardy. Był jedynie sługą. „Znajdź nam pożywienie i rozpal ogień, Zoke, a w nagrodę pozostawimy cię

80

przy życiu." Ale nie zawsze tak będzie - zachichotał pod nosem - przyjdzie czas, kiedy Zoke zostanie doceniony. Modlił się do pana ciemności, aby przyspieszył ten dzień. Ale tymczasem musiał być na ich usługi, choć wiedział, że pewnego dnia staną się zabawkami jego żądy.

Rano Zoke poszedł na plażę i znów nie znalazł żadnej zdobyczy. Z miejsca, w którym stał, widział pułapkę na ptaki: nietkniętą sieć z potrójnie plecionej trzciny i gnijącą na słońcu przynętę z padliny. Jęknął. Ptaki były inteligentne, nie dawały się już nabrać na jego przynętę: widziały zbyt wiele swoich braci leżących martwo pod dużymi płaskimi kamieniami. Nad jego głową przeleciało stado czarnoogoniastych mew, krzyczały głośno, kpiły z niego: "jesteśmy mądrzejsze od ciebie, Zoke, nie złapiesz nas na swoje nieudaczne pomysły!"

Stał tak, ze zwieszoną głową, próbując odgadnąć gdzie jeszcze mógłby znaleźć coś do zjedzenia. Nawet orzeszków ziemnych prawie nie było, wykopywał je niemal codziennie, a rosły tylko w jednym miejscu, u stóp wzgórza.

- Ptaki są sprytniejsze od ciebie, morderco! Zatrzymał się i obrócił na pięcie, serce biło mu nieprzytomnie.

- Edith!

- Tak, to ja. - Dziewczynka odziana była w postrzępiony worek. Uśmiechała się, ale w jej wąskich oczach nie było ani śladu radości. - Cieszę się, że nic nie złapałeś. To okrutne.

- Potrzebujemy mięsa, żeby żyć - wymamrotał.

- Nie podoba mi się zabijanie. Właśnie dlatego nienawidzę mojej matki i siostr - chciały zabić ojca. Będę codziennie oglądać twoje pułapki i gdy znajdę w nich jakieś zwierzę, wypuszczę je!

- Więc umrzesz z głodu, jak my wszyscy. Jeśli będziesz niszczyć moje pułapki, powiem twojej matce.

- A ja powiem jej wszystko o tobie! Wiesz chyba, co z tobą zrobią?

Zatrząsał się, jego górna warga drżała.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał po chwili milczenia.

6 W;^pd

81

To dziecko nie miało dobrych zamiarów, było przebiegłe i nikczemne.

- Jeśli nie będzie jedzenia, moja matka i siostry umrą, prawda? - jej oczy zwężyły się jeszcze bardziej.

- Tak, ty i ja też.

- Niekoniecznie. Wiesz, Zoke, myślałam jak mogłabym się zemścić na nich za to, że spiskowały przeciwko ojcu. Jeśli nie będą miały co jeść, umrą z głodu. Ale gdyby tak ukryć gdzieś żywność dla ciebie i dla mnie...

Nawet chytremu i zdradliwemu Zoke zaparło dech z przerażenia. To dziecko, istne szatańskie nasienie, znalazło sposób na uwolnienie się spod władzy lady Ulver, wyniosłej prześladowczyni i jej córek.

- Gdzie schowałabyś jedzenie? - spytał wolno.

- Jest taka mała grota w ścianie skalnej, gdzieś tak sto jardów od plaży - obróciła się i mówiła dalej. - Woda tam nie sięga, jest zbyt wysoko. Można tam schować jedzenie dla ciebie i dla mnie, możemy się wymykać z domu pod pozorem szukania czegoś dla nich i jeść ukradkiem.

Kiwnął głową jak marionetka, której urwała się nitka. Jego otępiaty mózg pracował z natężeniem. Genialna myśl dziecięcej głowy. Kobiety będą słabnąć, aż gdy ich koniec się zbliży, nie będą mogły obronić się przed nim, wtedy zrobi z nimi, co zechce. A dzieckiem zajmie się później...

Patrzyła na niego uważnie, aż nagle nerwowym ruchem chwyciła krzyżyk zawieszony na szyi i odwróciła go. Promienie słońca odbiły się od metalu i oślepiły go raniącym oczu światłem. Spuścił oczy, skulił się przed nią.

- Będziesz musiał wykonywać moje rozkazy, gdy one odejdą, Zoke! - jej głos był niski i groźny, nie do poznania. Groźba, która w nim brzmiała, przysła od kogoś o wiele, wiele lat starszego od tej zwykłej, dorastającej dziewczyny.

Po raz pierwszy od owego poranka zeszedł zimy, gdy zobaczył swoją łódź roztrzaskującą się na kawałki wśród wściekłych fal Kotta, Zoke poczuł wielki strach. Doprawdy, Edith rządziła teraz wyspą Ulver.

## Rozdział XII

Frank Ingram, wściekły i zmartwiony, wpatrywał się w strzelbę. Królik uciekł nietknięty; Frank był zły, że przewodniczki miały czelność zaglądać do jego broni, jego osobistej własności w jego własnym domu. Mogły się przypadkiem postrzelić - i niech tam, baba z wozu, koniom lżej! Wyjąwszy to, że mógłby zostać postawiony przed sądem oskarżony o zabójstwo.

Znów usłyszał warczenia Jake'a. "Zamknij się, ty cholerny psie!"

- Czy nie tego szukałeś, Frank? - przez świst wiatru usłyszał ostry, dziewczęcy głos. Odwrócił się na pięcie, unosząc nieużyteczną, nienaładowaną strzelbę, ale opuścił ją, gdy zobaczył dziecko w wilgotnej, niebieskiej kurtce przeciwdeszczowej

trzymające w palcach dwa czerwone, cylindryczne przedmioty. Jej palce układały się w literę V, język wysunęła po dziecięcemu. Ale pod tą krnąbrną, młodzieńczą niegrzecznością kryła się złowieszczą groźba, która sprawiła, że mimowolnie się cofnęła.

- To są moje naboje! - warknął rozjuszony. - Nie miałaś prawa dotykać mojej strzelby. To kradzież! Dawaj to, natychmiast!  
- Nie dam! - Ellen wydeła policzki. Frank poczuł, że skronie mu pulsują a wszystkie mięśnie naprężyły się jak struny. Zadrzał i ścisnął strzelbę:  
- Dawaj naboje - zniżył złowieszczo głos - albo przełożę cię przez kolano i stłukę ci tyłek, zanim zdążysz pisać.  
- Wezwę policję - uśmiechnęła się złośliwie - w dzisiejszych czasach nie wolno robić takich rzeczy. Poskarżę się w szkole.  
- Dobrze, w porządku - zrobił krok do przodu - ale teraz oddaj mi naboje. W tej chwili!

83

Przez moment zdawało mu się, że zamierza tak zrobić. Wyciągnęła ramię, ale nagle uniosła je w górę, za głowę, a potem naprzód. Otworzyła palce, wypuściła naboje i cisnęła je wysoko w powietrze. Patrzył jak spadły w błotnistą kałużę, dał się słyszeć plusk i naboje zniknęły.

- Cholera - zasyczał.

- Bardzo dobrze. - Teraz nie możesz już niczego zabić. Zamordowałbyś tego biednego, małego królika, gdybym nie wyjęła naboi. Nie znoszę zabijania zwierząt.

"Jesteś z gatunku tych, którzy wyrzuwają muchom skrzydełka, a pająkom nóżki. Hipokrytka, jak ci wszyscy, którzy protestują przeciw polowaniom" - pomyślał.

- To moja wyspa i będę na niej robił, co mi się spodoba - ledwo powstrzymał się od tego, by rzucić się na dziecko z pięściami. - Pamiętaj o tym.

- Nienawidzę cię - syknęła. - Nawet moja matka i siostry cię lubią. Myślą, że jesteś sexy. A ja myślę, że z ciebie kawał gówna!

- Gadasz od rzeczy - wirowała mu w głowie. - Nawet nie znam twojej matki i sióstr.

- Czy ty jesteś ślepy? - wrzasnęła ze złością. - Więc jak myślisz, kto ci zrobił śniadanie?

- Co?... co? Mówisz, że... - to było szalone, albo on źle zrozumiał, albo ona beczelnie kłamała. - Samanta jest twoją matką, a ona... A ja myślałem, że jesteście przewodniczkami. A Sam... Twoja matka powiedziała, że pojechałaś tylko dlatego, że twoi rodzice są za granicą.

- Ona czasem kłamie i to zupełnie bez powodu. Może mi pan wierzyć, że to moja matka i siostry. I właśnie dlatego, że one mają na pana chętkę, ja nie mam. Świetnie, nie?

- Hej, poczekaj chwilę...

Ellen odwróciła się i pobiegła, zostawiając ślady w miękkiej trawie, rozpryskując nogami wodę z kałuż. Jake skoczył naprzód, potem nagle cofnął się i zaczął szczeekać, sierść mu się zjeżyła.

- Zamknij się, Jake - Frank potrząsał głową i był kompletnie zdezorientowany. - To bez sensu, całkiem

84

jak jakiś zły sen. Jak sen, który miałem zeszłej nocy - stojąc tam, ujrzał oczyma wyobraźni Samantę, nagą i uśmiechniętą. Z trudem odegnął jej obraz i patrzył na młodą dziewczynę, aż zniknęła za wzgórzem. Wcale nie szła do domu, jeszcze dziecko, które instynktownie szukało bezpieczeństwa. Nie Ellen - była niedobra, dokuczliwa i zawzięta. O co, u diabła, tutaj chodziło? Czy te dziewczyny były przewodniczkami, czy to wszystko tylko kłamstwo? Czy przyplłynęły łodzią, którą porwał potem morze? Cóż, musiały przyplłynąć łodzią, trudno przypuszczać żeby odległość z lądu przebyły wplaw.

Ruszył naprzód. Nie miał naboi, nie będzie królika na kolację. Wiatr wcale nie zelżał, łódź pocztowa dziś już na pewno nie przyplynie. A to znaczyło, że dziewczyny zostaną na jeszcze jedną noc. Nie była to dla niego przyjemna myśl. Powinno dojść do poważnej rozmowy dziś przed snem, chciał znać prawdę, całą prawdę. Znow przesłała mu przez głowę myśl, że może są uciekinierkami z więzienia. Dziś weźmie ze sobą na górę strzelbę, i jeśli okaże się niezbędne, w ogóle nie zaśnie.

- Ty wiesz, że coś tu jest nie w porządku, nie, Jake? Jake zaskamlał i ruszył przy nodze pana.

Był już czas lunchu, ale Frank ociągał się z powrotem do domu, bał się wracać na farmę. "Pieprzyć to - pomyślał - nie mam ochoty oglądać stada bab, które w dodatku będą chciały mi rozkazywać. Wrócę i od razu wyłożę karty na stół. Nie, nie to głupota, pozwalam im na zbyt wiele."

Gdy zbliżał się do farmy, odniósł dziwne wrażenie pustki, uderzyło go to już z daleka. Nie, to nie było logiczne, w kuchni paliło się światło, więc kobiety pewnie jadły lunch. Powiedział Samancie, że zazwyczaj wraca koło pierwszej przekąsić co nieco. Ale wiedział, zanim jeszcze pchnął drzwi, że w środku nie znajdzie nikogo.

Jadły już, poznał to po talerzach i kubkach stojących na suszarce. Na stole stał talerz z trzema kanapkami, kubek, słoik z kawą i otwarta paczka herbatników. Było to

85

tak jasne, jakby zostały wiadomość na kartce: "Wysz-łyśmy, to lunch dla ciebie. Do zobaczenia".

Tym razem przynajmniej wykazały się dobrym wychowaniem i zostały mu przekąskę, bądź co bądź były na jego garnuszku. Zdjął czajnik z płyty, nalał wrzątku do kubka, po czym usiadł. Jadł bez apetytu i siorbał gorącą kawę. Uczucie, że został schwytany w zasadzkę, potęgowało się z każdą minutą. Gdyby tylko sztorm osłabł, wszystkie problemy rozwiązałyby się prosto. Ale sztorm wciąż trwał, może tak wiać jeszcze parę dni. Powinien jak najszybciej utrzcć tym babom nosa i pokazać, kto tu rządzi. Uderzyła go nagła a genialna myśl, sięgnął na kredens po małe radio tranzystorowe. Przecież istnieją takie rzeczy jak prognozy pogody - może przynajmniej dowie się, kiedy skończy się sztorm, za wszelką cenę chciał to wiedzieć.

Włączył odbiornik. Nic. Obracał gałką w tę i z powrotem, ale nie usłyszał nic więcej prócz trzasku. Nerwowo zdjął tylną pokrywę, z brzękiem spadła na podłogę. Baterie były w kompelcie, chwycił jedną i wyjął. Zawiedziony, potrząsnął nią, wiedział, że była wyczerpana i że pójście do warsztatu by ją sprawdzić byłoby stratą czasu. Miała tylko dwa tygodnie, nie więcej, i była do niczego. W dodatku nie miał zapasowych. Spojrzył na telefon, potem przeniósł wzrok na świecąca żarówkę i ciekaw był, kiedy zepsuje się generator. Czuł zło czające się za plecami, nieuchwytną, niewidzialną siłę, która go przerażała.

Frank podszedł do szafki kuchennej, szeroko otworzył drzwiczki, gorączkowo przetrząsał półki, przewracał puszkę z aerozolami; jedna z nich spadła i potoczyła się po podłodze.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął z ulgą, gdy dotknął palcami małego kartonowego pudełka. Wyciągnął je i przechylił: na rozłożoną dłoń wypadły naboje. Na szczęście nie znalazło ich to wścibskie dziecko. Próbował nie myśleć, że mogłyby okazać się bezużyteczne, jak baterie w radiu, wilgotne i stare, ze splonkami niezdatnymi do od-

86

palenia prochu. Będą strzelać, oczywiście, że będą strzelać i będą zabijać!

„W porządku, na pewno damy sobie radę” - rzekł do siebie. Oparł się o stół. Nie chciał patrzeć na skulonego w kącie psa, nie chciał ujrzeć łęku w jego oczach.

- Lepiej będzie, jak ruszymy do pracy, Jake - powiedział w końcu. - Cokolwiek miałyby się tutaj wydarzyć, trzeba teraz zająć się owcami.

W owczarni było ciepło, owce dreptały w miejscu i beczwały, tłocząc się koło żłoba. Frank pracował mechanicznie, jak robot, powtarzając te same czynności: ciął bele siana, wrzucał je do kominków, wracał po następną porcję, głaskał łby owiec pochylone nad żłobem, nalewał do poidel świeżej wody. Rozklekotane drzwi trzaskały na wietrze, na zewnątrz zapadała ciemność.

Wiedział, że kobiety wróciły; nie słyszał nic i nie widział, ale po prostu wiedział - być może dlatego, że nie mogłyby zostać dłużej w ciemności przy takiej pogodzie. Wciąż był na nie zły, nie spieszył się z powrotem do domu. Będzie mnóstwo czasu żeby powiedzieć to, co powinno zostać powiedziane.

W końcu wszystko było zrobione i Frank szedł przez podwórze w kierunku domu. Przez rozświetlone okna widział je, zwyczajne kobiety, matkę i nastoletnie córki, i najmłodszą obserwującą je, kiedy zajmowały się przygotowaniem wieczornego posiłku. Normalna scena, rodzina oczekująca powrotu pana domu. Tak, tylko że ja nie jestem waszym mężczyzną - pomyślał.

- Cześć, Frank! - obrócili się w jego stronę, gdy wszedł do kuchni i zdjął buty. Pies przemknął się do kąta.

- Co za noc! Jest chyba jeszcze gorzej, niż wczoraj.

- Sztorm skończy się tej nocy - odrzekł krótko.

- O, skąd wiesz? - Samanta wpatrywała się w niego uważnie, zbyt uważnie.

- Słyszałem prognozę pogody... w radio - skłamał, mając nadzieję, że zabrzmiał przekonująco.

- To zabawne - czoło Samanty pokryło się zmarszczkami a oczy zwężyły się. - Próbowaliśmy włączyć

87

radio, zanim wyszliśmy stąd. Nie wiedzieliśmy, jak je uruchomić, ale wydawało się nam, że baterie są do niczego.

- Są w porządku! - krzyknął wyzywająco, straciwszy panowanie nad sobą, ale po chwili opanował się. - Idę się wykąpać na górę.

- Świetnie. - Odwróciła się i zaczęła trzeć ser. - Kolacja będzie za pół godziny. Odpowiadają ci ziemniaki i placek z serem? Bo chyba nie udało ci się zastrzelić królika?

- Nie, nie udało mi się. - Spojrzał na Ellen. Patrzyła nań chmurnie i prowokująco: „No, ruszaj, powiedz im, jeśli masz tyle odwagi.”

- Dobrze, będę na dole za dwadzieścia minut.

Nawet w najbardziej szalonych snach Frank nie widział Jake'a towarzyszącego mu w kąpieli. Pies siedział z żalobną miną, patrzył nań przez chmurę pary. Frank leżał w wannie, zamknął oczy i próbował zrelaksować się w ciepłej wodzie.

"Daj mi 10 minut wytchnienia, proszę!" - pomyślał. "Jeśli nie pozwolisz mi spać, pozwól mi się przynajmniej spokojnie wykąpać". Próbował nie słuchać odgłosów krzątania w kuchni tuż pod nim. "Nie ma ich tam - powiedział sobie - nie ma ich tam, nie ma! Jestem sam w moim własnym domu". Ale nie był sam.

Nadszedł czas kolacji, wyglądali jak farmerska rodzina, która zasiadła wieczorem do stołu. Nawet Ellen przyłączyła się do nich, jedząc łapczywie i głośno. Uświadomił sobie, że działa mu na nerwy, rozlewała i rozrzucała jedzenie, moczyła chleb w herbacie. Odrażające dziecko, nieposłuszne i zepsute. "Jeśli by była moją córką... Nie, na Boga, wolałbym umrzeć!"

- Kolacja była wymienita - przynajmniej umiały gotować, nie mógł się uskarżać.

- Ja... hm... ja...

- Tak, Frank?

Samanta przesyłała go wzrokiem - wszystkie wpatrywały się w niego, Ellen zaś utkwiała w nim nienawistne oczy.

- Jest coś, co musimy sobie wyjaśnić - powiedział, żałując, że jego słowa nie zabrzmiały tak mocno, jak miały zabrzmieć.

- Masz jakiś problem? - Samanta nie zmieszała się ani trochę, ani głos, ani uśmiech jej nie zdrzął.

- Tak, mam - Frank podniósł wzrok i przenosił spojrzenie z twarzy na twarz aż utkwiał je w Samancie. - Myślę, że zeszłej nocy nie powiedziałas mi całej prawdy, Samanto. Jesteście wszystkie jedną rodziną!

- Och, myślałam, że widać to na pierwszy rzut oka - na twarzy Samanty pojawiło się zdziwienie.

- Nie, nie widać - warknął - mówiłaś, że jesteś kierowniczką przewodniczek...

- Ależ jestem - odrzekła z lekkim oburzeniem.

- I że Ellen musiała ruszyć z wami, bo jej rodzice są za granicą. - "No, ciekawe, jak z tego wybrniesz" - dodał cicho.

- Ależ są. - W odpowiedzi kobiety zabrzmiało tylko trochę wahania. - Jej dziadkowie, a moi rodzice. Być może powiedziałam to trochę niezdarnie, dlatego nie zrozumiałeś. Ellen jest moją najmłodszą córką i normalnie zostaje z babcią i dziadkiem, ale tym razem wyjechali. Więc wzięłam ją ze sobą. Czy ta odpowiedź cię zadowala, Frank?

- I wszystkie są twoimi córkami? Dlaczego nie ma z tobą innych dziewczęta?

- To dziecinnie proste. - Samanta odchyliła się na krześle i ziewnęła, zasłaniając dłonią usta. - Nasza grupa przewodniczek zmniejszyła się liczebnie przez ostatnie dwa lata - jeśli weźmiesz pod uwagę ile jest w ogóle dziewcząt w tym wieku w...

Wolverhampton, rzecz staje się jasna. Zachęcałam moje dziewczęta, żeby nadal przychodziły, ale tej wiosny okazało się, że zostałyśmy my - i nikogo spoza rodziny. Nie zgodziłam się, żeby zlikwidować koło przewodniczek i w ten sposób dzielnie trzymamy nasz sztandar. Prawda, dziewczęta?

- Tak, Samanto - chórek cienkich głosików ozwał się znów.

89

- Zawsze mówią na mnie "Samanta" - wyjaśniła z uśmiechem.

- Myślę, że tak jest lepiej, wiesz, jesteśmy bardzo blisko ze sobą związane.

- A twój mąż został w domu i jest sam cały czas? - Frank przypatrywał im się uważnie i udało mu się zauważyć szybką wymianę spojrzeń.

- Mój mąż nie żyje - jej oczy załśniły w świetle górnej lampy. - Zginął w wypadku samochodowym.

- Och, przepraszam - Frank zwrócił wzrok na swój pusty talerz, zmieszał się i lekko zadrzał. Wdowa i wdowiec - to był nienajlepszy układ.

- Tak, ale my również chcemy o coś spytać. W twojej spiżarni nie ma już zbyt wiele zapasów. Może masz jeszcze jakąś dodatkową szafkę z żywnością?

- Niestety nie - odpowiedział - to co widać w kredensie i w lodówce, to wszystko, co mam. Raczej niewiele. Czekam na prom. -

"Przede wszystkim po to, żeby was stąd zabrał" - pomyślał.

- Hmm... - Samanta skrzywiła twarz. - Pozostaje nam mieć nadzieję, że prom nie da na siebie długo czekać, bo inaczej wszyscy zgłodniejemy. Myślę, że mógłbyś upolować jakąś gęś albo królika.

- Mógłbym - Frank popatrzył na Ellen i napotkał jej groźne spojrzenie. - Pod warunkiem, że będę miał amunicję, żeby je zastrzelić.

- Nie masz zapasu amunicji? - Samanta spojrzała zaniepokojona.

- Zostało mi nie więcej niż 10 naboji i nie mogę zagwarantować, że każdym coś ustrzelę. Nie jestem dobrym strzelcem - odrzekł.

- Wydaje mi się, że zawsze możemy zabić owcę, jak już nic nie będzie - Debbie mówiła cicho, prawie szeptem.

- Nie! - zaskrzeczała Ellen i zaczęła walić w stół zaciśniętymi pięściami, aż naczynia podskakiwały z brzękiem.

- Nie pozwolę wam. Wolę umrzeć z głodu. Jeśli zabijecie owcę, rzucę się ze skał do morza!

- Ellen, nie wolno ci mówić takich rzeczy - Saman-

90

ta obróciła się do dziecka. - To jest nikczemne! Wiesz, że tego nie zrobisz...

- Zrobię, i ty wiesz, że nie kłamie! - Ellen odsunęła krzesło, przeszła przez pokój, rzuciła się na legowisko i leżała tak, z twarzą odwróconą do ściany.

Samanta spojrzała na Franka, po raz pierwszy zauważył w jej ciemnych oczach błysk strachu. "Ona to robi, przecież wiesz. Cokolwiek się stanie, nawet jeśli przyjdzie nam umrzeć z głodu, nie ośmielimy się zabić owcy".

Znów była noc. Nic nie zmieniło się w sypialni, z wyjątkiem tego, że Frank przyniósł do góry strzelbę, oparł ją o ścianę, a naboje schował w kieszeni marynarki wiszącej na krześle. Drugim krzesłem zastawił drzwi. Jake leżał niespokojnie w nogach łóżka.

Frank usiadł na pościeli i próbował czytać magazyn - ten sam rolniczy magazyn, którego strony przerzucał już tyle razy. W rogu wisiała półka z książkami, pomyślał, że powinien przynieść jedną. Ale to i tak nic by nie zmieniło. Książka czy magazyn, żadnej różnicy, drukowane słowa tworzyły masę niemożliwych do odczytania hie-roglifów. Cieszył się, że wiatr wieje, zagłuszał przynajmniej inne dźwięki, w przeciwnym razie mógłby usłyszeć, jak kobiety rozmawiają na dole. O nim. „Podobasz się mojej matce i siostrze, mówią, że jesteś sexy!”

Oczy zaczęły mu się zamykać. Walczył ze snem; zasnąć to umrzeć! Podskoczył bezwiednie, zdawało mu się to czasem we śnie, miał wtedy wrażenie, że leci w dół. Poruszył się gwałtownie, obudził się i zobaczył, że Jake nie śpi. Pies leżał obserwując swego pana i obaj czekali na świt.

Frank wiedział, że nie wytrzyma długo, że wyczerpanie w końcu go pokona. Organizm domagał się snu. Zdecydował, że zostawi przynajmniej zapalone światło. Dzięki temu Samanta nie będzie mogła dręczyć go erotycznymi snami, to było możliwe tylko w ciemności. Powinien to być zrobić już zeszłej nocy: zostawić włączone światło! Gdyby tak zrobił, nic by nie zaszło, spałby spokojnie.

Nagle Jake zawarczał, z jego gardła wydobył się głęboki ostrzegawczy warkot.

91

Frank zeszytywniał, zmęczenie uleciało, zastąpione przez strach. Patrzył na psa i widział, jak ten wpatrywał się w drzwi, ale nie zrobił najmniejszego nawet ruchu. To tylko system ostrzegania, a nie straż przyboczna. Jake po prostu piekielnie się bał.

Farmer spojrzał na strzelbę, nie wiedział, czy ma naładować, czy jeszcze poczekać. Miał sporo czasu, nic jeszcze nie było słychać, a drzwi były podparte. I mocne, kobieta nie zdołałaby ich wyważyć.

Teraz przeklinał wiatr - nie słyszał nic, oprócz jego wycia. Zdawało mu się, że słyszy także skrzypienie desek, ale w tym domu każdej nocy skrzypiały setki desek. Pamiętał, jak wyglądała sypialnia, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Rozrzuconą pościel pozostawili w nieładzie dawni mieszkańcy, którzy nagle wybiegli z domu w takim strachu, że nie zatrzymali się, woleli rzucić się do Kotła, niż spotkać się twarzą w twarz z czymś, co ich ścigało. Postanowił wziąć strzelbę i naładować ją.

Gestem nakazał psu ciszę. Podniósł się z łóżka i zaczął ostrożnie stawiać kroki. Usiłował stąpać tak, aby deski nie trzeszczały, ale wiedział, że to na nic. Dwa kroki, trzy kroki. W połowie drogi przez pokój usłyszał pukanie do drzwi, delikatne, niemal ukradkowe. Zastygł w połowie kroku, z nogą uniesioną w powietrzu. Odwrócił się, twarz mu poszarzała jak popiół, modlił się, żeby krzesło podpierające kłamkę było wystarczająco mocne.

- Frank!

Szept, który ledwo do niego dotarł, zawierał w sobie tajemnicę i lęk, a nawet nutę błagania. Był raczej wzruszający, niż złowieszczy, jak oczekiwał. Frankowi zdawało się, że pokój się kołysze. Przechylił się i szukał po omacku czegoś, czego mógłby się przytrzymać, ale nie znalazł. Potknął się, prawie że upadł, ale udało mu się odzyskać równowagę. Stał więc, wyciągając słuch, nie słyszał jednak nic prócz gardłowego warczenia Jake'a.

"Nie odpowiadaj, bo tylko nerwy płatają ci figła" - powiedział do siebie. "Ale weź strzelbę i naładuj, będziesz się czuł bezpieczniej". Następane pół kroku i głos się powtórzył.

92

- Frank? Och, proszę cię. Frank, otwórz. Muszę z tobą pomówić.

Wiedział, że otworzy. Zapomniał o strzelbie, i tak nie byłoby z niej pożytku. Powoli stąpając na sztywnych nogach podszedł do drzwi i zaczął odsuwać krzesło podpierające kłamkę.

Ale zanim je odsunął, zanim kłamka zaczęła powoli i delikatnie się opuszczać, wiedział już, że to nie Samanta stoi za drzwiami.

## Rozdział XIII

Edith skradała się wzdłuż plaży, wspinała się na śliskie skały, porywy wichury smagały jej twarz. Nie było ani śladu Zoke'a, odkąd zaczęła niszczyć jego pułapki na morskie ptaki, przestał je zastawiać, albo - co było bardziej prawdopodobne - stawał je gdzieś indziej, w miejscach, których nie знаła. Przypuszczalnie na bagnach - zeszłego dnia jedli dziką kaczkę.

W małej grotce znalazła rybę, makrelę. Śmierdziała już, Zoke znalazł ją na pewno na brzegu, wyrzuconą przez fale.

Oburzająca! Odrzuciła ją daleko od siebie, patrzyła jak leci w dół. Edith nie była głodna, jadła przecież mięso dzikiej kaczki.

Przeklinała Zoke'a za to, że przynosił do chaty jedzenie, podczas gdy powinien głodzić jej matkę i siostry. Musi o tym z nim



porozmawiać.

Rozglądała się wokół, patrzyła w górę i w dół na brzeg. Fale uderzały w skały, rozpryskując się wielkimi pióropuszcami piany. Nadchodziła zima. Edith trzęsła się z zimna, wyteżała wzrok, ale nie widziała nikogo: ani matki, niepokojącej się, gdzie znika na tak długo ostatnimi czasy, ani szpiegującego ją Zoke'a. Bał się jej teraz. Wyjawiał jej wszak tajemnicę Siły.

Moc nowej wiary była niewiarygodnie wielka, ożywcza, choć jednocześnie budziła lęk. Nawet Zoke nie był świadom doświadczeń Edith, nawet on nie wiedział z kim się spotyka i rozmawia od czasu do czasu. Stała tak, mając wrażenie, że jest sama i wspominała swoje pierwsze spotkanie z tym, którego nazwała Mistrzem.

Pewnego wieczora, późnym latem, Edith poszła do dużej groty, którą znalazła na zboczu nad plażą. Skłoniła ją do tego ciekawość, poza tym nie chciała wracać do domu, do swoich towarzyszek. Początkowo bała się ciemności, czarnego, skalnego wnętrza pokrytego oślizgłym morskim

94

zielskiem, zroszonego lodowatą wodą. Nie była pewna, jak daleko odeszła od wyjścia na plażę, więc postanowiła pójść tylko kawałek i zobaczyć, czy uda jej się dojść do końca groty. Mógł to być początek długiego tunelu, a w tym wypadku nie chciała ryzykować. Grota była naprawdę duża, wydrążona w skałach przez wodę, i stała się śmiertelną pułapką dla kogoś, kto znalazł się w niej podczas przyptywu. Nie było drogi wyjścia i utonięcie było nieuniknione. Edith zadrżała, chwyciła krucyfiks zawieszony na szyi i odwróciła go, tak jak pokazał jej Zoke. "Tak naprawdę to nic nie znaczy - pomyślała - ale jeśli dzięki temu stary przewoźnik boi się mnie, to świetnie, muszę wykorzystać moją przewagę."

Wnętrze groty było mroczne, zakamarki tonęły w czarnym cieniu. Słuchała pełnego skargi, huku odpływu, słyszała miarowe kapanie wody z wysokiego sklepienia. Wdychała kwaśny odór morskiej roślinności i drżała z zimna. "Może powinnam wrócić do domu" - pomyślała. Gdyby poszła długą drogą wokół wzgórze, dotarłaby do domu na czas, by położyć się do łóżka.

Nagle poczuła, że nie jest sama. Powiedział jej to jakiś szósty zmysł. Wstrząsnęły ją dreszcze. Miała wrażenie, że ktoś ją śledzi. Jeśli ktoś tam był, musiał to być Zoke, bo nikt inny nie odważyłby się wejść do tej groty.

- Zoke? - szeptał Edith potęgował się w zamkniętej przestrzeni, rósł i wracał do niej. - Zoke?

Wyteżyła oczy, wpatrywała się w cienie, zdawało jej się, że spostrzegła ruch i prawie uciekła, ale nie mogła uciec przed kartem, gdyby to zrobiła, straciłaby władzę, jaką nad nim miała. Wzięła głęboki oddech i wydała z siebie głos tak groźny, jak tylko mogła:

- Zoke, jak śmiesz mnie śledzić?! Nie boję się ciebie! - trzymała w dłoni odwrócony krucyfiks i patrzyła, jak jaśniał w mroku.

- Jesteś bardzo odważna, moje dziecko - z cienia wysunęła się jakaś postać, Edith ujrziała sylwetkę wysokiego i silnego mężczyzny. To na pewno nie był Zoke. Nie mogła rozpoznać jego twarzy, widziała tylko parę oczu,

95

które żarzyły się jak węgle w gasnącym ognisku, jak węgle, na które patrzyła, gdy leżała nocą na swoim posłaniu w chacie.

Oczy wpatrywały się w nią. Przestraszyła się, otworzyła usta, żeby krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

- Wzywałaś mnie - to było stwierdzenie, nie pytanie, głos był zduszony, jakby nieznajomy miał ściśnięte gardło. Patrzył na nią, czekając odpowiedzi.

- Ja... ja... - chciała mu powiedzieć, że wcale go nie wzywała, bo nie miała pojęcia, że ktoś tu jest, ale słowa nie przechodziły przez gardło. Przerażona, załowała, że to nie Zoke.

- Mogę ci pomóc - powiedział wprost. - Właśnie tego pragniesz, nieprawdaż? A ty, w zamian, też możesz mi pomóc. Nie lubisz przecież swojej matki, ani siostr, prawda? Ani Zoke'a.

- Nie - odrzekła. - Nie lubię. Skąd o tym wiesz? Kim jesteś? Skąd się tu wzięłeś?

- Za dużo pytań, jak na jeden raz - zaśmiał się uspokajająco. - Jak powiedziałem, jesteś bardzo odważna i nie ganię cię za to, że się teraz boisz. Ale nie musisz się bać, jestem twoim przyjacielem, chcę ci pomóc. Widzisz, ta wyspa to mój dom od bardzo długiego czasu, a ja nie lubię intruzów. Z wyjątkiem takich, jak ty, z którymi mogę porozmawiać. A teraz powiedz mi, co chcesz zrobić z twoimi krewnymi?

- Chciałabym, żeby umarli! - odpowiedziała gniewnie. - Chciały zabić mojego ojca, a Zoke zabiłby nas wszystkie, gdyby mógł to zrobić. Ale potrzebuję go, żeby przynosił mi jedzenie. Namawiałam go, żeby zamorzył głodem matkę i siostry, ale on się z tego nie wywiązuje. Zeszłej nocy przyniósł mi dziką kaczkę, i musiałam jeść ohydne, zgniłe mięso. Chciałabym, żeby oni wszyscy umarli!

- Więc zobaczmy, co możemy zrobić - nieznajomy znów schował się w ciemności; Edith nie widziała już jego wysokiej sylwetki, tylko płonące oczy. - Spójrz, moje dziecko. Chcesz, żeby umarli, ale jeśli to się stanie, tylko ty i ja zostaniemy tutaj. A, jak już mówiłem, to jest mój dom.

96

Byłbym szczęśliwy, mając tu kogoś takiego jak ty, bo mogłabyś mi bardzo wiele pomóc. Jeśli zabijemy resztę, czy przyrzekniesz mi wykonywać zawsze moje rozkazy?

- Czego będziesz ode mnie chciał? - spytała Edith, zęby zaczęły jej szczełać. W grocie było potwornie zimno.

- Dorośli ufają dzieciom - głos nieznajomego był cichy, musiała wyteżyć słuch, żeby usłyszeć, co mówi. - Jeśliby, powiedzmy, ktoś przybył na wyspę i poprosiłby cię, żebyś go zaprowadziła w pewne miejsce, zrobiłabyś to? Mógłbym cię poprosić, żebyś pod jakimś pretekstem wzięła go na Moss albo tu, do Kotła...

- Zrobiłabym to. I dodała uroczyście:

- Zrobiłabym to, bo nie chcę, żeby ktokolwiek tu przypląnął. Uczyniłby moje życie niedolą.

- Jesteś bardzo mądrym dzieckiem - zadumał się.

- Ale diczego sam nie możesz ich tam zaprowadzić? - uderzyła ją nagła myśl.

- Nie chcę, żeby ludzie mnie widzieli - odrzekł gładko. - Widzisz, ja też jestem wygnańcem.

- Wygnali cię z Anglii? - strach Edith mijał powoli.

- Tak. Tak to można powiedzieć. Ale nikt nie może się ciebie bać, nikt nie może cię o nic podejrzewać. Wierzę, że być może jesteś mądrzejsza, niż przypuszczam. Ale rozmawiamy już zbyt długo. Pomyśl o tym, co ci powiedziałem; wiem, że nikomu nie powiesz o naszym spotkaniu. Teraz wracaj, zobaczmy się znowu za jakiś czas.

Edith nie posiadała się z podniecenia. Miała wszystko ochotę powiedzieć w domu, wykrzyzczeć głośno, że znalazła nowego, bardzo silnego przyjaciela, który jest właścicielem wyspy Ulver. Przypominał jej trochę ojca, mimo że nie widziała jego twarzy - był wysoki i silny, miał podobny głos. I był okrutny dla swoich wrogów. Zaczęła myśleć, że to nawet mógł być ojciec; w końcu wyspa Ulver należała do niego, poza tym nienawidził Anglików. Nienawidził też żony i córek, bo przez nie nie miał syna. Być może to był ojciec; może uciekł Anglikom i po ciemku przypląnął na wyspę, schronił się, zdecydowany zni-

szczyt swoich wrogów. Przede wszystkim żonę i trzy starsze córki, oszczędzając Edith, bo chciała mu pomóc i nie uczestniczyła w spisku przeciwko niemu. Jeśli tak, czemu się jej nie pokazał?

Myślała o tym długo i stwierdziła, że chciała ją wypróbować. Jeśli pomoże mu zabić te złe kobiety, na pewno odkryje przed nią swą twarz. Tak, to było wyjaśnienie. Ojciec zawsze był powściągliwy i tajemniczy. I wiedział dużo o magii, tak jak Zoke.

Teraz Edith znów przyszła pomówić z nieznanym. Jeśli jeszcze w ogóle był w tej grocie. Był.

- Zobaczymy teraz, czy jesteś już gotowa, żeby mi pomóc - mimo, że była jeszcze godzina lub więcej do zmierzchu, cienie skrywały całą postać, prócz przeszywających mrok, płonących oczu. Dziewczynka była ciekawa, co zrobił, gdy przyszedł przyptyw i woda wypełniła grootę. Gdzieś musiało być sekretne przejście na wyższy poziom, widocznie w skale było więcej grot. - Mistrzu powiedz, co chcesz, żebym zrobiła - czuła się onieśmielona, stojąc na środku, jak początkująca aktorka na oświetlonej scenie.

- Jak się czują? - jego głos nagle stał się ostry, bezpośrednie pytanie przestraszyło ją. - Zdychają już, czy Zoke wciąż przynosi im jedzenie?

- Jęczy, że nie ma więcej królików, a ptaki omijają jego pułapki - odrzekła. - Ale matka odkryła, że zielsko morskie jest jadalne; teraz zbierają je ze skał i gotują. Jest okropne - nie cierpią go. Ale żyją tym. Są głodne i chude, ale długo potrwają, zanim umrą.

- Nie możemy czekać wiecznie - zniżył głos i wystąpił krok naprzód, ale twarz wciąż miał schowaną w mroku. - Kogo nienawidzisz najbardziej, moje dziecko?

Już chciała fuknąć, że matki, ale powstrzymała się;

przypomniała sobie wypadek, który zdarzył się zeszłego popołudnia. Szukały jej. Wymknęła im się, ale gdy uciekała nagle chwyciła ją Margaret, leżąca w zasadzce wśród jałowca. Margaret nienawidziła jej najbardziej, bo zanim urodziła się Edith, to ona była pieszczona przez rodzinę ja-

98

ko najmłodsza. Margaret zawsze była na nią wściekła, ale nigdy tak bardzo jak wczoraj, gdy chwyciła piszczące dziecko za włosy, spoliczkowała je i powlokła do pozostałych. Edith wciąż czuła ból i miała ślady zadrapań na twarzy.

- No? - niecierpliwiał się. - Mów!... A może jednak nie chcesz mi pomóc? A może zdażyłaś wygadać innym, że mnie spotkałaś?

- Och, nie! - Edith krzyknęła gwałtownie. - Przysięgam ci, nie zmieniałam zdania. Najbardziej nienawidzę Margaret. Ona jest taka zacięta i złośliwa!

- Rozumiem - zdawało się, że się zamyślił. - Więc to Margaret, najmniej godna zaufania z wszystkich dziewczuch.

- Myślę, że jesteś moim ojcem! - Edith wygadała się nagle.

Wzdrygnął się; ona zaś miała wrażenie, że uśmiechnął się w cieniu ukradkiem drwiąc sobie z niej. Uczuła przejmujący strach, że mogła go urazić, że jest na nią zły.

- Przepraszam, miałam na myśli... to znaczy... to znaczy, jesteś taki podobny do mojego ojca, tak mi się wydaje, choć cię przecież nigdy nie widziałam.

- Ty naprawdę jesteś mądrym dzieckiem - zaśmiał się szorstko. - Pod niektórymi względami może jestem twoim ojcem. Pod innymi - nie. Wiem, że to brzmi zagadkowo, ale byłoby głupstwem z mojej strony, gdybym ci to tłumaczył. Na razie musisz nadal zwracać się do mnie „Mistrzu”. I nie zapominaj, że jesteś moim sługą.

Edith zadrżała, bliska łez i skinęła głową.

- Bardzo dobrze. Margaret. - Wiedziała, że się podniósł, bo oczy znalazły się wyżej niż poprzednio, oczy świecące jak węgle, które zapłonęły jaśniej, na chwilę przed ostatecznym zgaśnięciem. - Bliski jest czas, gdy twoja wierność zostanie wypróbowana. Czy mogłabyś zwać ją jutro na Moss, samą, bez nikogo?

- Myślę... że tak - Edith nie była pewna - trudno było przewidzieć, czy to się uda, Margaret była nieobliczalna. - Dzikie gęsi wróciły, widziałam je wczoraj. Ona uwielbia obserwować dzikie zwierzęta. Inne uważają, że to nudne.

99

- Więc powiedz jej o gęsiach, może pójdzie - był cicho przez parę sekund; zastanawiał się wyraźnie. - Tak, spróbuj tego.

Oczywiście nie weźmie cię ze sobą?

- Ależ skąd, wrzeszczałaby na mnie, żebym sobie poszła precz, a gdybym nie poszła, zaczęłaby ciskać we mnie kamieniami.

- Goniłaby cię i próbowała złapać?

- Tak. Tak jak zrobiła wczoraj.

- Świetnie. Musisz schować się na skraju Moss, gdzieś w trzcinach. Jest tam pas twardej ziemi oddzielający głębokie bagna.

Jeśli będziesz się trzymać północnego skrawka tego pasa, będziesz bezpieczna. Pokaż się jej, niech cię zacznie gonić; a potem się schowaj, żeby cię szukała. Być może będziesz musiała to zrobić kilka razy, chodzi o to, żeby ona się upewniła, że cały czas chodzisz po twardym gruncie. To jest bezpieczne, ale pamiętaj, żebyś nie szła tam, gdzie kończy się sitowie, a zaczyna zielona trawa. Nie wchodź na nią, bo nawet ja być może nie będę mógł ci pomóc. Baw się z nią w kotka i myszkę, tak jak to robiłaś, gdy byłaś dzieckiem. Tylko, że tym razem to nie będzie zabawa!

Edith zadrżała. Na wyspie żył kiedyś zając, którego Zoke próbował złapać - było to niedługo po ich przyptynięciu. Pewnego dnia Zoke go zaskoczył i zając zaczął uciekać całkiem na oślep, prosto na Moss. Edith nigdy nie zapomni jego prawie ludzkich krzyków, gdy grzął w bagnie i dreszczu, który ją przeszedł, kiedy trzęsawisko zabulgotało i wessało go. Nawet Zoke nie próbował wydostać tonącego zwierzęcia.

Bagno zawsze było spragnione nieostrożnych ofiar.

## Rozdział XIV

Drzwi uchylły się do środka, powoli, jak gdyby ktoś, kto był na zewnątrz, pomimo pukania bał się wejść. Frank czuł suchość w ustach i przez parę sekund nie był w stanie się poruszyć. Strach sparaliżował go; gdzieś z tyłu Jake warczał cicho, ale nie ruszał się panu na pomoc.

Był wściekły na siebie za swoją słabość i głupotę, za to, że uległ prośbie - nie wiedział nawet czyjej - podczas gdy wcześniej zabarykadował drzwi, żeby nie mieć nieproszonych gości. Ten głos zahipnotyzował go, zmusił do posłuszeństwa. Zamknął oczy - nie po to, żeby nie widzieć wchodzącej osoby, ale w nienawistnej nadziei, że to wszystko było tylko następnym koszmarnym snem i że się z niego obudzi. Otworzył oczy i wiedział, że to rzeczywistość: wiedział też - jeszcze zanim ujrzał gościa, że nie

była to uwodzicielska Samanta. To była Ruth!

Weszła do środka i delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Była ubrana tylko w cienki przejrzysty szlafrok, przez który widział wszystkie detale jej szczupłej, młodzieńczej figury: małe, kragle, piersi, jędrne uda, kasztanowy puszek taki, jak jej włosy, kształtne łydki i bose stopy. Próbowała się uśmiechnąć, wciąż nerwowo oglądała się na drzwi, jakby się bała, że w każdej chwili Samanta lub inna z dziewcząt mogłaby za nią przyjść.

- Wszystkie śpią! - w głosie dziewczyny była nieskrywana ulga.

Frank wiedział, że drży, ale zrobiło mu się trochę lżej na duszy: to nie była Samanta. Od najstarszej i najmłodszej z kompanii miał zamiar trzymać się z daleka; do Ruth, Janet i Delbie był nastawiony raczej pozytywnie, brał ich zachowanie za dobrą monetę - te trzy ładne nastolatki miały w sobie wiele uroku. Pomyślał, że to dobrze, że poszedł do łóżka kompletnie ubrany.

101

- Może... - spojrzała na krzesło, a potem z powrotem na drzwi. - Na wszelki wypadek...

Frank przełknął ślinę. Zamknij drzwi, Frank, na wypadek, gdyby ktoś przyszedł - to miała na myśli. Podszedł do drzwi, unióś krzesło i znów ustawił je tak, że podparło klamkę. Czuł lekki zawrót głowy, jakby stał na wysokiej skale i patrzył w dół.

- Tak jest lepiej - usiadła na skraju łóżka, szlafrok rozchylił się ukazując białe uda. Zdawało się, że nie zauważyła tego. Twarz miała poważną, nie wyglądała na osobę, która przysłała do męskiej sypialni z nieczystymi zamiarami.

Frank stał zakłopotany, nie wiedząc, co zrobić z rękami. Ruth gładziła koldrę. Nagle znalazł się przy niej, siedział na łóżku ze splecionymi, drżącymi dłońmi. Zapadła kłopotliwa cisza. Pomyślał, że skoro ma mu coś do powiedzenia, ona powinna zacząć.

- Moja matka... - Ruth z widocznym trudem ubierała myśli w słowa. - Ona... jest... niebezpieczna!

- Ooo? - unióś brwi ze zdziwieniem. - Czyżby chciała mnie zamordować w łóżku?

- Nie, nie, nic takiego - dziewczyna uśmiechnęła się. - Hm, no... no nie wiem, ona ma na ciebie chętkę.

Westchnął ciężko. "Też mi nowina" - pomyślał. Na zewnątrz wiatr nieco zelżał. Przy odrobinie szczęścia jutro popłyną do domu.

Odezwał się po chwili:

- Czy przyszłaś tu w środku nocy po to tylko, żeby mi to powiedzieć?

Znów się zmieszała. I-o Boże - ależ ta dziewczyna była piękna! Zastanawiał się, jak mógł przedtem tego nie zauważyć. Z pewnością przebiegły wdzięk Samanty odwrócił jego uwagę od ślicznej Ruth.

- Chciałam tylko cię ostrzec - wyszeptwała. - Ona miała już tylu mężczyzn, odkąd tatuś umarł. Bawi się nimi, dopóki się jej nie znudzą.

- Dam sobie radę.

102

„Do wszystkich diabłów - pomyślał - nawet to dziecko robi ze mnie głupca”.

- Ja tylko chciałam... cię ostrzec - powtórzyła Ruth, patrząc nań badawczo, Frank wiedział, że nie była to prawdziwa przyczyna, dla której tu przyszła. Pretekst, prawdziwy lub fałszywy. Bardziej prawdopodobne, że prawdziwy. Ta gromada wcale nie była tak mocno związaną ze sobą, jak mogło się to wydać na pierwszy rzut oka. Szczwana paczka; każda z nich gotowa wbić innej nóż w plecy, i to nie tylko w przeszłości.

- Czy myślisz, że... że jestem podobna do twojej żony? Wzdrygnął się. To pytanie było jak uderzenie w twarz. I bolało. Otworzył usta, ale nie mógł mówić; zresztą i tak nie wiedziałby, co powiedzieć, choćby nawet był w stanie. Ruth podobna do Gillian! Porównanie było absurdalne! Ani trochę nie była podobna. Spytał w końcu drżącym głosem:

- Skąd wiesz, jak wyglądała moja żona?

- Widziałam jej fotografię - odpowiedź padła natychmiast. - Tę, która leży w szufladzie, w kredensie w kuchni.

Twarz Franka poczerwieniała z gniewu. Zuchwała, wścibska suka!

- Nie miałaś prawa...

- Och, ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła! - krzyknęła z absolutną niewinnością w oczach. - To El-len. Wiesz przecież jaka ona jest okropna. Mama się na nią gniewała - wszystkie się gniewaliśmy. Ale nie mogłyśmy się oprzeć i obejrzałyśmy zdjęcie. Twoja żona była młoda i piękna. Jak ja. Nie sądzisz, Frank?

Zawirowało mu przed oczyma. Rysy twarzy Ruth były zniekształcone jak w obłąkanym zwierciadle w gabinecie luster. Potem wszystko wróciło do normy. Ale teraz widział ją, wyraźniej niż przedtem. Ciemnokasztanowe włosy, zielonkawę oczy patrzące na niego figlarnie; pełne czerwone usta rozchylone w uśmiechu, który nagle stał się tak znajomy. „O, Boże, to było tak, jakby Gillian wróciła z krainy cieni!”

103

Gillian - taka, jaką ją spotkał po raz pierwszy. Miał ściśnięte gardło i przyspieszony puls. Była pełną życia nastolatką, tuż po maturze; uśmiechała się, gdy ją zabierał do kina czy kawiarni. Pruderyjna pomimo wesołego usposobienia, ekscytowała go i rozwiewała nadzieję jednocześnie; powstrzymywała go, gdyż jego zmysły rozpałały się zanadto: „Nie, Frank, nie przed ślubem, proszę!”. Ze wszystkich wspólnie spędzonych nocy najlepiej pamiętał noc poślubną - tak, jakby to było teraz. Noc poślubna;

wszystko inne stało się odległym, złym snem.

W sypialni staroświeckiego hotelu sufit był niski. Deszcz uderzał w okno, ale nie miało to dla nich znaczenia. Byli zdenerwowani. Gillian jakimś sposobem przebrała się w nocną koszulę - tak, że nie ukazała mu nawet skrawka swego ciała, i siadła na skraju łóżka, onieśmielona i wyczekująca. "Reszta należy do ciebie, Frank".

Bał się, że zrobi jakieś głupstwo. W ciemności zaparkowanego samochodu, z prawie romantyczną zielonkawą poświatą świateł tabliczek rozdzielczej było całkiem inaczej. Ale zmusiła go, żeby czekał; czekał dwa lata i teraz, właśnie teraz była ta chwila. Drżał, niespokojny, niepewny czy będzie w stanie to zrobić.

- Nie możesz iść do łóżka ubrany, Frank - jej szczupłe palce odpinały guziki jego koszuli, ściągnęła ją przez głowę, gładziła dłońmi muskularną pierś. Potem rozpięła zamek i ściągnęła spodnie.

Był teraz nagi, patrzył na nią, jak kładzie się na łóżku. Podciągnęła koszulę, rozłożyła nogi i pozwoliła mu zobaczyć to, czego tak bardzo pragnął. Gdy patrzył na jej ciało, poczuł podświadomy niepokój. "O Jezu - pomyślał - jeżeli nie będę mógł tego zrobić"

Jej wyciągnięta dłoń odnalazła go i zaczęła pieścić.

- Jestem szczęśliwa, że zachowałam siebie na dzisiejszą noc. Frank - wymruczała, zamykając oczy. - Przysięgam ci, jestem dziewicą. Nie zranisz mnie, prawda?

Chciał wyrzucić tę nocną koszulę, tylko to można było z nią zrobić. Nie potrzebował żadnej innej podniety prócz Gillian i tylko z

nią chciał się połączyć, tymczasem mię-  
104

dzy nimi wciąż była ta ostatnia przeszkoda. Wreszcie Gillian delikatnie choć zdecydowanie pociągnęła go na siebie.

- Kocham cię, i nie mogę uwierzyć, że wreszcie jestem twoją żoną.

Frank zamknął jej usta długim pocałunkiem. Poczuł, że jego podniecenie rośnie - do tego stopnia, że zagłusza wcześniejsze obawy.

Wtuleni w siebie, czuli narastającą rozkosz. Nadeszła chwila, gdy ich gorące ciała stały się jednym w chwili spełnienia. Objęła go mocno, pomrukując ze szczęścia.

Trwało to całą noc: miłość, odpoczynek, drzemka, znów miłość. I znów. Dopóki nie pokonało ich krańcowe wyczerpanie. Zanim zasnęli, wciąż spleceni, Gillian szepnęła mu do ucha: „Zostaniemy razem na zawsze. Frank”.

Poranne światło przyniosło nowy przyływ żądz. Zadrżał i wyciągnął ramię w jej stronę - ale nic nie znalazł. Tylko puste miejsce. "Pewnie poszła do łazienki - pomyślał - będzie z powrotem za minutkę i wtedy..."

Obudził się. Ogarnęła go gwałtownie zimna rozpacz, nagle siadł wyprostowany i ujrzał Jake'a w nogach łóżka. Uszy psa były płasko ułożone na łbie, jego ślepia pełne były wyrzutu, jakby doskonale zdawał sobie sprawę z wydarzeń ostatniej nocy.

- Gillian! - krzyknął rozpaczliwie, jakby wciąż kurczowo trzymał się nadziei, że wszystko było tylko złym snem, i że jego żona wróci za chwilę z łazienki. Wciąż czuł zapach jej perfum, widział ślad głowy odcisnięty na poduszce obok niego. Prześcieradło było jeszcze wilgotne od ich miłości.

Opadł z powrotem na łóżko, wcisnął głowę w poduszkę i rozplakał się. Gillian nie żyła, odeszła już rok temu i nigdy nie wróci. To była ta nastoletnia suka, nikczemna oszustka. Jake znów zawarczał.

Frank uświadomił sobie, że zaspał. Było zupełnie jasno, słyszał ruch w kuchni na dole, dziewczęcy szczebiot i śmiechy, czuł gryzący zapach czegoś smażonego, który przyprawiał go o mdłości.

105  
Nie chciał wstawać. Miał ochotę zostać w łóżku, naciągnąć kołdrę na głowę i nie widzieć świata. Owce nie były w tej chwili ważne; nic nie było ważne. "Chcę umrzeć!" - pomyślał. Owczarek szczebnał cicho.

Frank uniósł głowę i zamrugał oczami - ujrzał poranne promienie słońca malujące na wypłowiałych tapetach migotliwe wzory. Słońce świeciło - po raz pierwszy od wielu dni. I coś jeszcze... wiatr osłabł i deszcz przestał padać.

- Dziś przyplynie łódź pocztowa! - rzekł do psa, który mu odpowiedział merdaniem ogona. - Będą mogły odplłynąć.

Pozbędziemy się ich dzisiaj, Jake!

Była dziewiąta - zaspał dwie godziny. Ale to nie miało znaczenia, teraz gdy zmieniła się pogoda. Zaczął szukać na podłodze swoich rzeczy. Leżały tam, gdzie porozrzuciła je w nocy Ruth. Chryste, przecież nie była ani trochę podobna do Gillian.

Powinien o tym wiedzieć cały czas. "Kochanie moje, tak mi przykro, proszę cię, wybac mi!"

Stanął na szczycie schodów i wziął głęboki oddech. "A teraz śmiało naprzód - powiedział sobie - nie daj sobie w kaszę dmuchać. Ta głupia mała siksa grzebała mu w szufladach i niszczyła wszystko, ale już za parę godzin pozbędziesz się jej i nie będziesz musiał nawet kiwnąć palcem, żeby się wyniosła. Samanta będzie się uśmiechała słodko;

możesz być dla niej grzeczny. Nie patrz na Ruth. Udawaj, że nic się nie stało; ona na pewno nikomu nie powiedziała". Jake szedł tuż za nim.

Debbie i Janet siedziały przy stole naprzeciwko niego. Podniosły wzrok i uśmiechnęły się, gdy wszedł. Ruth i El-len siedziały tyłem i nie odwróciły się. Samanta smażyła bekon na płycie; Frank zauważył, że duży piec chlebowy był otwarty, w środku płonął ogień.

- Witaj - Samanta uśmiechnęła się. - Poleżałeś dziś trochę dłużej, co?

- Zaspałem - odburknął Frank i wskazał głową w stronę, gdzie na płóciennych ściereczkach leżały bochenki chleba. - Widzę, że upiekłyście chleb.

- To reszta mąki. Nie mamy już prawie zupełnie je-

106  
dzenia. Na śniadanie usmażyliśmy wczorajsze resztki, na kolację jest jeszcze puszka wołowiny. A potem...  
- Dziś na pewno przyplynie łódź - próbował nie okazywać zadowolenia z tego faktu. - Nie ma już prawie wiatru i cudownie świeci słońce. Musicie się przygotować, jeszcze dziś wieczorem będziecie na stałym lądzie.

- Starczy nam jeszcze czasu na krótki spacer - odwróciła się tyłem do pieca. - Musimy policzyć, ile jesteśmy ci winne.

- Nic nie jesteście mi winne. Cała przyjemność po mojej stronie.

"I na rany Chrystusa - dodał cicho - wynoście się stąd, do stu tysięcy diabłów i zostawcie mnie samego!"

- To bardzo miłe z twojej strony. Być może będziemy mogły ci odplacić w jakiś sposób.

- Nie - zdecydował, że nie będzie jadł śniadania. - Cieszę się, że mogłem wam pomóc. A teraz, najlepiej będzie, jak już pójde.

Jestem spóźniony. Będę tu o 11.30, muszę dopilnować, żebyście nie przegapiły promu. Przewoźnik jest dość osobliwym człowiekiem, niezbyt obowiązkowym i na pewno nie będzie czekał.

„Muszę być pewien, że się gdzieś nie zapodziały” - to miał naprawdę na myśli.

Odwrócił się, żeby wyjść, ale nagle jego wzrok przykuł jakiś przedmiot leżący na podłodze. Mróz ścisnął jego serce. Mała drewniana ramka leżała na ziemi. Drewno było roztrzaskane, wokół leżały małe odłamki szkła. Podpórka służąca do stawiania ramki była rozłupana na dwoje.

- O, Boże! - patrzył wstrząśnięty i przerażony;

chciało mu się krzyczeć, płakać, walić pięściami w ścianę. "To Ellen. Wiesz przecież, jaka ona jest..."

Opadł na kolana, wyciągnął drżące ręce i podniósł ramkę. Szybka była roztrzaskana w kawałeczki, jak dziecięca układanka.

Szkło leżało błyszcząc na kamiennej podłodze. Krzywiąc się z bólu, ledwie ośmielił się spojrzeć na fotografię, gdy ją odwrócił.

Fotografia Gillian była nie do rozpoznania. Portret przekreślony był ukośnie, postrzępiony i pogryzłomony

107  
długopisem: ktoś domalował wąsy i brodę, oczy były zamalowane, i w ogóle niewidoczne, zęby wydłużone w ostre kły, które wystawały spod warg. Robota małego wandalą; dokonana z premedytacją profanacja kochanej osoby, po to, by zniszczyć wspomnienia o niej na zawsze - tak, jak to próbowała zrobić w nocy Ruth.

Frank wyprostował się i odwrócił ku nim poszarzałą twarz, drżąc z gniewu, którego nie mógł już powstrzymać. Bezgłośnie poruszał ustami, nie mogąc wymówić słowa.

- Strasznie mi przykro - Samanta spojrzała Frankowi prosto w oczy, po czym postawiła na stole talerz z bekonem. - To Ellen. - Zbeształam ją za to. Prawda Ellen?

Dziecko odwróciło się powoli i Frank nie zauważył na brzydkiej twarzy żadnych śladów wyrzutów sumienia. Tylko niechęć i zadowolenie z siebie. "Zrobiłam to i cieszę się, że nie można tego naprawić."

- Nie zostałam wcale zbesztana - powiedziała z pełnymi ustami, plując kawałkami jedzenia. - Powiedziałaś mi, że to nieważne, mamo, bo to tylko stare zdjęcie i nikt go nie potrzebuje.

- Znowu kłamiesz - Samanta poczerwieniła. - Powiedziałam ci, że jeśli kiedykolwiek zrobisz coś takiego, dostaniesz lanie. I jeśli nie przestaniesz kłamać...

- To jest prawda. Spytaj je.

Frank utkwiał pytające spojrzenie na Debbie i Janet. Ruth wciąż była odwrócona do niego tyłem. Mocno zacisnął pięści, ledwo powstrzymując się, aby nie uderzyć którejsz z tych głupio uśmiechniętych kobiecych twarzy. Chciałby je zmiażdżyć tak, aby nikt nie mógł ich poznać, zemścić się za to, że sprofanowały Gillian.

Debbie i Janet spojrzały na siebie. Lekko skinęły głowami: "Tak, tym razem Ellen mówi prawdę".

- To moja żona! - wydobył z siebie zgrzytliwe słowa. Ellen spojrzała na niego wyzywająco, wciąż ruszała szczękami chrupiąc bekon.

- Jeśli ona nie żyje, to nie ma to znaczenia - wypluła kawałek chrząstki. - Fotografia taka sama, jak inne. W każdym razie myślę, że była brzydka.

108

- Niech cię diabli wezmą! - zrobił krok naprzód i groźnie uniosł rękę. - Chcesz chyba dostać solidne lanie. Jeśli nie, uciekaj stąd, bo mam cholerną chętkę, żeby stłuc ci dupę na kwaśne jabłko, tu i teraz!

- Ellen! Frank! - Samanta wśliznęła się pomiędzy nich. Stała twarzą do Franka, tyłem do dziecka. - Och, Frank, tak mi przykro! Jeśli jest coś, co mogłabym zrobić...

- Jedyną rzeczą, którą mogłabyś zrobić, żeby mi pomóc jest naprawienie fotografii - opadł z sił, jego oczy zalśniły łzami, a ramiona drżały. - Ale ponieważ to niemożliwe, najlepszą rzeczą będzie, jeśli się wyniesiecie z wyspy. Łódź będzie tu w południe. Musicie nią odplynąć!

Obrócił się, ruszył do drzwi i otworzył je. Jake podążył za nim i wybiegł na zewnątrz. Frank zatrzymał się, odwrócił i utkwiał w Samancie zwięźzone oczy.

- Powiedz mi prawdę - warknął. - Skarciłaś swoje dziecko czy nie? No, szybciej, odpowiadaj!

Samanta spojrzała na jego pobielającą twarzą, po czym spuściła oczy.

- Nie - odrzekła cicho. - Nie zrobiłam tego. Nie sądziłam, że to takie ważne.

- Dziękuję - podniósł głos do krzyku. - To wszystko, co chciałem wiedzieć. A teraz wynoście się z mojej wyspy i nigdy nie wracajcie!

## Rozdział XV

Edith przyszła na Moss wkrótce po wschodzie słońca. Wyśliznęła się z domu, gdy matka i siostry jeszcze spały; biegła całą drogę, choć wiedziała, że minie jeszcze parę godzin, nim zjawi się tu Margaret. Jeśli w ogóle przyjdzie. Chciała zapamiętać ten dzień: szare niebo, świeży wiatr, deszczowe chmury. Jej małe ciało drżało w oczekiwaniu. Była opętana przez żądzę, której do tej pory nie zaznała: żądzę krwi.

Gęsi były tego ranka na bagnie. Usłyszała je, zanim jeszcze mogła cokolwiek zobaczyć. Do jej uszu dobiegły pojedyncze, gardłowe krzyki, którymi zaczynały poranne poszukiwanie żeru. Edith rzuciła się na ziemię, w trzciny i próbowała znaleźć miejsce, gdzie się znajdują. Przed nią majaczyła ciemna, bryłowata sylwetka wzgórze. Teraz, gdy zrobiło się całkiem jasno, mogła zobaczyć, gdzie kończy się obszar porośnięty trziną, a zaczyna się bujna zielona trawa. Gdy przyjdzie czas, musi poruszać się po tej linii, uważając, aby nie stanąć na kępy trawy.

Miała uczucie dziwnej samotności, które przedtem było jej obce. Przez tygodnie zadowalała się swoim towarzystwem, z dala od innych, pewna tego, że Mistrz nad nią czuwa. Tak było do tej pory, teraz wszystko miało się zmienić. Ktoś miał dzisiaj umrzeć.

Kiedy stanęła twarzą w twarz z tym faktem, przestraszyła się. Nienawidziła i chciała zabić, ale kiedy miało się to spełnić - poczuła się dziwnie. Nie, nie, żeby chciała zachować Margaret przy życiu; po prostu wołałaby, żeby się to odbyło bez jej udziału. Była ciekawa, czemu Mistrz

110

nie wykona tego sam. Może dlatego, że nigdy nie pokazywał się poza grotą. A może dlatego, że chciał ją wypróbować.

Nerwowo przesuwiała palcami po kurcyfiksie, potem odwróciła go. Robił wrażenie pozbawionego życia, nawet nie zabłysnął w świetle dnia.

Myślała, czy by nie wrócić do domu. To byłoby łatwe wyjście, tylko że nie rozwiązałyby niczego. Matka groziła, że ją uwięzi w domu, jeśli nie przestanie chadzać swoimi drogami. To znaczyło, że coś podejrzewa. A gdzie był Zo-ke? Nie spał na swoim miejscu, gdy wychodziła z domu. Ukradkiem uchyliła drzwi na parę cali i zajrzała do środka. Też gdzieś wyszedł.

Prawdopodobnie na polowanie. Ale na co chciał polować?

Edith czuła się źle i miała nudności, i pusty żołądek. Morskie zielsko było obrzydliwe. Gotowali je po kilka godzin na dużym kamiennym piecu, ale nie było sposobu, żeby usunąć zeń ostry, zjęłczały smak. Potrzebowała mięsa. Następnym razem, gdy zobaczy Zo-ke'a, zagrozi mu, że jeżeli nie znajdzie jej czegoś do jedzenia, to...

- Dziecko, co ty tu robisz?

Edith odskoczyła, upadła przestraszona między trzcinami. Serce biło jej jak szalone. Gdy zobaczyła nad sobą niewydarzoną przykucniętą postać Karła, z jej ust dobył się zduszony krzyk. Dziurawe ubranie ukazywało gdzieś zniszczone, oblepione brudem ciało, Zo-ke cuchnął niczym dzikie zwierzę. Wysunął do przodu pociemniałą od gniewu twarz.

- N ooo, co ty tu robisz?

- Ja... obserwuję dzikie gęsi, Zo-ke. Jak śmiesz włóczyć się za mną i straszyć mnie w taki sposób?!

- Kłamiesz - splunął. - Tak leniwe dziecko jak ty nie wylazłoby tak wcześniej z łóżka po to, żeby obserwować ptaki. Czuję w tobie coś złego. Ty coś kłujesz, mała!

- W porządku - wstała i otrząsnęła z siebie błoto.

- Knuję. Ale to nie twój interes. - Złość momentalnie pozbawiła ją ostrożności, chciała koniecznie rozbudzić strach w starym karle, który zwlekał z wykonywaniem jej poleceń. - Mój ojciec jest na wyspie.

Zoke cofnął się, a jego dziobata twarz zbiałała. Poruszał bezzębnyimi dziąsłami i syczał, jak gad przyparty do muru.

- To kłamstwo!

- Nie, to nie kłamstwo - teraz ona była górą, rozkoszowała się swoją przewagą. Jest w dużej gocie przy Kotle. Uciekł tam przed Anglikami i chce pozostać w ukryciu. Ja wykonuję jego rozkazy, a na ciebie jest bardzo zły. On też chce zabić resztę kobiet, tak jak mi kiedyś powiedziałeś. Ale ty zwlekasz i przynosisz im jedzenie, bo nie masz odwagi ich zagłodzić. Ojciec powierzył mi zadanie usunięcia ich. Ciebie też, jeśli mi nie pomożesz!

Zoke rozejrzał się wokół i skulił się ze strachu, jakby się obawiał, że w każdej chwili spośród trzciny mógłby powstać lord Ulver, pragnąc zemścić się na tym, który go zawiódł. Zoke zawiódł lorda; zamiast zostawić kobiety na odludnej wyspie, żeby zginęły z głodu, karmił je, trzymając przy życiu. Z ust złośliwego dziecka padły słowa prawdy. Niespokojnie zaszurał nogami, chlupiąc w błotnistej kałuży.

- A zatem, pani, co mogę zrobić? - zawył.

- Musisz zabić Margaret. Dzisiaj! - odrzekła.

- Ale jak?

- Przyjdzie tutaj oglądać gęsi. Jestem pewna, że przyjdzie. Musisz wyprowadzić ją z sitowia na moczary, gdzie bagna wciągną ją, nie pozostawiając śladu. Rozumiesz?

- Tak - kiwnął lekko głową. Edith nie posiadała się z radości. Dokładnie w tej chwili, gdy przestraszyła się wprowadzenia planu jej Mi-

112

strza w życie, pojawił się Zoke. Na niego zwała odpowiedzialność.

- Bardzo dobrze, poczekamy razem - pochylił się niezdarnie, tak że wysokie trzciny uczyniły go niewidocznym.

- Nie, Zoke. - Edith zaczęła się oddalać. - Znasz rozkaz mojego ojca. Musisz doprowadzić Margaret do śmierci - odwróciła się i zawołała. - Idę teraz do groty powiedzieć ojcu, że wykonujesz jego rozkazy.

Ruszyła biegiem, chcąc być jak najdalej zanim zada jej następne pytanie. Jej krew wrzała. Zdradziła miejsce pobytu tego, którego uznała za swojego ojca. Ale z ważnego powodu - próbowała się pocieszyć. Gdy Margaret zginie, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Mistrz zrozumie.

Skierowała się do Kotła. Był przyływ. Przez jakiś czas nie będzie mogła zejść na skalisty brzeg, schowa się więc na szczycie urwiska. Cokolwiek się zdarzy, jej szesnastoletnia siostra musi dzisiaj umrzeć. Oddychała z ulgą, że zrzekła się strasznej odpowiedzialności. Teraz najważniejsze należało do Zoke'a. I jeśli zawiedzie...

Porywisty wiatr niósł z morza gęstą mgłę, która ograniczała widoczność do kilku jardów. Skały wyłaniały się przed nią, musiały się schować między ich wystrzępionymi wierzchołkami. I czekać.

- Edith!

Z tyłu dobiegł ją stłumiony krzyk, urywany przez wiatr, nie do rozpoznania. Wzdrygnęła się i skuliła, gotowa do ucieczki. Przed nią skały ostro opadały w dół, a za nią...

Ujrzała we mgle jakąś sylwetkę - szczupła dziewczyna ostrożnie stąpała po śliskim gruncie, z trudem utrzymując równowagę. Wyciągała ramiona, włosy unosił jej wiatr. Edith poczuła przyływ strachu, gdy rozpoznała przybyłą, zanim jeszcze ujrzała jej rysy. Margaret!

- Edith, chodź tutaj! - Margaret była zła. Z dala od innych była nadal tyranem i dręczycielką najmłodszej siostry. - Dokąd chcesz iść? Matka każe ci natychmiast wracać do domu. Nie będziemy dłużej znosić twoich ciągłych wybrzków. Wyspa jest niebezpiecznym miejscem.

8 - Wyspa

113

Margaret stała bez tchu, tylko parę jardów od Edith. Dziewczynka oblizła wargi. Mdliło ją, kręciło się jej w głowie, widziała oczyma wyobraźni, jak Margaret prowadzi ją przemocą do domu i zmusza do jedzenia ohydnych, cuchnących ziółek. Ale najgorsze było, że Margaret nie przyszła na Moss śledząc Edith. Zasadzka była daremna. A ona przez swoje tchórzostwo zawiadła Mistrza.

- Matka chce, żebyś wróciła do domu. Natychmiast!

- Margaret rozglądała się ze złością. - Gniewa się na ciebie, tym razem będziesz wychłostana. A oprócz tego ja też dam ci szkołę!

- Co ty tu robisz? - Edith udawała przestraszoną.

- Na Moss są dzikie gęsi.

- Gęsi! - Margaret odrzuciła głowę i roześmiała się szorstko. - Ciebie szukam, a nie gęsi, mała siostrzyczko. Od tej pory będziesz siedziała w domu, przywiążemy cię liną. Będziesz mogła wychodzić na zewnątrz tylko z którąś z nas. Podejrzewamy, że knujesz coś z Zoke'em!

Edith zwiesiła głowę. Udała, że szloch, miała nadzieję, że zabrzmi to prawdziwie. Margaret zbliżyła się i wyciągnęła rękę.

- No, chodź tutaj. W taki dzień trzeba siedzieć w ciepłe, przy ogniu, a nie tu, na chłodzie i wietrze. Przez ciebie musiałam wychodzić z domu! - Szybkim ruchem uderzyła Edith w głowę. Dziecko krzyknęło z bólu.

Spojrzała ukosem zażawionymi oczami, skuliła się jeszcze bardziej i zrobiła krok do tyłu z nadzieją, że Margaret tego nie zauważy. „Chodź tu, droga siostrzyczko - pomyślała - jeszcze bliżej”.

Został tylko jard, i łąd się kończył, opadał pionowo w dół, w czeluści, gdzie fale uderzały w skały, rozpryskując się w pianę. Grunt był mokry i śliski. Margaret wciąż zbliżała się do Edith.

- Matka rozeźli się jeszcze bardziej, jeśli w tej chwili nie wrócisz do domu. Nie uciekniesz mi, a jeśli będziesz się szarpać, naprawdę cię stłukę.

Edith chwyciła wyciągniętą rękę, ześliznęła palce na nadgarstek, zacisnęła je i mocno szarpnęła. Poczuła, że

114

ciągnie Margaret w stronę urwiska, i że ta traci grunt pod nogami. Odskokzyła na bok i rzuciła się w drugą stronę.

Przeraźliwy krzyk. Widziała, jak Margaret ześlizguje się, tracąc równowagę. Siostra krzyknęła raz jeszcze, gdy znalazła się nad krawędzią.

Edith próbowała coś usłyszeć, pożądliwie natężyła słuch, usiłując wyłowić krzyk, ale było to niemożliwe: huk fal uderzających w dole był zbyt głośny. Z okrutną gorliwością Edith wyciągnęła się na brzuchu, wyglądając ostrożnie znad krawędzi.

Wytrzeszczyła oczy ze zdumieniem. Margaret nie spadła na dół. Dwadzieścia jardów niżej z kamiennej ściany wystawała, jak dziób orła, ostra skała. Na tym haku wisiąco skrwawione ciało, głową w dół; ręce Margaret zwisały na jedną stronę, nogi - na drugą. Tułów był roztrzaskany, ale kończyny całe - poruszały się na wietrze jak wahadło, które zwalnia ruch, by ostatecznie się zatrzymać. Oczy - przepełnione bólem i nienawiścią - patrzyły w górę, na Edith, przeklinając ją, zanim śmierć zmatowiła je i pozbawiła wyrazu.

Dziewczynka nadal patrzyła. Nie ma co się spieszyć. Ciało było osadzone na skale, nie ześlizgnie się - szkielet pozostanie tu jeszcze co najmniej dziesięć lat. Edith czekała cierpliwie, wiedziała, że gdy nastanie odpływ, zjawią się tu stada padlinożernych mew. Obwieszczając wrzaskiem, że znalazły żer będą zwoływać się na ucztę. Będą walczyć o oczy Margaret, wrzeszcze ochryple, gdy zaczną odrywać od kości strzępy mięsa.

Edith była zadowolona z siebie. Zapomniała o wcześniejszym strachu. Cieszyła się, że dobrze służyła Mistrzowi. A Zoke - uśmiechnęła się do siebie - będzie siedział skulony w trzcinie przez cały dzień, mokry i zmarznięty.

Nad jej głową pojawiły się mewy - kołowały, rzucały się w dół, krzyczały. Zemsta została dokonana. Mogłaby tu zostać i patrzeć, drżąc z radości, jak ostre dzioby żłobią dziury w ciele znienawidzonej siostry. Układała plany, co zrobi z matką, z pozostałymi siostrami... i oczywiście, Zoke'em.

## Rozdział XVI

Frank Ingram wszedł na szczyt wzgórza. Miał stąd widok na morze otaczające wyspę; mógłby zauważyć łódź co najmniej kwadrans przed jej dobieciem do brzegu. Było to wystarczająco dużo czasu, aby wrócić na farmę i upewnić się, że Samanta i jej okropne córki już się spakowały i są gotowe do odjazdu. Muszą się znaleźć na pokładzie, choćby nawet miał je tam wlec siłą jedną po drugiej.

Na niebie nie było teraz ani jednej chmury i słońce świeciło jeszcze mocniej. W głębi wyspy będzie dziś w nocy ostry mróz. Dziś w nocy! Nie mógłby czekać na tę noc spokojnie, gdyby nie przeświadczenie, że już za chwilę pozbędzie się tej zgrai, że wyprawi ją z wyspy. Przypomniał sobie, jak kilka lat temu przyjechała do Guilden na praktykę młodzież ze szkoły rolniczej. Pracowali tylko przez tydzień, ale i tak Gillian nie była zbyt entuzjastycznie nastawiona do obcych. Szczególnie osobliwym młodzieńcem był Tammy; pracował jak przysłowiowy koń i tak samo jadł. Z przerażeniem patrzyli, jak co rano zjadał trzy talerze kaszy i zabierał ze sobą ponad pół bochenka chleba. Jego ekscentryczność zaczęła im działać na nerwy kiedy Tammy przestawiał ich kolorowy telewizor na odbiór czarno-biały, twierdząc, że kolory szkodzą mu na oczy. Był to zaledwie jeden z jego licznych feblików, toteż pod koniec tygodnia mieli ochotę go udusić. Tammy napomykał nawet, że wolałby zostać tu jeszcze tydzień zamiast jechać na farmę w Walnut. Gillian odwozila go tam; wolała nie ryzykować - gdyby na przykład autobus wypadł z kursu, musiałby pozostać w Guilden. Och, jakąż ulgą była pierwsza noc bez Tammy'ego, Frank nigdy tego nie zapomni. Dziś w nocy będzie tak samo. Jedyną rzeczą, która psuła jego radość był brak Gillian.

"Przepraszam cię, Gillian, za ostatnią noc". Ta dzie-

116

wczyzna miała jakieś hipnotyczne zdolności, był tego pewien. Nie była przecież ani trochę podobna do jego żony, pod żadnym względem.

„No, gdzie ta łódź - niecierpliwił się - dlaczego się spóźnia?”. Ponownie zbadał wzrokiem horyzont, ale nie natknął się nigdzie na ślad promu. Łódź powinna przypłynąć poza rozkładem, bo wczoraj została w porcie z powodu sztormu. Chyba, że zjawi się dopiero jutro. „O Boże, proszę, nie!”

Ktoś szedł w kierunku Kotła. Frank wyteżył wzrok, ale odległość była zbyt wielka, aby rozpoznać idącą. Na pewno któraś z dziewcząt, ale nie Ellen - jak na nią zdecydowanie za wysoka. No tak, jedna z nich wyszła się przejść, Samanta mówiła przecież, że pójdą na krótki spacer. Było mnóstwo czasu, żeby wrócić, nawet jeśli łódź pokazałaby się teraz. A może dziewczyna również wyszła by wypatrywać promu? Wolał myśleć, że właśnie taka jest przyczyna ich spotkania. Może znów się pokłóciły? Może nad rozbitym zdjęciem... Nie, to niemożliwe, przecież miały to w nosie.

Czas mijał. Frank spojrzął na zegarek: 12.15. O tej porze łódź powinna już być w przystani. Postanowił wrócić na farmę, ale po chwili zmienił decyzję. Nie chciał się denerwować w ich towarzystwie. Nie miał też zamiaru zegnać się z nimi. Tylko patrzeć z daleka, żeby być pewnym, że weszły na pokład. Gdzie, u diabła, ta łódź?

Zaczął się odpływ. Cumowanie byłoby teraz łatwe, a droga przez zatokę wygodna. Znów zaczęło mu dokuczać przecucie, że łódź nie przypłynie. O, Chryste Panie, jak miał spędzić kolejną noc z tymi przekłętymi dziewczuchami? Barykadowanie drzwi sypialni nie da rezultatu. Jeśli nie miałyby dość siły fizycznej, żeby je wyważyć, wynajdą jakiś podstęp i wejdą do środka. A jeśli im się nie uda pokonać drzwi, będą go dręczyć w snach. Może powinien pozostać z psem na dworze, znaleźć sobie gdzieś spokojną kryjówkę i tam spędzić noc? Spojrzął na psa - Jake na znak zgody uderzył w ziemię ogonem, jakby aprobując ten pomysł.

117

Byłoby jednak strasznie zimno i niewygodnie. "Nie - pomyślał stanowczo - łódź przypłynie. Nie ma żadnej przyczyny, dla której miałyby zostać w porcie, a kapitan jest obowiązkowy i zna potrzeby mieszkańców wysp. Ale jeśli nie przypłynie, skończy się nam jedzenie - uświadomił sobie. Puszka wołowiny i parę bochenków chleba domowej roboty musi starczyć do jutra, do południa".

Wiedział, że minie sporo czasu, zanim wróci do normalnego stanu ducha. Zastanawiał się, czy nie pojechać by na południe, do Shropshire - pomysł spodobał mu się. Ale pierwszą rzeczą, którą robi, gdy już wyjadą, będzie sklejenie fotografii. Naddarcie można będzie zalepić taśmą, a dziecięce gryzmoły spróbuje ostrożnie wymazać gumką. Nie obiecywał sobie wiele po tych zabiegach, ale spróbować trzeba.

O 12.40 wciąż nie było śladu promu. "Nie przypłynie, wiem, że nie przypłynie. Będziemy musieli wracać" - powiedział głośno do Jake'a. "Trzeba się zająć owcami. Chodźmy, przyjacielu, nie musimy przecież wchodzić do domu".

Wciąż to samo: wiedział, że wejdzie, choćby po to, żeby sprawdzić co robią i czy znowu czegoś nie zniszczyły. Droga powrotna zajęła mu więcej czasu niż zwykle, i kiedy wszedł na dziedziniec, była już 12.55. W kuchni paliło się światło. Głupie, nieoszczędne mieszcuchy, muszą mieć chyba nieźle zepsuty wzrok!

Jake został na podwórzu, Frank otworzył drzwi. Sa-manta stała przy piecu, obok niej, na blasze parowały dwa nieduże bochenki chleba. Podniosła oczy, ukazując zamartwioną twarz:

- Ruth zniknęła! - warknęła. - Muszę z tobą o czymś pomówić.

- Nie przejmuj się - chrząknął i powiódł wzrokiem w poszukiwaniu dziewcząt, ale nie było żadnej; może poszły na górę pakować plecaki. - Gdzie reszta?

- Szukają Ruth, rzecz jasna! - zacisnęła wargi ze złością. - Zamknij drzwi, musimy porozmawiać!

Kopnął drzwi i od razu się zezłościł, że posłuchał jej

118

szorstkiego rozkazu. "Do diabła, to mój dom, i jak do tej pory, mogę jeszcze w nim robić, co zechcę" - pomyślał.

- Budzisz we mnie wstręt - odwróciła się do niego i zacisnęła pięści tak mocno, że stawy jej pobiełały. - Powiedz mi prawdę, Frank, nie próbuj kłamać. Czy miałeś z Ruth stosunek seksualny? No, mów, tak czy nie?

Poczuł się tak, jakby uderzyła go pięścią w twarz. Zachwiał się, świat zawirował mu przed oczami. Próbował coś powiedzieć, ale wyjął tylko:

- Ja... to znaczy...

- Więc miałeś - oddychała szybko. - W zeszłym miesiącu skończyła 16 lat. Miesiąc temu. Podam cię do sądu za uwiedzenie nieletniej!

Nic nie przychodziło mu do głowy. Jak, u diabła, powiedzieć jej, że Ruth podstępem wdarła się do jego sypialni, że przekonała go, że to jego noc poślubna, a ona to Gillian? Zrobiłby z siebie kompletnego idiotę.

- Co masz na swoją obronę, Frank?

- Ruth przyszła chcąc tego i dostała, czego chciała - odpowiedział. - Przypuszczam, że powiedziała ci nieprawdę i próbuje mnie obciążyć odpowiedzialnością za to, co się stało.

- Ciebie? I kogo jeszcze?! - krzyczała. - Boże, jeśli mężczyzna w twoim wieku nie potrafi się oprzeć młodej dziewczynie, powinien być... zamknięty! Ruth jest w strasznym stanie, boi się, że może być w ciąży! Wybiegła z domu z płaczem. Ty cholerna świni!

- Nie widać łodzi - rzekł słabym głosem.

- Pieprzyć łódź, nie obchodzi mnie, czy przyplynie, czy nie! Nie odpłyniemy stąd, dopóki Ruth się nie znajdzie.

Walczył z ogarniającą go paniką. "Oszaleję" - pomyślał. "Chcę tylko pozbyć się ich z wyspy." Przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę telefonu. Może to w centrali coś się popsło i uszkodzenie zostało już usunięte? Ale telefon nadal był głuchy. Cisnął słuchawkę na widełki.

- Pójdę, poszukam jej - rzekł.

- Idę z tobą - ruszyła do drzwi. - Nie pozwolę ci być blisko moich córek, żadnej z nich!

119

Ich oczy przez sekundę się spotkały i Frank ujrzał w nich coś oprócz gniewu. Zazdrość! Była wściekła, bo przespał się z Ruth, zazdrosna, że to nie ona znalazła się w jego łóżku. "Moja matka jest niebezpieczna" - Ruth mówiła prawdę.

I, wielki Boże, nawet teraz, w tej sytuacji, widział oczyma wyobraźni Samantę rozebraną, nagą w swoim łóżku. Zwalczył krótki przypływ pożądania. "Nie spałbym z nią, nawet gdybym musiał zostać z nią na Ulver do końca moich dni." Ale wiedział, że to nieprawda.

- Bóg jeden wie, gdzie poszła - szepnęła Samanta, gdy przeszli przez dziedziniec. Jake biegł za nimi, ale teraz ruszył z powrotem do domu.

- Chyba ją widziałem - odpowiedział Frank. - Kiedy stałem na wzgórzu, ktoś szedł w kierunku Kotła. Myślałem, że to...

- To była Ruth. Chodźmy, i niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli coś się jej stało.

Zaczęła biec. Trudno mu było dotrzymać jej kroku. Kalosze ciążyły mu, jakby ktoś napchał w nie ołowiu. Kiedy zaczęli biec w kierunku Kotła, Frank zapomniał nawet o łodzi. Prosił Boga, żeby wszystko okazało się w porządku.

Ktoś krzyczał. Frank zamknął oczy. To było tak, jak w nocy, gdy budziły go przejmujące kobiece krzyki. I potem rano, na Moss, gdy zaczęło świtać. Samanta zatrzymała się nagle i prawie na nią wpadł.

- Tam! - zesza ze ścieżki i ruszyła w kierunku urwiska. Ujrzeni trzy sylwetki, zbyt daleko, by je rozpoznać, ale to musiały być Debbie, Janet i Ellen. Wrzeszczały dziko i gestykulowały z przejęciem.

- O mój Boże, coś się stało!

Podejście było ostre. Frank myślał, że rozsadzi mu płuca. Długo pokonywali wzniesienie, a dziewczęta na górze wciąż histerycznie krzyczały. W skroniach mu waliło, huczało w uszach. Tym razem krzyki były prawdziwe, inne, niż te nocne, które cichły z nastaniem świtu.

Samanta była daleko przed nim, prawie na górze. El-

120

len wybiegła spotkać matkę, zaczęła szarpać ją za ramię, ciągnąc w kierunku krawędzi urwiska. Widział, jak spojrziała w dół i też zaczęła krzyczeć.

Frank dogonił kobiety. Oparte na rękach i kolanach patrzyły w przerażającą przepaść, szlochając i wskazując coś palcami.

Zawahał się: nie chciał tego oglądać.

- Spójrz tutaj! - Samanta zwróciła do niego zapłakaną twarz. Oczy miała już zapuchnięte i czerwone, po policzkach płynęły łzy.

- Spójrz tylko... i zobacz, co zrobisz, Frank!

Zmusił się do spojrzenia w dół, położył się na brzuchu i podczołgał naprzód. Było to miejsce, którego zazwyczaj unikał, gdyż przyparowało go o zawrót głowy: pionowe urwisko, a w dole ostre skały i okrutne morze - było to właśnie miejsce, na które przybiegli poprzedni mieszkańcy wyspy, 40 lat temu i skoczyli w przepaść.

Spojrzał i omal nie wymiotował. Wiedział, że to Ruth, bo nie mógł to być nikt inny. Półnagie ciało tkwiło na występie skalnym, w połowie wysokości urwiska. Było nie do rozpoznania. Roztrzaskane przez upadek, wisiało w dziwny sposób, ramiona i nogi dyndały luźno, kasztanowe włosy były zakrwawione. Nie miała oczu - mowy już odnalazły ciało. Lekki wiatr powiewał strzępami ubrania, ręce wyciągały się, jakby nawet po śmierci wzywała pomocy.

Wszystko wirowało mu przed oczami, widział sceny z zeszłej nocy. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Samanta i jej trzy żywe córki krzyząc dawały upust swemu przerażeniu i nienawiści.



- Ktoś ją zabił - Marie odezwała się po raz pierwszy od dwóch dni. - Margaret nie spadła sama. Ktoś ją zepchnął. Przyglądała się córkom czarnymi oczami. Przestały już płakać. Teraz żal przerodził się w gniew i nienawiść. Przez dwa dni żadna z nich nie ruszyła się z domu. Na zewnątrz wciąż padał deszcz i wiał silny wiatr; w środku było zimno i wilgotno. Nie rozpalili ognia, ani na ognisku, ani pod wielkim kamieniem, który służył im za piec. Sterta mokrego zielska zaczęła gnicić i okropnie śmierdziała, ale nikt tego nie zauważył.

Marie badała wzrokiem każdą z dziewcząt po kolei:

Mary płakała, po jej białej twarzy płynęły łzy; Elizabeth siedziała ze skrzyżowanymi nogami, oczy miała zamknięte, ale nie spała; Edith była posepną i obrażoną, bez śladu łez na twarzy. Brakowało tylko Zoke'a; spędzał dni na polowaniu, ale jego wysiłki pozostawały bezowocne. Albo sam zjadał w sekrecie zdobytą żywność. To nie miało znaczenia, były zadowolone, że nie ma go tu w godzinie żaloby.

- Więc? - rozległ się nagły krzyk, pytanie domagające się natychmiastowej odpowiedzi.

Elizabeth wzdygnęła się, otworzyła oczy. Patrzyła na matkę przerażona. Poruszyła ustami, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Mary kiwała głową potakująco - jeśli matka mówi, że ktoś zabił Margaret, to na pewno tak właśnie było. Nic więcej nie mogła w tej sprawie powiedzieć. Miała czyste sumienie, nie bała się podejrzeń.

- Edith' - to była reprimenda, a nie oskarżenie. Marie gniewali ' • na najmłodszą córkę za wiele rzeczy, przede wszystkim / . • ' o . że nie płakała, że nie okazywała żalu po stracie siostrzycy Edith nie mogła zabić Margaret, nie miałyby

122

tyłe siły. Ale dziecko było winne, gdyby nie wyszło z domu tego ranka, Margaret nie musiałyby jej szukać.

- Edith, słyszysz mnie?

- Słyszę, matko.

- Więc?

- To nie ja. To Zoke.

- Zoke?! To absurd.

- Nie, wcale nie. Jeśli Zoke nas zabije, będzie miał dosyć jedzenia, żeby przeżyć, prawda? Nie możesz mu nic zrobić, bo bez niego wszystkie umrzemy z głodu.

Marie zacisnęła wargi. Mądrość dziecka dorównywała jego złemu charakterowi. Rosta w niej zawziętość, chętnie stłukłaby Edith na kwaśne jabłko, ale to tylko pogorszyłoby sprawę. Dziewczyna rzeczywiście była nieodrodnym dzieckiem swego ojca.

"Lepiej, żebyś ty spadła z urwiska, a nie uczciwa Margaret" - pomyślała.

Marie zorganizowała pogrzeb. Pogrzeb w morzu, jak to było w tradycji Ulverów. Następnego dnia ciało Margaret ześlizgnęło się ze skalnego występu i spadło na brzeg. Był odpływ, więc leżało tam, mewa krążyła nad nim, aż znalazł je Zoke.

- Moja córka będzie złożona na wieczny spoczynek, jak przystało na córkę Ulverów - oświadczyła stanowczo Marie. -

Pogrzebiemy ją w morzu. Nie mamy łodzi, więc musimy poczekać na przyływ. Niech ją zabierze. Zrobimy jej całun z naszych gnijących ubrań - tylko Zoke pozostanie ubrany - nie miała ochoty oglądać niekształtnej nagości starego przewoźnika.

Rozebrały zmasakrowane, skrwawione ciało i owinęły je we własne, zniszczone ubrania. Z należytą czcią ułożyły zwłoki na brzegu, aby zabrało je morze. Leżały tak parę godzin, mała gromadka trzymała straż, chroniąc je przed skrzydlatymi łupieżcami, dla których gnijące płótno nie stanowiły przeszkody.

Z pochylonymi głowami patrzyły, jak fala przyływu ogarnęła okryte całunem ciało, uniosła je, osadziła znów na piasku, a potem zalała i obróciła. Skrzywiły się z bólu, gdy uderzyło w skały, całun odwinął się, ukazując część

123

ramienia. Fala znów je porwała - ale nie ku morzu. Majestatycznie niosła je w kierunku wejścia do groty, czarnej krypty, która, otworzywszy szeroko usta, czekała niecierpliwie, aby je połknąć.

Lamentujące kobiety ze zdumienia otworzyły usta. Według praw natury fale powinny obracać i podrzucać ciało, aż do nadejścia odpływu, który uniósłby je na pełne morze. Wyglądało na to, że grota była przeznaczona na miejsce spoczynku córki Ulverów.

Edith patrzyła zafascynowana. "Mój ojciec żąda twego ciała, Margaret, żeby się zemścić na tobie. Twoja dusza zgnije, jak i ciało!"

Stały tam, aż zapadła noc. Przyływ dawno już ustąpił, ale Margaret nie wyłoniła się z groty. Marie przeżegnała się. Byłoby bluźnierstwem iść do pieczary, szukać ciała, przeskadzać zmarłej. Cokolwiek się stało, było wolą... no cóż, na pewno nie Boga! Zadrzała i dała córkom znak, że czas wracać do chaty.

Minęła następna noc. Po niebie gnały postrzępione obłoki, słońce świeciło słabym, złotawym blaskiem. Edith drżała, ale nie z zimna. Jej ekscytacja sięgała zenitu; wykonała polecenie Mistrza i teraz musi do niego iść. Pochwali ją, a może nawet nagrodzi. Ukradkiem odwróciła krzyż zawieszony na łańcuszku. "Och, daj mi sposobność pójścia do ojca" - modliła się. I czekała, wiedząc, że ta chwila przyjdzie.

Życie wygnańców powoli wracało do normy. Marie i Mary podtrzymywały ogień na palenisku. Zoke pojawił się z mewą, być może jedną z tych, które urządziły sobie ucztę nad ciałem Margaret i zaczęły skubać ją w swej izbie. Elizabeth wciąż spała. Gdy nikt nie patrzył, Edith wymknęła się z domu.

Był odpływ, więc nie musiała czekać z wejściem do groty. Po raz pierwszy w życiu była zmieszana swoją nagością i próbowała zasłaniać się dłońmi, gdy stapała uważnie po śliskim podłożu. Zatrzymała się i przyzwyczajając wzrok do panującego mroku.

Ktoś tutaj był, mogła więc mówić. Zadrzała.

124

Zauważyła jakiś kształt w cieniu. Mistrz wyglądał inaczej niż poprzednio. Nie był ani potężny, ani wysoki, a jego oczy nie płonęły wcale czerwonym światłem. Edith zwilżyła wargi koniuszkiem języka i rzekła cicho:

- Mistrzu - ale nie poruszył się, ani nie odpowiedział na pozdrowienie.

W końcu zdobyła się na odwagę i odezwała się ponownie:

- Mistrzu, wykonałam twój rozkaz. Zabiłam Marga-ret. Kto ma być następny?

Usłyszała jakiś szum, to mógł być przyływ gdzieś daleko jeszcze - jak dźwięk, który słyhać, gdy przyłożyć ucho do dużej, morskiej muszli. Prawie jak cichy śmiech, ale bez śladu radości. Ponury i złowrogi.

- Ojczce - wyszeptala. - Jesteś moim ojcem, prawda? Nie było odpowiedzi. Spojrzała za siebie; słońce uniosło się wyżej na zimowym niebie, rzucało teraz ukośny snop światła, który padał na podłogę groty, lśniąc na mokrych skałach. Woda kapała; to też brzmiało jak cichy, szyderczy śmiech.

- Ona nie żyje, ojczce. Położyliśmy ją na brzegu, żeby morze zabrało ciało, ale ty wezwałeś ją do siebie. Chcesz się na niej

zemścić? Jest zła, musi być ukarana - słyszysz mnie, ojczy?

Znów odpowiedział jej tylko śmiech. Tym razem głośniejszy - to na pewno nie był już szum fal. Ludzki, a zarazem nieludzki, zgrzytający dźwięk dobyt z gnijących płuc przez szczękające, połamane zęby. Jak klekotanie kości.

Edith chciała uciekać, wiedziała, że w mroku kryje się coś przerażającego. Na pewno nie był to ten, który obiecał ją chronić. Ani Zoke, który nie odważyłby się tu wejść.

I wtedy postać ukazała się jej w odbitym świetle słońca. Ujrzała połamane kości podpierające kamienną półkę, nogi szkieletu zaślśniły bielą. Ramiona zwisały bezwładnie, na zbiegających kościach widniały kawałki ciała.

Czaszka była porośnięta rzadkimi jasnymi włosami;

miała puste oczodoły, z których mewy wydziobały oczy

125

- ale te czarne dziury patrzyły. Nozdrza rozszerzone były gniewem, usta poruszyły się i wydały dźwięk.

- Posłuchaj, dziecko, jakie przekleństwo ciąży nad wyspą Ulver i wszystkimi, którzy na niej mieszkają...

Edith odwróciła się i zaczęła uciekać. Pośliznęła się, ale nie upadła. Biegła, nie zważając na zdradliwe skały, jednak słowa dosięgły ją i tak, gdy była już na zewnątrz:

- ...śmierć i głód będzie ich udziałem, i jeśli będą mięso ludzkie, aż nikt nie pozostanie między żywymi."

Uciekając w śmiertelnym przerażeniu Edith uświadomiła sobie, że zawiodła Mistrza, bo Margaret, która zginęła i została pochowana w morzu - wciąż żyła.

### Rozdział XIII

Frank wracał na farmę idąc z tyłu, za kobietami, w ich przekonaniu potulny i pełen poczucia winy. Ruth była martwa, leżała na skalnym występie w środku urwiska, gdzie nikt nie mógł jej dosięgnąć. Przekonywał sam siebie, że jej śmierć nic dla niego nie znaczy, i że nie on jest za nią odpowiedzialny. W dodatku łódź już dziś nie przyplynie i za parę godzin będzie ciemno. Jezus Chryste!

Samanta weszła do domu pierwsza, pozostali za nią. Ellen odwróciła się i rzuciła Frankowi pełne wrogości spojrzenie, które mówiło: "Nienawidzę pana, panie In-gram. Cieszę się, że jest pan w kłopotach!"

Rozejrzał się za Jake'em. Nigdzie nie było śladu owczarka. Zdziwił się, Jake nigdy nie oddalał się sam. Ostatnio był jednak przestraszony i wytracony z równowagi. „Pobiegł pewnie do owczarni - pomyślał Frank - i tam czeka, aż przyjdę karmić owce. Zwierzęta szybko przyzwyczajają się do codziennego rytmu życia i nie lubią, gdy wytrąca się je z rutyny."

W kuchni panowała nieprzyjemna cisza. W piecu chlebowym znów płonął ogień, na zewnątrz leżały sadze. Stary komin nie był zapewne czyszczony przez ostatnie 40 lat. Frank chciał nawet zajrzeć do niego, ale nie zrobił tego, nie przypuszczał, by miał kiedyś używać dużego pieca, mały wystarczał mu całkowicie.

Dziewczęta siadły na krzesłach. Samanta zajęła miejsce przy piecu - jak mistrzyni ceremonii. Oczy miała błyszczące, usta zaciśnięte.

- Ciało musi być ściągnięte na dół - rzekła cicho, acz stanowczo, patrząc na Franka.

- Do tego trzeba ekipy ratowników górskich - odpowiedział. - Urwisko jest pionowe.

- Ty będziesz musiał ją ściągnąć! - jej słowa cięły

127

jak biczem. - Nie możemy jej tam zostawić przez całą noc. Mewy, wrony...

Któraś z dziewcząt - chyba Janet - jęknęła. Frank mimowolnie kiwnął głową:

- Zobaczę, co da się zrobić.

„Ty cholerny głupcze - pomyślał - nie ma sposobu, żeby samemu ściągnąć ciało."

- Dobrze - robiła wrażenie zadowolonej. - Zdaje się, że zostaniemy tu jeszcze jedną noc. Zrobimy, co w naszej mocy.

Poczuł rozpacz i przerażenie. Następną noc! Kątem oka zauważył ruch i poczuł podmuch zimnego powietrza od drzwi, potem usłyszał skrzypnięcie. Gdy nikt na nią nie patrzył, Ellen wyśliznęła się na zewnątrz. Jeśli pójdzie na urwisko i spadnie, to trudno. Baba z wozu, koniom lżej! Tym razem nie on będzie winny. Wszystko wymykało mu się spod kontroli. Teraz nastąpi śledztwo, a on będzie głównym oskarżonym. "Panie Ingram, czy miał pan stosunek z tą młodą osobą?". "Miałem". "I ten akt pańskiej żądy doprowadził do tego, że targnęła się na swoje życie, tak czy nie?"

- Za trzy godziny będzie ciemno - Samanta szorstko przerwała jego myśli. - Lepiej będzie, jeżeli już pójdziesz, Frank.

Odwrócił się, przeszedł przez pokój i wyszedł na podwórze. Powitało go jasne światło słońca. Wiał leciutki wietrzyk. Było prawie wiosennie. Rozejrzał się raz jeszcze, ale Jake się nie pojawił. "Sprawdzę w owczarni - pomyślał - na pewno nie poszedł dalej. Potrzebuję cię, Jake, nie mam pojęcia, jak ściągnąć to ciało, tak bardzo cię potrzebuję".

Jake'a nie było w owczarni, ani w żadnym innym budynku gospodarczym. Frank potrząsnął głową zaintrygowany. Pies nigdy się tak nie zachowywał. Może pobiegł na wzgórze? Postanowił zobaczyć najpierw, co da się zrobić z ciałem. Znalazł w szopie długą linę, zawiesił ją na ramieniu. Nie miał pomysłu na jej zastosowanie, martwe ciało nie mogło przecież chwycić się końca sznura.

Ruszył ścieżką biegnącą w dół, do brzegu. Nie zamie-

128

rzeł bynajmniej schodzić po skałach. Nie uśmiechała mu się też perspektywa wspinaczki na pionową, skalistą ścianę. A to znaczyło, że Ruth zostanie, tam, gdzie była, i rano mewy będą miały śniadanie. Rzucił tylko okiem, a potem pójdzie poszukać Jake'a.

Zaczął się przypliw, ale minie jeszcze pół godziny, nim fale dojdą do Kotła. Szedł z opuszczoną głową, bojąc się spojrzeć w górę. "Nie chcę cię widzieć, Ruth. Oszukałaś mnie zeszłej nocy". Zastanawiał się, gdzie jest Ellen - przypuszczał, że schowała się między skałami i obserwuje go, gotowa biec z powrotem i naskarzyć na niego: "Pan Ingram nawet nie próbował ściągnąć Ruth na dół, mamo". Frank nagle uniósł oczy wytrzeszczając je z niedowierzaniem.

Początkowo myślał, że przyszedł w niewłaściwe miejsce, ale przecież na urwisku był tylko jeden występ w kształcie palca. W tym właśnie miejscu, niezmiennie, od wieków. Ale nie było na nim żadnego ciała!

Przesłonił oczy drżącą ręką. Widział tylko skałę, nic więcej. Nawet zakrwawionych strzępów odzieży powiewających na wietrze.

Wyglądało to tak, jakby dziewczyny nigdy tu nie było, jakby wypadki tego ranka były tylko złym snem, z którego właśnie się

obudził.

Ale wiedział, że to wszystko prawda. Musiała się ześliznąć, spaść na kamienistą plażę. Frank zwilżył usta czubkiem języka. "Pójdę poszukać, ale, na Boga, wołałbym jej nie znaleźć".

Przez 10 minut dokładnie przetrząsnął brzeg pod miej-jscem, gdzie jeszcze parę godzin temu wisiało ciało. Nigdzie nie ujrzał nawet śladu, nawet krwawej plamki na skałach. A przecież w tym czasie nie było przyływu, który mógłby porwać ciało ze sobą.

Ciarki przeszły mu po grzbiecie, obrócił się czując, że nie jest sam. Ktoś go śledził. Pewnie Ellen - między skałami było mnóstwo miejsc, w których można było się ukryć. Przekłęte dziecko, wyraźnie domagało się, żeby sprać jej tyłek - i gdyby ją złapał... Ale wiedział, że narobiłby sobie tylko dodatkowych kłopotów.

Cóż, Ruth tu nie było, ale dla pewności rzucił jeszcze

9 - Wyspa 129

okiem na plażę. Znalazł tylko jedną kryjówkę - dużą grotę. Stał tak, niezdecydowany; gdyby nie zabił jej upadek na występ w skale, na pewno dokonałoby tego uderzenie o kamienistą plażę. Gdyby przeżyła - co było niemożliwe - mogłaby się doczołgać do groty. Ciężko ranna, oszołomiona, nie wiedząca, gdzie jest - bo nikt przy zdrowych zmysłach nie szukałby tam schronienia. Było tylko jedno miejsce na wyspie wzbudzające w nim nieuchronnie gęsią skórę od dnia, gdy przybył tu po raz pierwszy, by obejrzeć swoją przyszłą posiadłość. Swój strach - tłumaczył sobie - był prymitywny i nie logiczny. Ciemna dziura, nic więcej, niebezpieczna tylko wtedy, gdy nie zauważyło się nadchodzącego przyływu. Tak jak teraz.

Ale było jeszcze mnóstwo czasu, żeby szybko rzucić okiem do środka. Bardzo szybko. Ruth nie może być wewnątrz. W żaden sposób. Walczył z chęcią natychmiastowej ucieczki, powiedzenia Samancie: „przykro mi, Sa-manto, ale nigdy nie przyszło mi to do głowy, żeby tam zajrzeć”.

Stał w wejściu, wyęzając oczy, próbował dojrzeć coś w mroku. Woda kapiała; w nozdrza uderzał obrzydliwy smród gnijących wodorostów, dający się porównać ze zgnitym, odrażającym oddechem. Panował lodowaty chłód. "Nikogo tu nie ma - powiedział do siebie - marnujesz czas".

Nagle usłyszał gruchot toczącego się kamienia. Podskoczył, ale pomyślał, że to nic dziwnego, kamienie muszą przecież spadać ze sklepienia, obłuzowane przez przyływ. Nabrał odwagi, żeby się odezwać:

- Ruth?

Wolał zmarłą, krzyczał i słyszał echo swego głosu. Czy umarli odpowiadają?

- Ru-uth...?

Nie, nie było jej tutaj, szaleństwem byłoby myśleć, że mogłaby tu być. "Och, mój Boże, ktoś tu jednak jest!"

Zauważył jakiś ruch, potem z mroku wynurzył się czyjś kształt idący ku niemu. Nie mógł powstrzymać krzyku przerażenia; nogi odmówiły mu posłuszeństwa, stał

130

więc i patrzył szeroko rozwartymi oczami, jak ludzka postać wychodzi z ciemności i zmierza do wyjścia.

Widział Ruth, nagą, uwodzicielską - jej oczy szukały go. "Jestem taka, jak twoja żona, prawda, Frank? Ja jestem twoją żoną, właśnie się pobraliśmy. Jestem dziewczyną, nie zrań mnie. Frank, proszę".

"Czy miałeś stosunek z moją córką, Frank?" Zakrył oczy dłońmi, próbował odgonić je wszystkie. "Nie, proszę, zostawcie mnie samego!"

- Przestraszyłam pana, panie Ingram?

Momentálną ulgę zastąpiła złość. Opuścił drżące ręce i zobaczył Ellen, stojącą bez wstydu w młodzieńczej nagości. Śmiała się z niego, drwiła, jakby chciała powiedzieć: "to właśnie chciałam zrobić, panie Ingram, bo zabił pan moją siostrę. Pan ją skrzywdził i dlatego odebrała sobie życie." Uśmiech dziecka krył w sobie złośliwość i nienawiść.

- Głupi bękaracie! - krzyk odbiło echo. - Co, u diabła, tu robisz?

- Szukam Ruth. Tak jak pan.

- Co z nią zrobiłaś? - wiedział, że to Ellen musiała ruszyć ciało - nie kto inny. Ruth zapewne spadła, a to przekłęte dziecko jakoś przeciągnęło ją tutaj.

- Nic z nią nie zrobiłam. Dlaczego pan tak sądzi? „Dlatego, że jesteś wstrętna i wszystkim przysparzasz kłopotów” - pomyślał.

- Spójrz tu, nie bądź głupia. Jeśli wiesz, gdzie ona jest, powiedz mi.

- Może tam - Ellen postąpiła za nim, wyszła na zewnątrz i odwróciła głowę. - Dlaczego pan sam nie pójdzie i nie zobaczy, panie Ingram? - śmiejąc się ruszyła biegiem, prędko i pewnie stawiając stopy na nierównej, kamienistej plaży.

Frank otarł spocone czoło. "Czemu sam nie pójdiesz i nie zobaczysz? Bo sram ze strachu, gdy pomyślę, co mógłbym tam znaleźć - uświadomił sobie. A poza tym nie mam latarki. Wciąż to samo - powinienem pójść, tylko na chwilę, rzucić okiem. Ale Ruth tam nie ma, to niemożliwe."

131

Coś plusnęło mu pod nogami i ochlapało mu kalosze. Cichy szum drobnych fal zwiastował delikatnie nadejście wielkiej wody, która będzie rozbijać się o skały, wypełni tę grotę, kipiąc złością i szukając ofiary.

Nie, byłoby zbyt niebezpieczne wejść do środka. Mógłby się pośliznąć i złamać nogę albo uderzyć się w głowę i stracić przytomność. Nie warto ryzykować, narażać życie dla zmarłych, którym i tak już nie można pomóc - próbował uspokoić sumienie. Odwrócił się i skierował ku kamienistej ścieżce. Zrobił, co mógł i nikt nie byłby w stanie zrobić więcej.

Nigdzie nie było widać Ellen. Poszła pewnie do domu i teraz opowiada matce jakieś kłamstwa. Spojrzył na niebo - jeszcze godzina i będzie ciemno. Nie oporządził dziś inwentarza, ale postanowił najpierw znaleźć Jake'a.

Zniknięcie psa bardzo go zmartwiło. Jake powinien był wrócić natychmiast i towarzyszyć mu w drodze na plażę. Ale nigdzie nie było śladu owczarka. Cóż, jeśli trzeba będzie, przeszuka całą wyspę. Zacznie od wzgórza.

Wzgórze wyglądało dziwnie pośepnie w świetle późnego popołudnia, na tle pogodnego nieba. Pomyślał, że takie właśnie miejsce wybrałby dawni Szkoci, aby bronić ojczyzny przed najazdem Anglików. Doznał tajemniczego uczucia, że jest saksońskim intruzem, wrogiem, którego trzeba zniszczyć.

- Jake... Ja-ke! - zagwizdał ostro, przeszywająco. Jeśli pies byłby w zasięgu słuchu, przybiegłby natychmiast, zostawiając wszystko inne. Tak go Frank wytresował.

Nagle zauważył Jake'a. Owczarek był trzysta jardów stąd, stał wyprostowany na brzegu bagna. Spozierał za siebie, uszy miał położone płasko na głowie - wyglądał, jakby się bał, jakby go ktoś gonił. I rzeczywiście!

Po wąskiej linii oddzielającej trzcinowisko od kryjących się pod niewinnie wyglądającą, soczystą, zieloną trawą niebezpiecznych bagien poruszała się niewielka postać. Szła ukradkiem, zatrzymywała się, po czym zgięta w pół posuwała się

naprzód. Skradała się. Podchodziła Jake'a!

- To znowu ten cholerny dzieciak! - wymamrotał

132

Frank. - Co, u diabła, ona zamierza? I dlaczego Jake jest nieprzytomny ze strachu?

Pies rzeczywiście był przerażony. Nie widział prześladowczym, ale czuł jej zapach. Stał z ogonem podwiniętym pod skulone ciało, bliski paniki.

- Jake, piesku. Tutaj!

Jeśli nawet Jake usłyszał swego pana, to go zlekceważył, osłupiał ze strachu. Ścigane zwierzę niespokojnie węszyło nosem. Dokładnie w tej chwili Ellen wynurzyła się znad sitowia. Pies dostrzegł ją i wyszczerzył zęby, ale do Franka nie dobiegł żaden dźwięk. Widział, jak Jake ruszył biegiem; był przekonany, że pobiegnie do niego albo wróci do domu. Ale owczarek uciekał na oślep, panika odebrała mu wszelkie wyczucie kierunku. Biegł prosto na bagna.

Frank zdawał sobie sprawę, że nie może mu pomóc. Był widzem, nie mającym żadnego wpływu na wydarzenia. Musiał stać i przyglądać się temu, co było nieuniknione.

Nagle dał się słyszeć chłopot - biegnący owczarek ugrzązł, ale udało\* mu się wyrwać ze ssącego błota. Frankowi zdawało się, że słyszy jego skomlenie. Pies skoczył na trawę rozbryzgując wokół błotniste strugi i pograżył się natychmiast po brzuch.

Usiłował płynąć, walczył i wciąż oglądał się za siebie, jakby się bał, że diabelska dziewczyna zbliża się do niego.

Nawet z tej odległości Frank słyszał bulgotanie i szemranie bagna, głodnego potwora, który drzemał przez wieki, aż nagle został obudzony ze snu, chwycił ofiarę i ciągnął ją w dół. Łapy już znikły, tylko łeb i szyja były widoczne. Frank słyszał pełen lęku skowyt, przeciągłe wycie i przypomniał sobie stare porzekadło: "gdy pies wyje, ktoś umrze".

Frank rzucił się biegiem, ale wiedział, że nie zdąży. Nie ośmielił się przekroczyć granicy sitowia, nie mógł podejść do Jake'a bliżej niż na 30 jardów. Biegając, rozwijał linę, choć było pewne, że na nic się to nie zda.

Nad powierzchnią trzęsawiska widział już tylko łeb Ja-ke'a, z białą plamką nad jednym okiem. Ujrawszy Franka pies zamrugał powiekami, jakby mówił: "niech pan zo-

133

stanie tam, gdzie pan stoi, już mi nie można pomóc". Owczarek przestał się szarpać - pogodził się widać z losem, ale raz jeszcze powiódł oczyma, szukając dziecka, które ścigało go brzegami bagna.

Ellen zniknęła bez śladu, zdawało się, że trzęsawisko ją też wciągnęło. Frank rzucił linę - był to już tylko gest. „Zrobiłem, co mogłem, Jake - pomyślał. Może byłoby lepiej, gdybym poszedł do ciebie i zginął razem z tobą. Przynajmniej wyrwałbym się ze szponów tych diabolic".

Trawa wokół psa uniosła się, a po chwili opadła z powrotem, jakby pod ziemią jakiś olbrzymi brzuch usiłował strawić nie przeżuty kęs jedzenia. Frank ukląkł na jedno kolano 4 skłonił głowę żegnając wiernego przyjaciela. Ogarnął go żal - znów patrzył na odejście kogoś, kogo kochał, tak jak wtedy, gdy widział kurtynę zasłaniającą trumnę Gillian w krematorium.

Przytłaczające poczucie samotności sprawiło, że zachciało mu się płakać, ale wiedział, że łzy przemogą gniew i złość.

Ogarnęła go zimna furia - to sadystyczne dziecko doprowadziło Jake'a do śmierci. Z premedytacją! Dlaczego? Po prostu dlatego, że lubiła ranić i zabijać. Gdy zabrała mu naboje, powiedziała, że brzydzi się zabijaniem. Chyba, że robiła to sama.

Zabiła jego psa. I chciała zabić jego!

Jake odszedł. Jeszcze tylko jeden bąbel i jakby nigdy nie istniał. Lina ciągnęła się po bagnie, jej postrzępiony koniec znaczył grób wiernego psa.

Zapadła ciemność. Frank wyplakiwał swój smutek na nocnym wietrze. Płakał, lzy piekły go w policzki. Szlochał, bo teraz nie miał już nawet psa - był zupełnie sam.

Sam z trzema kobietami i okrutnym dzieckiem, które pożyły czegoś więcej, niż tylko ciała. Chciały jego duszy.

## Rozdział XIX

- Zoke. Zoke, obudź się!

Marie pochylała się nad śpiącym kartem; skrzywiła się z odrazą, gdy jej palce dotknęły kościstego ramienia i potrząsnęły, najpierw delikatnie, potem coraz bardziej przynaglająco. Głowa Zoke'a spoczywała na poduszce, którą zrobił ze skóry królika i wypchał suchą trawą. Oddychał ciężko; bezzębne usta były szeroko otwarte, ślina ciekła z kącika popękanych warg.

Charczenie obłeśnego starca rozlegało się donośnie w małym pokoju oddzielnym od izby kobiet.

Wszystko tutaj cuchnęło; kwaśny smród niemytego ciała i uryny mieszał się z mdłym odorem gnijących wodorostów. Zoke wymamrotał coś i otworzył oczy. Widniało w nich zaskoczenie i przerażenie. Po chwili wygramolił się z legowiska, usiadł i wybełkotał coś bez sensu.

- Obudź się, stary głupcze!

W świetle wczesnego poranka ujrzał nagie postacie Marie i Mary i cofnął się przed ich pełnymi bólu i gniewu twarzami. Stało się coś złego, bardzo złego i znów on będzie kozłem ofiarnym.

- Upoluję coś, już, już - wymamrotał. - Ja...

- Elizabeth jest chora - Marie klepnęła go w policzek; rozległ się trzask przypominający odległy wystrzał z muszkietu. - Musisz wstać i ją wyleczyć. Natychmiast!

Zoke szarpnął się przerażony. Jego pani żądała niemożliwego. Od śmierci Margaret Marie stała się wcielonym diabłem, przeklinała go nieustannie - tak, że starał się jak najmniej przebywać w domu. Polowanie było teraz trudniejsze, niż kiedykolwiek, a efekty znikome, szczególnie, że część łupu zanosił do skrytki na brzegu. Mimo wszystko bardziej bał się Edith, niż Marie - to dziecko było na pewno opętane.

135

- Zobaczę, co mogę zrobić - wepchnęły go brutalnie do sąsiedniego pokoju, gdzie przy ogniu, skulona na trzcinowym pościeliu leżała nieruchoma postać. Spojrzył na bladą twarz Elizabeth, jej długie, jasne włosy były rozrzucone i mokre od potu. Musiała mieć wysoką gorączkę, jej ciało drżało, bredziła, ale po chwili potok bezsensownych słów zmienił się w jęk agonii.

- Zrób coś, Zoke. Szybko!

Skinął głową i oblizał suche wargi. Jego nozdrza rozszerzyły się, jakby wyczuły ledwo uchwytny zapach będący zwiastunem śmierci. "Ta dziewczyna umrze i nie można zrobić nic, aby ją uratować". Musiał jednak próbować, żeby ją zadowolić. Od tego

zależało jego życie.

- Co jest mojej siostrze, Zoke? - Mary odezwała się łagodniej niż matka, z lękiem i niepokojem w głosie.

- Jakaś gorączka - Zoke przyłożył głowę do piersi Elizabeth i słuchał gwizdającego oddechu. Organizm dziewczyny był całkiem wycieńczony - umierała powoli. Brak pożywienia osłabił jej odporność, a ciało pozbawione ciepłego odzienia wystawione było na zimowy chłód. To początek końca; może pożyje jeszcze parę dni, a może tylko kilka godzin.

- Więc zrób coś - burknęła Marie. - Wieśniacy uważali cię za uzdrowiciela, dorównującego Macaulay'o-wi. Słyszałam, że czasem twoje zioła były skuteczniejsze niż jego leki. Użyj ich!

- Na wyspie nie ma ziół - odwrócił się; ogień oświetlił jego przerażone oczy. - Nie ma ziół i nie ma nic do jedzenia prócz zupy z wodorostów. Zostało tylko parę królików, a ptaki są ostrożne.

- Mary położyła dłoń na ramieniu matki, powiedziała wzrokiem po izbie i zobaczyła, że Edith nadal śpi. "Samolubna, mała suczka - pomyślała - lepiej, żeby to ona leżała teraz na tym łóżku. Ale i na nią przyjdzie kolej, tak samo, jak na każdą z nas".

- Zrób, co możesz, Zoke - głos Marie był cichy, prawie łagodny.

- Zrobię napar - wstał i zakolysał się nieznacznie.

136

- Ale muszę poszukać ziół, może coś znajdę. To może mi zająć kilka godzin i nie będzie łatwe.

- Nie zwlekaj, wracaj szybko - krzyknęła Marie za Zoke'em, gdy ten wyszedł już za drzwi. Spojrzała w dół, na Elizabeth, potem na Mary. Obie wiedziały, że chora dziewczyna umrze, czy Zoke znajdzie zioła, czy nie.

Edith zniknęła, nie mówiąc nic i nie patrząc na umierającą siostrę. Wiedziały, że krnąbrne dziecko wymknęło się, że poszła z Zoke'em towarzyszyć mu w poszukiwaniach. Nie miały ani siły, ani chęci próbować ją zatrzymać. W końcu i tak nie miało znaczenia, czy pójdzie sobie, czy zostanie. Żadna z nich nie przeżyje tej zimy. Ma-rgaret miała szczęście: umarła szybko. Zoke postanowił użyć jedynej leczniczej rośliny, jaką znalazł na tej jałowej, wietrznej wyspie. Za chatą stała krusząca się, kamienna ściana, ustawiona, by chronić mieszkanie przed wodą. Na tej ścianie rosły kępki dzikich roślin, które latem miały białe i żółte kwiaty w kształcie pereł. Pędy kwiatowe zmarzły z nadejściem zimy, ale pozostały małe listki o gorzkim smaku. Używał ich kiedyś do leczenia bólów głowy, ale wiedział, że niektórzy zwą tę roślinkę wielosiłem, uważając, że ma wiele innych jeszcze właściwości leczniczych. Wątpił, co prawda, czy wyleczy Elizabeth z choroby, którą niewątpliwie było zapalenie płuc, ale przynajmniej będzie widać, że coś robi. Marie nie będzie mogła go oskarżać, że się nie starał.

Zebrał kilka garści liści, przyniósł je do domu i wrzucił do garnka z wodą, który umieścił nad ogniem. Trzy kobiety patrzyły z zainteresowaniem i po ich twarzach przemknął cień nadziei.

- Czy to ją uleczy? - spytała Marie drżącym głosem.

- Być może - odparł. Nie ma tu nic innego. Kiedy się zagotuje, musi naciągnąć przez parę godzin, potem trzeba odlać i dać jej do wypicia.

- A w tym czasie pójdziesz i znajdziesz coś do jedzenia

- to był rozkaz: "nie możesz nas zawieść, umieramy z głodu, nasze żołądki buntują się już przeciw wodorostom".

- Zrobię, co w mojej mocy - odwrócił się i powłó-

137

cząc nogami wyszedł na zewnątrz. Wiatr i deszcz przynosiły ulgę po dusznej atmosferze śmierci, która panowała w chacie. Wszyscy niedługo zginą, co do tego nie można było mieć wątpliwości. Na wyspę przybył lord, do ostatniej fortecy w obliczu inwazji Anglików. Przywiódł go tu Mistrz, Szatan; dziecko wiedziało, że lord domaga się ich śmierci i dlatego działało na ich szkodę w nadziei, że ojciec ją uratuje. Zoke zadrżał, był zdecydowany trzymać się z dala od brzegu, od grotu, w której - wedle słów Edith - przebywał jego pan. Ulver z pewnością będzie szukał zemsty na przewoźniku, który zawiódł go i trzymał kobiety przy życiu przez parę miesięcy, podczas gdy powinny być zginąć od razu.

Zoke nie zdziwił się, gdy zobaczył Edith wśród sitowia przy bagnie. Z jakiegoś powodu była podekscytowana, ruszyła biegiem do niego. Bose stopy rozpryskiwały gęste błoto, ochlapując uda i tułów. Poczul się zmieszany i trochę przestraszony.

Zazwyczaj trzymała się odeń z daleka, a ostatnio była posępna i czasem prawie się nie odzywała przez cały dzień.

- Zoke! - z trudem łąpała oddech, zmęczona biegiem. - W trzcinie jest... kaczka!

- Na Moss zawsze są kaczki - odparł. - Ale są chytre, nie podejdziesz do nich blisko.

- Do tej podejdziesz - Edith była naga, miała tylko szorstką przepaskę na biodra zrobioną z ostatniej części jej garderoby. - Ma złamane skrzydło, może tylko biec. Leży tam, na ziemi, dwadzieścia jardów stąd. We dwójkę łatwo ją złapiemy.

- W porządku - na myśl o świeżym kaczym mięsie zmęczenie uleciało. - Poczekam na ścieżce, ty pójdziesz w trzcinę i wygonisz ją prosto na mnie.

- Nie - zaśmiała się nieprzyjemnie. - Stary człowiek nie da rady jej złapać. Ty pójdziesz w trzcinę, a ja tu poczekam.

Oczy Zoke'a, załsnity gniewem, ale kiwnął głową. Jakie to miało znaczenie wobec faktu, że złapią kaczkę? Zgarbiony, powłócząc nogami, szedł półkołem, żeby zająć

138

od tyłu rannego ptaka. Poruszał się wolno, wiedząc, że kaczki są przebiegłe i umieją zmylić przeciwnika. Potrafią zanurzyć się w wodzie, wystawiając tylko czubek dzioba, żeby móc oddychać i pozostają w ukryciu godzinami, ku utrapieniu myśliwych i psów. Idąc za szybko, prawie na pewno przeoczyłby ją, a kaczka, usłyszawszy szelest, wymknęłaby się i pobiegła w głąb bagna. Zatrzymując się co chwilę, szedł więc zygzakami, kołował przedziwnie, ostrożnie stawiając stopy w błocie i trzcinach. Po dziesięciu minutach zaczął się zastanawiać, czy nie była to strata czasu i energii, kolejna sztuczka Edith, którą zrobiła po to, żeby rozbudzić, a potem zniweczyć jego nadzieje. Nie można było jej ufać w żadnej sprawie.

Nagle usłyszał głośne kwakanie - a więc tym razem mówiła prawdę. Samiec krzyżówki podniósł zieloną głowę, wychylił się z poszycia i usiłował wzlecieć, ale upadł niezdarnie. Rzucił się do ucieczki, trzepocząc jednym skrzydłem, drugie ciągnął po ziemi. Biegł przez trzcinę w kierunku ścieżki, na której czekała Edith. Zoke nie widział jej - trzcinę były wysokie a Edith mała, w dodatku pewnie przykucnęła.

- Idzie w twoją stronę - odezwał się.

Słyszał szelest trzcin przed sobą; kaczor nie kwakał już, instynkt nakazywał mu się poruszać w ciszy. Zoke pomyślał, że na pewno im umknie, prócz złamanego skrzydła był silny i szybki.

W parę sekund później znowu usłyszał załknione kwakanie i trzepot skrzydeł i ujrzał kilka piór unoszonych przez wiatr. Potem jego uszu doszły przekleństwa rzucane cienkim, złośliwym głosikiem. Edith złapała kaczkę!

- Trzymaj ją mocno! - rzucił się biegiem. - Trzymaj ją, zaraz tam będę i ją zabiję!

Wydostał się na ścieżkę i stanął jak wryty. Zobaczył Edith, która trzymała kaczora między nogami, szyję ptaka przyciskała

bosą stopą do ziemi. Chrząkała przy tym i klęła. Oczy kacзора wyszły na wierzch, zdrowym skrzydłem uderzał jak szalony w nogi Edith, ale ta nie zwracała

139

na to uwagi. Ciągnęła go z całej siły, ale szyja ptaka była giętka - naciągała się, ale nie chciała się złamać.

Dziewczyna zrezygnowała, nie rozluźniła jednak uścisku. Podniosła ofiarę i rękami przytrzymała jej skrzydła. Głowa ptaka opadła, z dzioba pociekła strużka krwi, ale kaczor wciąż żył.

- Daj mi go - ruszył naprzód. - Pokażę ci, jak się zabija ranne ptaki.

- Nie podchodź, Zoke! - błysk w jej oczach, sposób, w jaki się zwięzły i zabytyszczwały, zatrzymał go. - Ja zabiję ptaka. Jest mój! Westchnął głośno i patrzył. Jedną ręką trzymała skrzydła kacзора, przyciskała go do siebie, a drugą mocno ścisnęła go za szyję, tuż pod głową. Otworzyła usta, ukazując silne, białe, nieco za duże jak na jej wiek zęby. Zoke poczuł, że żołądek podszedł mu do gardła, gdyby jadł coś tego ranka, z pewnością by wymiotował. Nie chciał na to patrzeć, ale patrzył, scena miała w sobie coś hipnotyzującego.

Edith trzymała łeb kacзора w ustach, zaciskała zęby, gryzła. Rozległ się chrzęst łamanych kości, jedno skrzydło ptaka wydostało się z dłoni Edith i zwisło miętko. Dziewczyna powoli zwalniała uścisk zębów, rozciągnięte wargi miała umazane krwią. Splunęła czerwoną plwociną, starła z ust kilka zielonych piór i wyszczerzyła zęby.

- Spójrz - szydziła z niego. - Potrafię zabić kacзора lepiej niż ty!

- Wracajmy do domu - powiedział drżącym głosem. - Im szybciej go oskubiemy i ugotujemy, tym lepiej. Wszystkie są głodne - twoja siostra umiera z głodu.

- Więc niech umiera! - odparła, a jej palce zaczęły wrywać pióra z piersi ptaka. Wiatr unosił je w dal. - Ten ptak jest mój, ja go złapałam i nikt mi go nie odbierze. Odejdź, Zoke. Idź swoją drogą i poluj, jeśli chcesz. Ale - pogroziła mu palcem - jeśli zanieśiesz im jedzenie, umrzesz prędzej, niż zabiłyby cię głód, obiecuję ci. Mój ojciec jest zły na ciebie za to, że trzymasz je przy życiu.

Przewoźnik dotknął brudnej twarzy drżącymi rękami.

140

"Zaprawdę, ta dziewczyna jest dzieckiem Szatana - pomyślał - zrodzona z diabelskiego nasienia, żeby szerzyć zło".

- Odejdź! - warknęła. Obrócił się, spojrzał raz jeszcze - Edith żartocznie odrywała kawały surowego, ciepłego jeszcze mięsa; słyszał, jak młascząc przelyka głośno. Ruszył w kierunku wzgórza.

Polowanie Zoke'a nie przyniosło żadnych rezultatów. Moss obfitowało co prawda w kaczuki i gęsi, ale bez odpowiedniej siatki czy muszkietu nie było szans, aby je złapać. Królików już zabrakło; pozostał jeszcze jeden czy dwa, ale za dnia siedziały w swoich kryjówkach, wychodząc tylko po zmroku na żer. Bał się zejść na dół, na brzeg, był pewien, że w grocie czai się coś przerażającego.

Mistrz i lord byli jedną, tą samą osobą, był o tym przekonany. Przeszedł go chłód, gdy wspomniał instrukcje Ulvera tej burzliwej nocy, gdy wprowadzili na łódź kobiety. „Zabierz je na tę diabelską wyspę, Zoke, i zostaw je tam, by zdechły z głodu”.

„Wyspa diabła!” Doprawdy, był to dom Szatana i nikt nie opuści go żywy. Byli skazani na śmierć, wszyscy, na powolną, bolesną śmierć z głodu, podczas gdy ta młoda diablica zostanie przy życiu, jedyna spośród nich. Rozmyślał nad odebraniem sobie życia, nad skokiem z urwiska. Zrobiłby to, gdyby był pewien, że to będzie koniec. Ale wiedział, że nie, bo czyż lord Ulver nie wskrzeszał martwych stworzeń podczas strasznych rytuałów w zburzonej kaplicy? Istot, które nie miały prawa żyć, były dręczone i torturowane, złych stworzeń, które syczały i krzyczały w okropnych męczarniach agonii? Istot takich, jak on, uwięzionych na zawsze w czarnej otchłani piekła, wskrzeszanych dla fantazji, niewolników wiecznej ciemności. Nie, śmierć nie będzie końcem, będzie początkiem czegoś strasznego. Lepiej żyć tak długo, jak możliwe i trzymać się kurczowo niknącej nadziei.

Było późne popołudnie. Z morza nadciągała mgła; nadchodził zmrok Zoke schodził ścieżką do chaty - stary człowiek bał się wracać do domu, czuł, co go tam czeka.

141

Chwytał nozdrzami powietrze, czuł zapach śmierci. Zwolnił kroku, opuścił głowę i ciągnął za sobą zgrubiałe, pokryte bąblami, bose stopy.

Marie stała w drzwiach, jakby go wyglądała, jej zapadnięte głęboko oczy płonęły nienawiścią, a jednocześnie były zamglone smutkiem. Opierała się o framugę, była osłabiona po kolejnym ciosie. Gdy był wystarczająco blisko, aby słyszeć, rzekła chrapliwym szeptem:

- Elizabeth właśnie umarła.

W środku Zoke ujrzał zapłakaną Mary. Edith jeszcze nie było.

## Rozdział XX

Frank stał na dziedzińcu, bojąc się wrócić do domu. Czekali na niego, pijawki żądne krwi i zemsty za to, co się stało między nim a Ruth i za to, co nastąpiło później. Próby wyjaśnień nie miały sensu, i tak mu nie uwierzą. Nie było usprawiedliwienia, liczyły się tylko fakty. Czuł się jak sądzony gwałciciel, który usiłuje przekonać bezlitosnego sędziego, że ofiara go uwiodła. We właściwym czasie nastąpi śledztwo, ale nawet wtedy nie powie prawdy. „Przespaliśmy się” - to wystarczało. Seks nie jest przestępstwem - wszędzie, poza Ulver.

Myśli przerwało mu beczenie owiec. A więc - odroczenie wyroku, nie musiał jeszcze wchodzić do domu. Zmienił kierunek, poszedł do owczarni. Gdyby miał Ja-ke'a, nie byłoby tak źle. Ta wstrętna mała suka zabiła psa, rozmyślnie zaprowadziła go na bagno. Ale - przecież - nie miał ani dowodów, ani świadka. Frank był dla nich zawsze krwio pijcą i zwyrodnialcem.

Karmienie owiec zajęło mu dwie godziny; kręcił się bez sensu, ruszał się powoli, jak stary, zmęczony człowiek. Pracował, bo musiał, bo w przeciwnym wypadku zwierzęta padłyby. Farmer musiał pracować, w dobrym czy złym zdrowiu; mógł sobie odpuścić jakieś mniej ważne prace, ograniczyć się do podstawowych, ale w żadnym razie nie mógł sobie pozwolić na zaniedbanie zwierząt.

Gdy skończył, nie było już powodu zostawać dłużej poza domem. Niechętnie ruszył z powrotem. Niedbale zrzucił buty w przedsionku. Wszystkie kobiety siedziały w kuchni: Samanta, Debbie, Janet i Ellen, która siedziała gapiąc się w książkę i nawet na niego nie spojrzała. "Ty mały bękarcie!" - pomyślał.

Wszystkie naczynia były umyte i suszyły się nad zlewem. Na stole stał tylko jeden talerz, na którym leżały

143

dwa kawałki wołowiny i resztki chleba domowego wypieku. Nic więcej - byli dosłownie na granicy głodu.

- Zginął mój pies - powiedział od drzwi, powiódł spojrzeniem po zebranych, zatrzymując się na Ellen; ona jednak nie podniosła wzroku.

- O, nie wrócił do domu? - zdziwienie Samanty było absolutnie szczere, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Ellen nic jej nie powiedziała.

- On nie żyje utonął w bagnie.

- Ooo... - nie powiedziała nawet Jak mi przykro", zupełny brak zainteresowania.

- To nie był wypadek - wciąż wpatrywał się w Ellen. „Spójrz na mnie, złośliwa suczko!" - Ona zapędziła go na trzęsawisko!

- To niedorzeczne! - Samanta była oburzona, a jednocześnie kpiała z niego. - Masz bujną wyobraźnię, Frank. Ellen, zagnałaś psa na bagna?

- On kłamie, mamó - dziecko nie podniosło głowy znad książki. - On jest jednym wielkim kłamcą - nie zauważyłaś tego?

Podobnie, jak maniakiem seksualnym i mordercą!

- Ty mała... - Frank rzucił się naprzód, ale Samanta była szybsza i zastąpiła mu drogę.

- Przestań, Frank! - w jej głosie zabrzmiał ślad hysterii. - Niech cię diabli! Przewracasz świat do góry nogami z powodu psa! Jak myślisz, co ja czuję po stracie córki?!

Siadł i ukrył twarz w dłoniach, po czym znów podniósł wzrok. Wszystkie wpatrywały się w niego, nawet Ellen. - Myślę, że wszyscy działamy sobie na nerwy - rzekł. - Miejmy nadzieję, że jutro zjawi się ta cholerna łódź.

- Jeśli się nie zjawi, nie będziemy mieli co jeść - Sa-matka odparła ostro, miała wypieki na twarzy. - I tak wyruszymy bez śniadania. Chyba, że masz jakiś świetny pomysł, choć nie sądzę, wyglądasz na osobę, której potencjał umysłowy się wyczerpał. Przypuszczam, że nie ściągnąłeś Ruth na dół?

144

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Frank pokiwał głową.

- Nie ma jej tam - odparł.

- Nie ma?! - Frank czuł, że Samanta wcale nie była zdziwiona i tylko udawała zaskoczenie. Poczuł na grzbiecie dobrze znane ciarki. - Przypuszczam, że ześlizgnęła się i porwał ją odpływ?

- Coś w tym rodzaju - bo jakież mogło być inne wytłumaczenie?

Samanta spojrzała na Debbie, a potem na Janet. Ellen siedziała tyłem, wpatrzona w książkę.

- Pozostaje faktem, że musimy coś jeść - wykazywała sporą rzeczowość, jak na osobę pogrążoną w bólu. Zastanowiło go to i trochę przestraszyło. - Czy możesz zabić owcę?

- Jeśli będę musiał, ale tylko w ostatecznym wypadku. To są rodowodowe Ciuny, sprowadzane aż z Shrops-hire. Transport był bardzo kosztowny. A łódź na pewno jutro przyplynie.

- A jeśli nie?

Poczuł, że żołądek przewraca mu się do góry nogami. Wyglądało na to, że one wiedzą, że łódź nie przyplynie. Nie było żadnej przyczyny, dla której miałyby się tak stać: pogoda była świetna, a jeśli prom nie przyplynał poza rozkładem, to jutro zjawi się na pewno. Ale rozpacz była silniejsza od logiki. "Jezu, one nie chcą, żeby ta łódź przyplynęła" - uświadomił sobie.

- Musimy jeść - Samanta uparcie stawiała kwestię jedzenia, jakby w ten sposób chciała go dręczyć, jakby mówiła: "jesteś naszym niewolnikiem. Frank, zrobisz to, co ci powiemy."

- Spróbuję zapolować na gęś - musiał być rozsądny, żeby zachować równowagę umysłu. - Wyjdę wcześniej, przed świtem, może coś ustrzelę.

"Żeby jak najmniej przebywać z wami - dodał cicho. Powinienem być zostać na dworze na noc. Mógłbym to zrobić, gdyby żył Jake."

10 - Wyspa

145

- W porządku - wyniosła zaakceptowała jego propozycję. - Tu jest kolacja dla ciebie.

- Nie jestem głodny. Możecie podzielić to między siebie na śniadanie - wstał i ruszył w kierunku schodów. - Do zobaczenia rano.

Ich oczy paliły go w plecy jak rozgrzane do czerwoności żelazo. Czuł je, gdy szedł po schodach - pełne żądy i nienawiści, oskarżające go: "zabiłeś Ruth, Frank, i zostaniesz za to ukarany."

Wszedł do sypialni i kopniakiem zamknął za sobą drzwi. Wszystko było tak, jak rano, gdy wychodził: pościel rozrzucona, na poduszce wciąż odgnieciony ślad głowy Ruth. Utkwiał w nim wzrok, ale nie czuł ani winy, ani wyrzutów sumienia. Ta mała kurewka sama dopraszała się o los, jaki ją spotkał.

Uświadomił sobie, że czegoś w pokoju brakuje. Oczywiście Jake'a; Jake'a będzie mu brakowało przez długi czas. Ale było coś jeszcze, puste miejsce, które przyciągało jego wzrok.

"Och, mój Boże, zginęła strzelba! I naboje!" Nagły zawrót głowy: pokój zaczął wirować, przed oczami krążyła mglista plama. Kiedy podłoga stanęła w miejscu, zobaczył jasno - strzelby nie było.

Próbował przekonywać siebie, że schował ją gdzieś indziej - na dole w kredensie, gdzie zawsze ją trzymał, albo na zewnątrz, w zabudowaniach. Ale to nieprawda - zostawił ją tu, w sypialni, opartą w kącie o ścianę. Naboje były w kieszeni bluzy, ale wyjął je stamtąd rano i wsadził do małego kredensu. "Och, ty pieprzony głupcze - łątał sam siebie - powinieneś być zawsze nosić strzelbę ze sobą, jak cowboy z Dzikiego Zachodu".

Nie pójdzie na gęsi jutro o świcie. Chyba że odzyska swoją broń - gdziekolwiek by nie była! Obrócił się z powrotem na schody, zszedł po nich ciężkim krokiem i kopnięciem otworzył drzwi kuchni.

Samanta spojrzała zdziwiona. Smutek wyparował z jej twarzy, była poważna jak zwykle. Uniósł brwi na jego widok. Debbie i Janet siedziały przed dużym piecem, któ-

146

ry, zdaje się, wołały od dużego, kuchennego. Frank przeklął je w duchu za rozpalenie jeszcze jednego pieca; nie było aż tak zimno, żeby palić w dwóch, a opał również się kończył. Miał do zrobienia ważniejsze rzeczy niż zbieranie drewna z plaży i suszenie go na opał. Ellen wciąż czytała, nie spojrzała nawet na niego.

- Tak szybko z powrotem? - Samanta spojrzała na niego z jakimś ukrytym rozbawieniem, które go zirytowało.

- Zginęła moja strzelba! - rzekł groźnym tonem, zacisnął pięści i podniósł je do góry.

- Na litość boską, nie mów, że wyszedłeś i zgubiłeś

Ja.'

- Ktoś ją ukrał! - utkwiał oczy w Ellen. "Spójrz na mnie, do cholery - nakazywał jej w myślach - a wszystko będę wiedział, to na pewno ty!"

- Ukrał? - Samanta roześmiała się. - No, Frank, dałeś się ponieść fantazji. Twoje nerwy są na granicy wytrzymałości. Nikogo prócz nas nie ma na wyspie, więc nikt nie mógł jej ukraść.

- Ona ją wzięła - wskazała na Ellen oskarżającym palcem, który drżał z gniewu.

- To nonsens - Samanta uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Wstrętne, bezpodstawne oskarżenie. W rzeczy samej - potwarz.

Przepróż ją, proszę.

- Do wszystkich diabłów! Spytaj ją!

- Jestem pewna, że...

- Spytaj ją. Teraz!

- Dobrze - Samanta odwróciła się do Ellen. - Ellen, czy wzięłaś strzelbę pana Ingrama?

- Nie - odpowiedź była monosylabiczna, bez wyrazu. Dziewczyna patrzyła w książkę, nie podnosząc głowy.

- Proszę bardzo, oto odpowiedź na twoje pytanie.

- Ona kłamie!

- Jak śmiesz! - policzki Samanty płonęły, pierś pod bluzką podnosiła się i opadała.

- Wyjaśnijmy sobie parę rzeczy - Frank wyprostował się, jak tylko mógł. - Ta dziewczyna wczoraj ukrad-

147

ła mi naboje ze strzelby, znieważyla mnie i wrzuciła je do bagna. Potem...

- On kłamie, mamó - Ellen wciąż wgapiła się w książkę. - Nie wierz w ani jedno jego słowo, to wszystko kłamstwa.

- Nie wierzę mu - burknęła Samanta. - Prócz tego, że jest kłamcą, myślę, że jest najbardziej nieprzyjemnym człowiekiem,

jakiego kiedykolwiek spotkałam i mam nadzieję, że kiedy już wreszcie znajdziemy się na łodzi, moje oczy nigdy go nie ujrzą!

- I wzajemnie - Frank rozluźnił się trochę, puścił zaciśnięte pięści i wyciągnął palce. Bardzo mi ulży, gdy się was wreszcie pozbędę. Ale, tymczasem, nie zamierzam się dziś barykadować w sypialni, i jeśli któraś z was sobie mnie upodobała, proszę na górę. Wszystkie trzy, jeśli chcecie, zrobimy sobie pieprzną orgię!

- Ty sprośna świnió! - Samanta odwróciła się do niego plecami. - Nigdy w życiu nie zostałam tak znieważona. Nie dość, że

uwiodłeś Ruth, teraz jeszcze nas chcesz zaciągnąć do twojego plugawego łóżka. Powiem ci coś, panie Ingram - nawet

gdybyśmy musiały zostać na tej przeklętej wyspie na zawsze, gwarantuję ci, że żadna z nas nie zbliży się do ciebie!

- Kogo chcesz na to nabrać? - zaśmiał się i odwrócił w kierunku schodów. - Słodkich snów, moje panie, mam nadzieję, że nie zobaczymy się rano przed waszym odjazdem. Łódź powinna być tu w południe. Możecie być pewne, że znajdziecie się na niej!

Na górze zamknął za sobą drzwi sypialni i spojrzał na krzesło, które daremnie ustawiał przy nich przez ostatnie dwie noce.

Było stratą czasu podpierać kłamię. Było mu wszystko jedno, czy przyjdą tu, czy nie, ale jeśli przyjdą, miał nadzieję, że potem rzucą się z urwiska. Tak, jak zrobiła Ruth. Tak, jak zrobili Greenwoodowie.

Jake znów był na bagnie. Tym razem nie uciekał, wólczył się tylko bez celu, obwąchiwał trawę. Nonszalancko

148

podnosząc łapę, spoglądał na Franka, stojącego bezpiecznie na ścieżce.

- Jake, chodź tutaj, natychmiast! - próbował nadać wołaniu łagodny ton, żeby nie przestraszyć psa. Ale co się z nim działo, u

diabła! Zazwyczaj przybiegał do nogi bezzwłocznie. - Tutaj, piesku!

Jake był niefrasobliwie nieposłuszny, zajęty tylko sobą. Frank musiał się do niego dostać. Zszedł ze ścieżki i wszedł na trawę.

Była twarda. Jeden krok. Dwa. „O, Chryste, ja tonę!”

Poczuł, że bagno zaczyna go wciągać, bulgocąc wysysało jego nogę. Zaczął się szamotać. „Nie szarp się - powiedział sobie -

połóż się płasko, zachowaj spokój i spróbuj się wyczołgać. Z bagna wydostawały się bąble cuchnącego gazu. „Nie wpadaj w

panikę, cokolwiek robisz, nie wpadaj w panikę!”

Jake'a już nie było, zamiast niego pojawiła się młoda dziewczyna, jedenaste- lub dwunastoletnia, o myszowa-tych włosach, ze złośliwym wyrazem twarzy. Stała na bagnie, ale zdawało się, że jest bezpieczna.

- Myślałeś, że to Jake, nieprawdaż, panie Ingram? - jej śmiech sprawił, że ciarki przeszły mu po plecach. - Cóż, nie jestem

Jake'em, a ty teraz umrzesz. Bagno powoli cię wciągnie, to zajmie dużo czasu. A ja będę patrzeć, jak znikasz, cał po calu!

Leżał płasko, ale nie czyniło to żadnej różnicy. Trzęsawisko znów objęło jego stopy i ciągnęło go w głąb, trawa rozchyłając się przykrywała go. Próbował walczyć, ale na darmo. I, o Boże, smród był straszny, jak woń gnijącego ciała dobywająca się z otwartego grobu.

Panował lodowaty chłód.' Frank był zanurzony po szyję, został tylko podbródek i głowa. Następny ruch i zimne, cuchnące błoto zaczęło muskać mu wargi. Teraz czas na ostatni krzyk. Krzyknął, ale jego głos zagłuszył szaleńczy śmiech dziecka, dźwięk, który wibrował w mózgu. „Umieram, duszę się”.

- Frank?

To nie był głos Ellen, lecz Samanty. Aha, więc i ona

149

przyszła sztychować z niego. Nie widział jej, bo błoto sięgnęło oczu, ale jeszcze słyszał.

- Frank?

Stukanie, jakby ktoś pukał do drzwi, szybkie, natarczywe stukanie. To Samanta, pewnie Debbie i Janet też tu są. Uknuły spisek, schwytały go w zasadzkę. Udało im się.

Nagle znów zaczął walczyć, odepchnął się do góry, błoto nie było już ani zimne, ani mokre. Ciepłe i suche, rozchyliło się, a on wyrwał się z jego szponów. Znów mógł oddychać, łapał powietrze szeroko otwartymi ustami, leżał w ciemności swojej sypialni, wokół niego leżała rozrzucona, splątana pościel. Dzięki Bogu!

- Frank, obudź się!

Pukanie było aż nazbyt realne, podobnie jak natarczywy głos Samanty. Zatrząsł się i przeklinał, że nie zabarykadował się w pokoju.

- Co się stało? - głos mu drżał, był spocony - czuł nieprzyjemny zapach swego ciała.

- Mógłbyś zejść na dół? Tylko szybko!

- Po co? Dlaczego nie przyszłyście tu?

- Janet jest chora.

Znowu kłamstwa! Spuścił nogi na podłogę i sięgnął po bluzę.



- W porządku, już schodzę.

Samanta stała na podeście, blada, w cienkiej koszuli wyglądała jak duch. Bez wątplenia była przestraszona, na jej twarzy widniał ból. Słyszał ruch na dole, szybkie kroki dziewcząt.

- Och, Boże gdybym wiedziała... - Samanta zbiegała po schodach. - Jest chora, jęczy, ale nie możemy jej obudzić. Tak, jakby była w śpiączce.

„Jeśli to wszystko prawda” - pomyślał, gdy schodził za nią. Te kobiety wymyślały już najbardziej nedorzeczne kłamstwa, nie uwierzy w nic dopóki nie zobaczy tego na własne oczy.

Ale gdy ujrzał Janet, uwierzył Samancie. Leżała na kanapie, koce były odrzucone i ukazywały nagie, spoczone

150

ciało. Nie spała, ale była nieprzytomna. ^Rzucała się, jakby czuła potworny ból i cicho jęczała. Śmiertelnie blada, gdyby nie to, że się ruszała, wyglądałaby jak trup. Jasne włosy były zlepione od potu, oczy zamknięte.

Debbie próbowała napić Janet, ale woda pociekła po podbródku nieprzytomnej dziewczyny na szyję. Frank ze wzgardą spojrzął na Ellen, która najwyraźniej spała albo udawała, że śpi, z twarzą odwróconą do ściany. Chryste, sen wciąż był żywy w jego pamięci.

- Co jej jest? - Samanta była na krawędzi hysterii, ścisnęła jego ramię lodowatymi palcami. - Co możemy zrobić? Potrzeba lekarza, karetki, trzeba ją zabrać do szpitala!

- Ciebie też - natychmiast pożałował chwilowego przebłytku sadyzmu. Dziewczyna była bardzo chora i nagle spadła na niego odpowiedzialność. On był w tej chwili lekarzem.

- Trzeba przykryć ją ciepło, robić okłady na czoło i próbować dać jej trochę wody - zabrzmiało to bardzo patetycznie.

- Co to jest, Frank?

- Hm - mógł tylko zaryzykować przypuszczenie i zastanawiał się, czy je wypowiedzieć.

- Nie jestem lekarzem, ale przypuszczam, że miała wylew!

## Rozdział XXI

- Tym razem nie damy ciała morzu - gwałtownie powiedziała Marie, drżąc. - Zabrali Margaret, ale Eliza-beth nie dostaną! Zebrały się w izbie, poważne, uroczyste. Nie płakały już, stały patrząc w dół na nieruchomy kształt Elizabeth. Ciało było wyniszczone, skóra - przedtem gładka i nieskazitelna - teraz wyglądała jak pergamin rozciągnięty na sterczących kościach. Trudno było rozpoznać dziewczynę, która przybyła z nimi na wyspę tamtej burzliwej nocy.

Nieszczęśnicy, wyniszczeni głodem i dietą z wodorostów, byli tak słabi, że ledwo trzymali się na nogach. Z wyjątkiem Edith. Dziecko oczywiście zeszczupiało, ale ten nieduży spadek wagi był przede wszystkim spowodowany zniknięciem dziecięcego tłuszczu, na którego stratę mogła sobie pozwolić. W każdym razie teraz bardziej wyglądała na kobietę niż dziecko.

Dominowała nad resztą, czuła nad nimi fizyczną przewagę, a jej wyrzuty sumienia po śmierci siostry były tylko lichy odgrywaną komedią. Rozkoszowała się tą sytuacją i pogardzała nimi wszystkimi.

Zoke zakaszał. Próbował powstrzymać te ataki, ale nie mógł, zaniósł się głośnym, dudniącym kaszlem, wypluwając dwa zielone, zbite strzępy flegmy. Otrzymałszy milczącą reprimendę od Marie, opanował kaszel wydobywając z siebie tylko głucho dudnienie.

- Co zrobimy z Elizabeth? - Mary zapytała z lękiem. - Należałoby jej urządzić chrześcijański pogrzeb.

- Chrześcijański! - zjadliwym głosem wyrzuciła Marie.

- Zbyt długo byliśmy niewolnikami tak zwanego chrześcijaństwa. I cóż nam to dało? Nocami modliłyśmy się do Boga, żeby nas oszczędził. Odroczył swój wyrok, skazał nas na życie gorsze od śmierci, na wyspie, która jest siedliskiem Szatana.

Sądziłyśmy, że cierpienie jest lo-

152

sem chrześcijan. Cierpiałyśmy, a cóż jest naszą nagrodą? Powolna śmierć. Nie, moje dzieci, nie ma dla nas ucieczki. Margaret zmarła szybko i została jej oszczędzona długa agonია, która jest naszym udziałem. Ale nawet teraz nie ma ona spokoju.

Ciemne siły, którym służy wasz ojciec, wzięły nie tylko jej ciało, ale i duszę. O, tak, wiem aż nadto dobrze, że nie uciekniemy od naszego przeznaczenia, że musimy stanąć z losem twarzą w twarz. Byłoby najłatwiej rzucić się z Kotła i skończyć ze wszystkim, ale to byłby początek następnej tortury wiecznej!

Opadła na podłogę, wyczerpana swoim wybuchem, wysiłkiem, jaki kosztowało ją powiedzenie Mary i Edith prawdy. Zrobiłaby to dużo wcześniej, gdyby nie Edith, nie chciała mówić dziecku o Szatanie i jego ciemnych siłach, ale teraz nie mogła powstrzymać się ani chwili dłużej. No i Zoke - był przecież sługą lorda, złym jak sam Ulver, ale mistrz skazał go na życie w piekle razem z resztą.

- Którejś nocy, parę dni temu, miałam wizję - kontynuowała Marie. Odzyskała siły. - Śniło mi się, że mój mąż przypląnął w tajemnicy na wyspę i mieszkał w ciemnej grocie na brzegu. Żywy, a jednocześnie już martwy, sługa Lucyfera, tego, który sprzeciwił się swemu panu i został wygnany razem z nami, śmiertelnymi. Sny lorda o synu, spadkobiercy prysnęły i postanowił odzyskać córki, które odtrącił za życia. Ale wiedząc, że odrzuciłyby go, czekał na ich śmierć, zabrał je do swego podziemnego świata. To był sen, tak, ale tak realny, że mógłby być prawdą. Nasz Bóg nas odtrącił, mistrz ciemności czeka na nas. Więc nie pozwólmy z siebie kpić - po co jej chrześcijański pogrzeb? Lepiej zróbmy to, co nasi przodkowie - spalmy jej ciało. Jeśli pochłonie je ogień, nawet mój mąż nie będzie jej miał! Oddajmy ją starym, pogańskim bogom!

Słuchacze otworzyli ze zdumienia usta. Mary odnalazła dłoń matki i mocno ją ścisnęła. Zoke wyrzeźił coś, przerażony. Tylko Edith siedziała nieporuszona, patrzyła w ogień, a jej oczy błyszczały jasno, na młodych wargach błąkał się nieśmiały uśmiech.

153

- Zoke, idź, zbuduj stos pogrzebowy! - rzekła Marie z determinacją. - Nie ma czasu do stracenia. Weź te suche gałęzie, które były naszymi łózkami. - Ogień, który z nich powstanie, osuszy wilgotne drewno z plaży. Niech w niebo wzniesie się wielki słup dymu, widoczny z łądu, niech wszyscy zobaczą, że zwyciężyliśmy siły ciemności. Ogień niszczy i oczyszcza - zróbmy tak z Eliza-beth i każdą następną, która umrze.

Zoke przez resztę dnia budował potężny stos pogrzebowy z tyłu, za domem. Masywną budowlę z drewna naniesionego przez morze. Zmuszał swe słabe ciało do posłuszeństwa rozkazom pani. Męczyła go myśl o ostatecznej zdradzie i o zemście mistrza. Bał się kary, ale nie miał wyboru.

Nim ukończył wysoką na osiem stóp drewnianą budowlę, zmierzch przeszedł w głęboką ciemność. Nad suchą warstwą ułożył mokre belki i obręcze, które przyplływ przyniósł z jakiegoś rozbitego statku. Wiatr był świeży, lekki - powinien roznieść ogień po suchych gałęziach i mokre deski szybko się zajmą. Na górze zrobił platformę, żeby położyć tam ciało. Teraz stanęli wobec zadania umieszczenia zmarłej dziewczyny na miejscu wiecznego spoczynku.

Szarpali się teraz ze sztywnym, wstrętnym ciałem, które nawet po śmierci zdawało się opierać z całej siły. Konstrukcja chwiała się niebezpiecznie, gdy ciągnęli i pchali Elizabeth z jednego poziomu na drugi, ostre ciernie i ich paznokcie drapały jej nagie ciało. Naraz westchnęła głośno, jakby powietrze dotąd uwięzione w płucach nagle się uwolniło. Zoke przerażony rozdziawił usta, ale koścista kobieta popędzała go z niewiarygodną determinacją. W końcu ciało znalazło się na swoim miejscu, leżało sztywno na marach z gałęzi, patrząc martwymi oczami w nisko wiszące niebo, jakby nawet ona, zmarła, czuła obecność siły, która nad nią czuwa.

- Zapal ogień - krzyknęła Mańe, wiatr się wzmagął - i niech bogowie naszych ojców wezmą moją kochaną córkę do swej krainy!

Płomień zatrzęszczał między suchymi gałęziami. Żółte

154

i czerwone jęzory skakały i rosły, syczały, gdy lizały mokre drewno, ale nic nie było w stanie ich zniechęcić.

- Jasność ogarnęła nagich świadków, tonęli w złotej poświacie, ogrzewali drżące ciała, ale gdy gorąco się wzmogło, cofnęli się trochę. Budowlę skrył obłok dymu, ciało poruszyło się, jakby próbując uciec. Przewróciło się na bok, ledwo było je widać przez gęsty dym. Płomienie właśnie je dosięgły, lizały i czerniły niszczącymi jęzorami.

Zoke opadł na kolana i opuścił głowę. Marie i Mary stały tuż za nim; Edith zaś kilka jardów dalej - mglista, samotna sylwetka pogrążona we własnych myślach.

Słup ognia sięgnął mar, przepaliły się na wylot i przechylił się. Ciało ześliznęło się stopami w dół i spadło prosto w środek stosu. Rozszedł się mdlący, duszący zapach płonącego ciała. Elizabeth wyglądała, jak żywa; teraz widzieli jej twarz.

Poczerwiała wargi poruszały się, oczy były otwarte - błyszczały i patrzyły - utkwione w stojących na dole.

- Ona żyje! - zawodził Zoke. - Zmarła odżyła! Marie i Mary krzyczały, bo stary karzeł mówił prawdę. Mogłoby to być złudzeniem optycznym spowodowanym blaskiem płomieni, ale słyszały przecież jej krzyk, krzyk bólu i przerażenia, gdy ogień sięgnął jej ciała:

- Matko, siostry, co mi uczyniłyście? Wtrąciłyście mnie w ogień piekła!

Twarz poczerwiała, świeca stopiła się cała, zmieniając się w małą kałużę. Wciąż wyprostowana, wysuszona, nadpalona, krzyczała z bólu, a wiatr podsyczał ogień i niósł jej krzyk.

Zoke leżał twarzą do ziemi i stękał. Marie próbowała zbliżyć się do stosu, ale gorąco zmusiło ją do cofnięcia się.

- Moje dziecko, moje dziecko, wybacz nam, że ci to zrobiliśmy!

- Ona żyje - krzyknęła Mary histerycznie. - Ona nie zmarła, tylko spała, a my spaliliśmy ją żywcem!

Tylko Edith nie krzyczała, trzymała się z daleka od ognia, na granicy cienia, cicha postać, która w ciągu ostatniej godziny straciła dzieciństwo. Patrzyła ze spokoj-

155

na twarzą, na której nie widniał ani smutek, ani strach. Jej małe ciało stało wyprostowane, jakby ze wzgardą odtrąciła pokorę. Jedyna, która rozumiała i czekała.

Wraz ze dniem nadszedł deszcz, syczał na żarzących się węglach i zaczął gasić resztki pogrzebowego ognia. Kupki popiołu rozwiewał wiatr, prochy Elizabeth porываły żywioły.

Edith obserwowała zachowanie współtowarzyszy: Zo-ke spoglądał ukradkiem przez krzywe palce, Mary trzęsała się jak pies, który właśnie wyszedł z wody. A jej matka, karykatura pięknej niegdyś lady Ulver z wysiłkiem stanęła na nogi. Jej ciało było osłabione, ale duch wciąż silny i buntowniczy. Odrzuciła dumnie głowę i szeroko rozpostarła ramiona.

- Słuchaj mnie - rzekła do szarego nieba. - To wyspa śmierci, dlatego niech wszyscy, którzy tu postawią stopę, będą przeklęci, jak i my jesteśmy. Niech nikt nie opuści tego miejsca żywy i niech cierpi męki, tak jak my będziemy je cierpieć wiecznie.

Nad ich głowami rozległ się huk grzmotu, a ciemne niebo otworzyło się na chwilę, ukazując strzępiaste płomienie. Była to odpowiedź Ciemności na to, co usłyszała. Po chwili niebo znów zastłoniły chmury.

Nawet Edith rzuciła się na ziemię i, ukrywając twarz, drżała jak inni.

Zoke znów poszedł na polowanie, mimo że i tak wiadomo było, że nic nie złapie. Nie chciał po prostu siedzieć z nimi w chacie, wiedzieli o tym, ale były zadowolone, że nie muszą z nim przebywać.

Ogień w palenisku ledwo się tlił. Nie można było wysuszyć tyle drewna, aby wystarczyło na duży ogień, przy którym można by się ogrzać. Marie zakaszłała, a kiedy odwróciła się do córek, ujrzały wyraźnie po raz pierwszy, że straciła nadzieję. Ich matka nie była w stanie ukrywać tego dłużej.

- Nie miałam racji - wyszeptła. - Oddałam Elizabeth płomieniom, ale one nie były oczyszczające - to by-

156

ły płomienie piekła! Zabrały ją, tak jak zło zabrało Ma-rgaret. Wkrótce wszystkie się tam znajdziemy.

- Umieramy, bo nie mamy co jeść - odparła Edith, a w jej głosie była taka brutalność, że wzdrygnęły się. - Nie ma żadnej innej przyczyny. Zmarnowałyśmy mięso, które mogło utrzymać nas przy życiu.

- O czym ty mówisz, dziecko? - Marie domyśliła się i od razu pożałowała, że prosi Edith o wyjaśnienie.

- Elizabeth była martwa. Ciało nie było jej już potrzebne, a ty się uparłaś, żeby je spalić, zniszczyć ogniem - ganiła matkę, a jej usta skrzywiły się ze wzgardą. - Ale, co się stało, to się nie odstanie, a wiatr zabrał już popioły - westchnęła.

- Nie - szepnęła Marie. - Nie mogłybyśmy...

- Mogłybyśmy i powinnyśmy - Edith zacięła usta, a jej oczy zwięzły się ze złości. - Powinnyśmy były zjeść upieczone ludzkie mięso, a nie pozwolić mu spalić się na popiół!

Marie otworzyła usta, nie mogąc w to uwierzyć. Mary zakryła usta dłonią. Szeroko otwartymi oczami patrzyły na Edith, potem spojrzwały na siebie nawzajem. Zapadła cisza.

Po pewnym czasie Marie znów się odezwała, unikając wzroku najmłodszej córki.

- Masz rację, Edith. Oddaliśmy im Elizabeth, bo, jak się okazało, dawni bogowie służą siłom ciemności. Skazałyśmy ją na ogień piekielny, spaliliśmy jej ciało, a mogłoby dać nam siłę przetrwania. Wolałaby, żebyśmy zjadły jej mięso, jestem tego pewna. Ja też pozwalam wam zjeść moje ciało, gdy już umrę. To już niedługo.

Patrzyły na siebie nawzajem złym wzrokiem, przeklinając w duszy swą dolę, a każda modliła się, żeby przeżyła pozostałe.

Tchórzliwość rywalizowała z głodem, żołądki kurczyły się boleśnie.

- To nie może być żadna z nas - Edith pogrzebała kijem w ognisku i cienki, mały płomyk wydostał się spod mokrego drewna.  
- Co... co masz na myśli, Edith? - głos Mary był prawie niesłyszalny. Znów nie chciały usłyszeć potwierdzenia swoich podejrzeń - ale jedna z nich musiała ubrać tę straszną myśl w słowa.  
- Zoke, oczywiście! - jej śmiech spowodował westchnienie pozostałych dwóch kobiet.  
- Nie!  
- Tak! - Edith wstała i w tym momencie Marie przyjęła do wiadomości, że skończyła się jej macierzyńska władza nad pozostałymi przy życiu córkami. Teraz ona i Mary powinny słuchać tego dziecka, które przez jedną noc dojrzało i dorosło. - To musi być Zoke, jeśli mamy przeżyć. Jest stary i chudy, ale jego mięso da nam życie i siłę.  
Zapadła cisza. Siedziały patrząc w kierunku drzwi, zastanawiając się, kiedy stary przewoźnik wróci do domu.

## Rozdział XXII

- Ona umrze, prawda Frank? - spytała Samanta, oczekując potwierdzenia swych najgorszych obaw.  
Było już prawie jasno. Nocne godziny przemknęły szybko, ciemność zniknęła, tak jak i gasnące życie Janet. Na zmianę robili jej zimne okłady na chore czoło i dorzucali drewna do pieca. Tylko Edith nie uczestniczyła w tym, wciąż spała.  
- Tak - odrzekł Frank Ingram. Nie miał co do tego wątpliwości, nie mógł zaprzeczyć. Lekarz mający do dyspozycji nowoczesne leki mógłby ją uratować. Ale bez medycyny, na odludnej wyspie, nadzieja była nikła. - Możemy tylko mieć nadzieję. I się modlić.  
- Nie jestem religijna - odparła ostro, aż Frank cofnął się, porażony gwałtownością odpowiedzi. - W każdym razie, nie jestem chrześcijanką.  
- Ja też nie - wrzucił następny kawałek drewna do pieca. - Kiedyś byłem, ale po...  
- Nie jesteś, odkąd zmarła twoja żona? - uśmiechnęła się dziwnie.  
- Tak. Poczułem, że to było... takie okrutne i niepotrzebne. Gdyby istniał Bóg, na pewno nie miałby powodu, żeby... - umilkł nagle, w pokoju było szaro. Nie miał prawa mówić o swojej żalobie w tej chwili. Samanta wczoraj straciła jedną córkę, a dziś jeszcze umrze następna.  
- Nie ma Boga - w jej oczach zaśniło coś dziwnego, napawającego lękiem. Powiedziała to z niemal fanatyczną pewnością. - Wiem o tym.  
- Gdybyśmy tylko mogli utrzymać Janet przy życiu do przyplłynięcia łodzi - wiedział jednak, że nie ma na to szans - mogłaby po paru godzinach otrzymać opiekę medyczną.  
159  
- Łódź nie przyplynie. Frank. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja!  
Zimne słowa sprawiły, że dostał gęsiej skórki. Doznał gwałtowniej chęci ucieczki z tego domu, chęci, żeby biec ślepo do Kotła i rzucić się w dół, w morze. Tak jak zrobili Greenwoodowie. Bo ta kobieta mówiła prawdę; jej słowa były nielogiczne, lecz prawdziwe. Dlaczego łódź dziś nie przyplynie? Morze jest spokojne i niezależnie od tego, czy trzymaliby się rozkładu, czy nie, dziś powinni się zjawić.  
Może przewoźnik zachorował? Nawet jeśli tak, to przecież ktoś mógł zająć jego miejsce przy sterze. Stary gbur nie był niezastąpiony. Gdyby z jakiejś przyczyny nie mogli przyplłynąć, kapitan portu próbowałby telefonować i odkryłby, że linia jest zepsuta. Powinni utrzymywać kontakt z odległymi wyspami w taką niepewną pogodę, a w ostateczności nawet wysłać helikopter.  
- Przypuszczam, że nie - odpowiedział i głośno a rozpaczliwie westchnął. - Logika mówi, że przyplynie, ty, że nie. Dlaczego wierzę właśnie tobie?  
- Nie zrozumiałbyś, nawet gdybym ci powiedziała. - Zdawało się, że jej oczy stały się szkliste, w głosie była nuta smutku i żalu. Uśmiechnęła się na chwilę; ten uśmiech był inny od wszystkich, jakie widział przedtem na jej ustach. Przemknął po nich autentyczny ból.  
- Janet tego nie przeżyje - rzekła.  
Nie było nic na śniadanie, Frank wyszedł więc, żeby zająć się inwentarzem w zabudowaniach. Zostawił Samantę i Debbie pielęgnujące Janet; Ellen wciąż spała.  
"Praca jest najlepszym lekarstwem na wszystkie dolegliwości umysłu" - powtarzał to tysiące razy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Pomagało mu to funkcjonować w miarę normalnie. Gdyby nic nie musiał robić, gdyby przestał pracować, prawdopodobnie by umarł.  
Miał przynajmniej mnóstwo siana w stodole. Ludzie na wyspie nie mieli co jeść, kończył się torf i drewno na opał, a owce miały jedzenia pod dostatkiem i ciepłe schronienie. Miały szczęście.  
Skończył pracę; miał zamiar przejść się po wyspie i nie  
160  
zaglądać na razie do domu. Nie, musi jednak tam wstąpić. W takich chwilach kobiety potrzebują koło siebie mężczyzny. Nawet Samanta, i to z wielu powodów.  
Wszedł do pokoju. Samanta wkładała do pieca wiązki chrustu, Debbie podawała je z dużego wiklinowego kosza. Kobiety wykonywały zwykle, domowe czynności z nużącą dokładnością. Ellen wciąż spała na swym pościeli.  
- Jak się czuje...? - przerwał, gdyby mógł, cofnął-by te słowa. Jego wzrok padł na prowizoryczne łóżko sklecone przed piecem, koc okrywał nieruchomy kształt, który już nie jęczał i nie miotał się nieprzytomnie. Starannie ułożony, miał w sobie coś nieodwołalnego i to starczyło za odpowiedź na pytanie.  
- Zmarła godzinę temu - odrzekła Samanta nie podnosząc wzroku, grzebiąc gałęzią w palenisku. - Wiedziałeś, że tego nie przeżyje.  
Taka cholernie zimna - pomyślał - taka nieczuła. Oparł się o drzwi, przez chwilę nic nie mówił. Czuł złość i jakiś dziwny smutek. Bądź co bądź jedna mniej do kłótni i walk. "Jesteś egoistyczną świnią - powiedział zaraz sobie. Nigdy cię nie skrzywdziła, w przeciwieństwie do reszty."  
- Przykro mi - rzekł wreszcie.  
- Nieprawda - jej uśmiech sprawił, że stracił dech, a w żołądku poczuł dziwny ucisk, który nie miał nic wspólnego z głodem. -

Ale wszyscy musimy mówić pewne rzeczy w pewnych okolicznościach, prawda?

- Może łódź przyplynie - następne puste słowa.

- Nie przyplynie - przypatrywała mu się dziwnie, Debbie dołączyła do niej. - A to znaczy, że musimy sami dawać sobie radę, prawda? To jest to, co ty nazywasz... "samowystarczalnością", to ta nazwa, nie?

- Co... co masz na myśli?

- To, że musimy się tym zająć sami. Pogrzebem! Jej słowa wstrząsnęły nim. Nie mógł uwierzyć, że dobrze ją usłyszał. Jeśli tak, to był jakiś poroniony żart. Ale spojrzenie na jej twarz przekonało go, że nie, że mówiła całkiem poważnie. Frank poczuł, że pot występuje mu na czoło. Jego koszula zwilgotniała, zrobiło mu się zimno. Krew odpły-

11 - Wyspa

161

nęła z twarzy, był śmiertelnie blady. Ona jest obłąkana, wszystkie one są obłąkane, uciekły z zakładu psychiatrycznego - przecież podejrzewała to przez cały czas.

- Nie... nie możesz tego zrobić - odchrząknął. - To niezgodne z prawem!

- Na wyspie Ulver nie ma prawa. My sami je stanowimy.

- Łódź przyplynie dzisiaj, a jeśli nie dziś, to najpóźniej jutro. Zabiorą ciało na łódź. Zrobią sekcję zwłok, ustalą przyczyny zgonu. -

Miał wrażenie, że jego argumenty to tylko wymówki. Łódź nie przyplynie - ani dziś, ani jutro. Szukanie argumentów było bez sensu - słowa Samanty były tu jednym i ostatecznym argumentem. Zaschło mu w ustach, obliżał wargi.

- Musimy to zrobić - powiedziała. - Dziś. Zanim zapadnie zmrok.

Debbie kiwnęła głową. Ellen siadła na łóżku i wpatrywała się w niego z niewesołym uśmiechem, który mówił:

"pomożesz nam panie Ingram. Nie masz wyboru, musisz zrobić, co ci powiemy, bo mamy nad tobą przewagę, a ty już nie masz strzelby."

- Nie będę w tym uczestniczył - cofnął się do drzwi. - Nie będę próbował was powstrzymać, ale ostrzegam, że gdy tylko przywrócona zostanie łączność z lądem, zawiadomię o tym policję.

- Jak sobie życzysz - obróciła się i zniżonym głosem powiedziała coś do Debbie, usłyszał szorstki śmiech Ellen. Wyszedł na zewnątrz, trzasnąwszy drzwiami „Oszaleję - pomyślał - tak jak one."

Powędrował na wzgórze. Był to zupełnie dogodny punkt, z którego widać było całą wyspę, i morze wokół niej - w przypadku, gdyby łódź jednak się pojawiła. Musiał w to wierzyć, gdyby stracił nadzieję, załamałby się zupełnie.

Dzień był jasny i słoneczny, wiatr wiał dość mocno, sztorm minął, ale w każdej chwili mógł powrócić bez ostrzeżenia. Z tego miejsca Frank widział również dom. Czas powoli mijał.

162

W zabudowaniach ruszały się drobne figury, jak małe kukiełki, które zamiast kończyn miały zapalki. Znosiły wiązki gałęzi z dużej sterty stojącej na podwórzu, i układały je w stos. Wyglądały jak dzieci zbierające chrust na ognisko. Frank zadrżał - to było takie dziwaczne... Co u diabła zamierzały zrobić?

Scena zahipnotyzowała go, stwierdził, że przygląda się jej z ponurą fascynacją. Samanta miała zamiar organizować pogrzeb, czemu więc paliły ognisko? Jedna z nich - wyglądała z tej odległości na Debbie - stoczyła z drewni dwie stare obręcze, którymi obciążał brezent na wierzchu sterty drewna na podwórzu. Z pewnością miały być użyte jako olbrzymie szczapy na podpałkę: co za beczelność! Bardziej wyglądało to na przygotowywanie jakiejś nocnej uroczystości niż pogrzebu. Powinny były wykopać grób, głęboką na sześć stóp dziurę w skalistym gruncie. Chyba, że...

O, Jezu Chryste! Nagle wszystko stało się jasne, poczuł się słaby i chory, nogi się pod nim ugięły, pusty żołądek dawał we znaki. Zamierzały spalić ciało Janet!

Frank usiadł na ziemi i wpatrywał się w mokrą trawę, powtarzając sobie wciąż, że to nie może być prawdą. Ale było - i wiedział, że są wystarczająco szalone, żeby to zrobić!

Dwa trupy w dwa dni, a teraz to! Słońce powoli zniżało się po zachodniej stronie nieba, pokrywając morze migoczącym złotem aż po horyzont. Pusta, wodna pustynia, żadnej łodzi w zasięgu wzroku, nawet kutra rybackiego. Tak, jakby reszta świata stroniła od tego miejsca. Ponieważ było złe.

Łódź nie przyplynie dzisiaj, że zrobi to jutro - nadzieja również znikoma; jednak chwycił się jej z uporem, żeby nie zwariować.

Zmusił się, żeby myśleć o jutrze, o dniu, kiedy wreszcie te chore kobiety znajdą się na posterunku policji, gdzie zostaną przesłuchane. Sprzeda wyspę Ulver i wróci do Shropshire. Nie do Guilden, ale gdzieś w pobliże, na ziemię pokrytą wzgórzami, gdzie nie będzie nawet słyszeć tego cholernego morza, gdzie mógłby za-

163

cząć życie od nowa. Ale nawet to wydawało mu się mało prawdopodobne.

Znów na nie patrzył. W świetle późnego popołudnia scena była doskonale widoczna, mógł nawet rozpoznać postacie. Trzy kobiety stały podziwiając dzieło swych rąk, rozkoszowały się jego widokiem. Ellen zatarła ręce z sadystryczną radością, tak, jakby namydlała je nad miednicą. Nienormalny dzieciuch!

W chwilę później odwróciły się i zaczęły kroczyć w kierunku drzwi. Nie było ich przez kilka minut, a kiedy znów się pojawiły, niosły długi, owinięty w całun kształt, skraj prześcieradła włócił się po bocie, za nimi. Ciało było ciężkie, prawie że słyszał, jak postępują z wysiłku, gdy tak idą w stronę ogniska.

Oparły ciało o stos, po czym zaczęły pchać je w górę, jak makabryczną kukłę Guy'a Fawkesa unoszoną na swe ostatnie miejsce. Ciało było sztywne w stężeniu pośmiertnym, i oczywiście bez trumny. Ellen wspinała się na górę pierwsza, ciągnęła ciało, podczas gdy Samanta i Debbie pchały je z dołu. Któraś krzyknęła głośno, ale gdy wiatr przyniósł krzyk do Franka, był już niezrozumiały.

Teraz zwłoki leżały na szczycie chwiejnej, drewnianej budowli. Dwie pozostałe kobiety wdrapały się na górę i odwinęły całun. Zadowolone, zeszyły i stały tak, podziwiając swe dzieło.

Ellen pobiegła do domu, z pewnością miała coś przynieść, Samanta i Debbie czekały niecierpliwie. Dwie minuty, może trzy i pojawiła się w drzwiach, wybiegła, w wyciągniętej dłoni trzymała coś, co po chwili dała Samancie. Przedmiot, którego szukała. Frank był ciekaw, co to - już parę sekund potem wiedział - to zapalki. Z dolnej warstwy stosu uniósł się do góry dym.

Płomienie, na początku nieduże, rosły w miarę jak rozwiewał je świeży, morski wiatr. Ogień trzeszczał obejmując coraz to nowe wiązki gałęzi, aż dotarł do drzewianych obręczy. Dym był coraz gęstszy, czarny, wznosił się ukośnym słupem, którego nie był w stanie rozproszyć nawet dość silny wiatr. Zbliżał się do wzgórza.

164

Frank zakaszał - dym dostał mu się do płuc. Cofnął się ze szczytu. Zszedł niżej i patrzył, jak olbrzymi słup dymu tworzy grzyb i rozprzestrzenia się we wszystkie strony, jakby chciał skryć wyspę Ulver i jej zło, zgorszony istnieniem tego zakątka.

Zmierch przyszedł szybko, przyspieszył go ciężki, cuchnący paloną gumą półmrok dymu. Próbował nie myśleć, że w środku tego ognia znajduje się ludzkie ciało, że mięso i kości pieką się wydając z siebie obrzydliwy smród.

Gęsta, gryząca mgła okryła wyspę, wlaźła wszędzie - piekła w oczy, drapała w gardle. Frank włączył się po wyspie, bo nie mógł ustać w jednym miejscu, szukał świeżego powietrza, wolnego od dymu. Chodząc to jedną drogą, to znów inną, stracił zupełnie poczucie kierunku, po prostu szedł, nie zdając sobie sprawy, że mógłby na przykład potknąć się na urwisku Kotła i zabić się spadając na skały.

W głębokiej ciemności ujrzał nagle światło i bezwiednie szedł w jego kierunku, jak ćma, lecąca prosto do świecy. Stracił zupełnie siłę woli, nie dbał już, co się z nim stanie, przestał się opierać. Był jak liść unoszony na wietrze - pogodził się z losem. Rozpoznał światła - kwadratowe okna domu wzywały go z powrotem z tej zadymionej nocy. Przed oknami ujrzał kupę żarzących się popiołów; kremacja była skończona, to, co zostało z Janet, rozniosła wiatry.

Stał tam, na dziedzińcu i nagle usłyszał swój głos wołający Jake'a. "Wariujesz, Frank" - pomyślał, pamiętając, że owczarek nigdy nie wróci. Przez moment zrobiło mu się smutno. Te kobiety przyniosły śmierć na wyspę; a on nie mógł już dłużej z nimi walczyć.

Przygnębiony, osłabiony z głodu, wśliznął się do domu. Były tam, wszystkie trzy, siedziały na sofie przy oknie: Samanta na jednym końcu, Debbie na drugim, El-len w środku. Uśmiechały się do niego, jak gdyby był to koniec normalnego dnia pracy, zdawały się mówić:

"wejdz, Frank, wyglądasz na zmęczonego. Przykro nam, że nie zrobiliśmy kolacji, ale wiesz, nie ma nic do jedzenia. Zresztą my też byliśmy zajęte."

- O, jesteś wreszcie - uśmiech Samanty i nuta ulgi

165

w jej głosie rozbiły wrażenie całkiem szczerych. - Zaczęliśmy się już o ciebie martwić, Frank. Wszystko w porządku?

O, Jezusie frasobliwy!

Skinął głową. Ani słowa o kremacji, ani wzmianki na temat dzisiejszej żałoby. Siostry, córki - umierały i najwyraźniej natychmiast były zapomniane. "Cóż za potworna nieczułość, to przerażające!" - pomyślał.

W dużym piecu chlebowym trzeszczały ognie. Przez otwarte drzwiczki dobywało się ciepło; prócz tego napalone też było w małym piecu. Chciał im powiedzieć, że to marnotrawstwo opału, którego przecież brakuje, ale nie odezwał się. Po co?

- Myślę, że jutro trzeba będzie zabić owcę - rzekła Samanta zdawkowo. Jej ton przypominał mu Gillian, wtedy, gdy powiedziała: "Będę musiała skoczyć jutro do sklepu, skończyła się nam..." Kawa? To ten rodzaj podróży, z których się nie wraca. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech.

- Jesteśmy bardzo głodne - dodała Debbie.

- Umieram z głodu - rzekła Ellen.

- Dobrze - ruszył wolno w kierunku schodów. - Jutro zabiję owcę.

- Dobrze, podtrzymamy ogień w piecu chlebowym. "Głupie dziewczuchy - pomyślał - kuchenny piec całkowicie wystarczy, przecież nie upieczemy od razu całego zwierzęcia."

- Dobranoc, Frank! - dobiegł go na schodach chór głupowatych dziewczęcych głosików. Nie chrząknął nawet w odpowiedzi, pomyślał tylko: "nie zabarykaduję dziś drzwi, a nawet zostawię je uchylone, żeby oszczędzać wam konieczności pukania, gdyby znowu jedna z was umarła i będziecie mnie potrzebowały. Nagły pomysł przyszedł mu do głowy, uśmiechnął się ponuro: "otóż to, najlepiej, żebyście wszystkie umarły, wszystkie od razu, i - zostawiły mnie w spokoju."

Nie wiedział, po co zawraca sobie głowę rozbieraniem, prawdopodobnie z przyzwyczajenia. Zdejmował poszczególne części ubrania i niedbale rzucał je na podłogę, tak

166

dwie noce temu robiła to Ruth. Stał nagi, nasłuchując dobiegającej z dołu paplaniny.

W pokoju wciąż śmierdziało paloną gumą i... Zamknął okno i zasunął zasłonę. Miał nadzieję, że w nocy wiatr rozwieje tę kupkę popiołu i rozproszy ją po lądzie i po morzu. Popioły do popiołów, proch do prochu... - wydało mu się to zabawne w jakiś makabryczny sposób. To znaczyło, że musi zdecydowanie opuścić wyspę, nie mógł tu zostać. Byłoby to jakąś niewiernością - prochy Gillian zostały rozsypane na Guilden; on należał z nimi do tamtej ziemi.

Położył się na łóżku i zgasił światło. Z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny czuł się dziwnie rozluźniony. Lęki, wewnętrzne napięcie opadły nagle. Tak, jak się weźmie aspirynę, gdy boją zęby - i nagle doświadcza się ulgi tak wielkiej, że jej odczucie warte jest wcześniejszego cierpienia. Tym cudownym lekiem dla Franka stał się solenny ślub, że opuści wyspę na zawsze. Sprzedać Ulver nie będzie łatwo, nie łudził się. McBannom and Brown wpiszą sobie wyspę ponownie do rejestru a on poszuka małego gospodarstwa gdzieś w Shropshire. Pięć do dziesięciu akrów, kilka owiec, parę sztuk bydła, może trochę świń. Tylko po to, żeby się utrzymać - nie miał dużych potrzeb. To byłby luksus po tym przeklętym miejscu. Szybki odwrót! Uśmiechnął się, gdy pomyślał: "trzydzieści lat za wcześniej!" Od razu powinien był tak zrobić, ale zachciało mu się posłuchać kaprysu! W tym wieku człowiek nie powinien porywać się na takie szaleństwa.

Po pierwsze jednak, musi wydostać się z wyspy. Było śmieszne twierdzić, że łódź nigdy nie przyplynie - przecież musi. Mieli na pewno jakieś kłopoty, to normalne, tuzin możliwych przyczyn, ale na pewno jutro lub pojutrze ich zobaczy. Uściśnie dłoń gburowatego przewoźnika i poprosi go, żeby wezwał policję - żeby czekała na nabrzeżu, gdzie dopłynie łódź. Samanta i jej córki zostaną przesłuchane i prawdopodobnie oskarżone o bezprawne spalanie ludzkich zwłok.

167

Słodka zemsta! Nie dadzą rady się z tego wyłgać!

Czuł przyjemną senność. To zabawne, ale nie był głodny, być może przeszedł już granicę głodu. Dawni mnisi pościli zawsze dwa dni w miesiącu, gdzieś o tym czytał, i nie robiło im to żadnej szkody na zdrowiu.

Czuł, jak unosi go sen. Miał wrażenie, że płynie albo szybuje wysoko nad ziemią. I nagle, w środku tego lotu usłyszał ukradkowe stąpanie bosych stóp, potem przyspieszony oddech kogoś, kto z wysiłkiem wspinał się po schodach. Trwające chwilę szepty zastąpił ściszony śmiech. Stopy zaszurały po wytartym dywanie leżącym na podeście; po czym przez parę sekund panowała cisza. Nie słyszał nawet ich oddechów - tak, jakby je wstrzymały. Może nasłuchiwały.

Tym razem nie usiadł, nie wpadł wcale w panikę. Całkiem spokojny, przytomny zbierał siły w oczekiwaniu na delikatne stukanie w drzwi i słodziutki głosik sprawdzający, czy już śpi.

- Frank?

Wziął głęboki oddech, potem powoli wypuścił powietrze. "Niech poczekają chwilę - pomyślał, próbując zgadnąć, która z nich

tym razem przyszła. Prawdopodobnie wszystkie, może nawet wzięły ze sobą Ellen? Drzwi nie są zamknięte a ja nie mam strzelby."

- Wejść - zawołał i usłyszał, jak drzwi, skrzypiąc otwierają się powoli.

## Rozdział XXIII

Zoke zwlekał z powrotem do domu tak długo, jak tylko mógł. Bał się. Przerazenie rosło w nim stopniowo przez cały dzień - od chwili, gdy Edith złapała kaczo i zabiła go z sadystyczną, potworną rozkoszą. Teraz dziecko było silniejsze od nich wszystkich, kwitło, podczas gdy oni ostatecznie więdli.

Bał się też gniewu Marie, gdy wróci z pustymi rękami i nie będzie wiedział, jakież to kłamstwo wymyśliła Edith. "Pomogłam Zoke'owi złapać kaczkę, matko, ale powiedział, że nie przyniesie jej tu i zjadł ją sam. Zmusił mnie do przyrzeczenia, że nic ci nie powiem."

Nawiedziło go jakieś dziwne przecucie, sprawiło, że zwolnił kroku, gdy ujrzał blask ognia zwiastujący, że zbliża się do chaty. Było to uczucie podobne do tego, którego doznał, gdy ostatnim razem poszedł z lordem do zrujnowanej kaplicy. Nie wiedzieć czemu, poczuł czyjąś obecność długo przed tym, nim się ona zmaterializowała; zanim zły, rogaty stwór wynurzył się spośród cieni i zażądał ofiary. Z tłumu wyciągnięto krzyczącą dziewczynę, ciężarną wieśniaczkę - mogła nosić w łonie syna lorda. Jej krzyk umilkł dopiero wtedy, gdy poderżnęli jej gardło, i świeżą ludzką krwią wzniesli toast za Mistrza. Ale On nie był jeszcze zadowolony, zażądał najdelikatniejszego mięsa.

Ten sam nóż, który przeciął szyję Ester, teraz otworzył duży brzuch. Wyjęli płód z łona martwej matki. Był śliski, bezbronne skulony lśnił w świetle księżyca padającym na kamienny ołtarz.

Lord pociął jak pieczonego kurczaka, po kawałku ciepłego mięsa dla każdego, a szkielet zostawił na pożarcie ciemności. Rano na starym kamieniu nie było nic prócz plamy krwi. Sprawcami mogły być wrony, które oczyszczały z padliny mokradła, ale Zoke wiedział, że jest

inaczej. Nawet ciało dziewczyny zniknęło; Mistrz był na pewno głodny tej nocy.

To samo złowieszcze uczucie nawiedziło go teraz - przecucie śmierci. Śmierć była wszędzie na wyspie - dlatego, że we wszystkim, co tu żyło, mieszkał Mistrz. Jego głód był nienasycony; zabrał Margaret, ale potem rozeźlili go spalaniem ciała i krwi Elizabeth. Wkrótce wróci po następne z nich. Ale po kogo?

Mańe i Mary były osłabione, wyglądały jak stare wiedźmy - ich dawna piękność minęła, pozostała tylko złość. Edith siedziała w najdalszym kącie jakby nawet ona unikała ich towarzystwa. Zoke zatrzymał się w drzwiach i zwlekał z wejściem; gdyby miał więcej siły, z pewnością by uciekł.

- No i? - spytała Marie. - Gdzie jest to, co upolowałeś przez cały dzień, Zoke?

- Nie ma nic, pani. Króliki już wybiłem wszystkie, ptaki omijają moje pułapki i...

- Nie ma sprawy - zaśmiała się szorstko. - Dorzuć do ognia pod kamieniem, Zoke, płomień jest zbyt mały.

Odwrócił się:

- Ale przecież nie mamy jedzenia.

- Dorzuć do ognia. Będziemy jeść.

Zoke zadrzał i potykając się wyszedł na dwór. Po chwili wrócił z pełnym naręczem gałęzi. Drewno było już na ukończeniu, a jutro żadne z nich nie będzie miało siły, żeby nazbierać świeżych drew z plaży. Może z wyjątkiem Edith. Było przerażającym widzieć, jak rosła w siłę, podczas gdy oni słabli.

Patrzyły, jak kładzie świeże gałęzie na żarzące się węgle, słuźalczo zgina kolana, żeby rozdmuchać żar wydętymi, pomarszczonymi ustami. Dym buchnął, języki ognia otoczyły drewno. Będzie się palić, tworząc niesamowite, migotliwe kształty i niepokojące cienie.

Przykucnął, podczas gdy ogień się rozpałał, szczęśliwy, że jest mu ciepło. Patrzył w ogień, widząc niezliczone kształty, które pojawiały się i zniknęły: płonący stos rozpadający się w tysiące iskier i znów scalający się, skrzywio-

170

ne, przeklinające usta, postaci - merozpoznawalne, wijące się w wiecznym ogniu, świszczące w agonii, chwywane okrutnie, ledwo udało im się wymknąć, i groteskowego, niekształtnego starego człowieka związanego jak wiązka chrustu, płonącego, poparzonego, błagającego o szybszą śmierć - i wyśmiewanego ze wzgardą

Ogień był gorący, więc odsunął się nieco Czuł się dziwnie, jakby jego ciało usychało w spiekocie, naciągało się na starych kościach, przed tym, jak oderwie się od nich i odpadnie od szkieletu Szurnał nogami i odsunął się jeszcze dalej, poczuł, że dziecko stoi blisko niego

- Ogień jest teraz gorący, Zoke - głos Edith był matowy, jak głos jej matki - Prawie gotowy

Kiwnął głową, ale nie odwrócił się

Czuł, że kobiety ruszają się, włoką osłabione nagie ciała przez kamienną podłogę w jego kierunku Dotknęły go lodowatymi palcami, głaskały szorstką skórę z czułością, która go przerażała Jeszcze nie tak dawno drżał na myśl o ich młodych kształtach Dotknęły piersiami jego ramion, jakby klękały przed mm

Odwrócił głowę, twarze Marie i Mary były blisko jego twarzy, ich nieświeże oddechy mieszały się z jego własnym Tylko Edith stała daleko i uśmiechała się, patrząc na nich

Jego ciało zadrzało z żądz, która była tylko nostalgicznym wspomnieniem młodości Czuł słodki zapach letnich wrzosów w górskich dolinach, słyszał zadowolone brzęczenie leśnych pszczoł i szorstki dźwięk pasikoników. I widział w duszy nagie wiejskie dziewczęta, które oddawały się temu, który uchodził za czarnoksiężnika lorda Ulver, w nadziei na względy tego ostatniego.

Widział więc raczej tamte dziewczki, niż te dwie jędze, których palce sięgały jego ciała, on zaś modlił się do Mistrza, zęby dał mu siłę, ten jeden, ostatni raz Jęknął, wiedząc, że jego ciało jest zbyt osłabione, że wiek i głód zniszczyły je. Wydał z siebie jęk rozpaczny, jęk zawodu, ale ich pieszczoty nie kończyły się

Stojąc, próbowały go podnieść, wytężając się pod jego

171

ciężarem. Oparł się na nich, podskoczył i pozwolił się trzymać pionowo. Śmiały się i on też się śmiał, nawet kpiły z niego, i tak było to przyjemne. Teraz, gdy było już za późno, pragnęły go; gdy miał jeszcze dużo siły, odtrącały go ze wzgardą.

Zamknął oczy, na próżno rozkoszując się erotycznymi fantazjami, ignorując żar ognia, który go przypiekał. Szeptaly, przyzywały jego, młodego Zoke'a, żeby się z nimi złączył. Tylko tak, żeby nie było dziecka!  
Teraz palce, które go głaskały, zwarty się tak mocno, że poczuł ból, szczytnęły, wbiły się w skórę długimi, ostrymi paznokciami. Bolało to, jakby wbijano mu w ciało igły. Ręce kobiet przestały szukać dla niego przyjemności. Wyczuł nagłą wrogość i krzyknął ze strachu.

Otworzył oczy; oślepiły go płomienie, wyraźnie zbliżające się ku niemu, poczuł gorąco. Przeniesione przez kobiety, jego ciało leżało teraz na podłodze, ciągnięte w kierunku kwadratowej, kamiennej płyty, której ściany żarzyły się matową czerwienią. Dusił się, nie mógł oddychać, próbował krzyczeć, ale usłyszał tylko własny, żalony skrzek.

Podłoga go parzyła. Odkrył nagle, jak ruchliwe mogą być jego ułomne kończyny. Podskakując, padając, rzucał się to w jedną stronę, to w drugą. Ciało paliło się i czerniało. W ogniu widział twarze: dwóch starych bab i młodej dziewczyny - kpiły z niego i szydziły.

Znów ujrzał stos pogrzebowy, ale była w tej wizji jakaś koszmarna pomyłka. Krzyczał, a wargi tliły się i kopały, w szerokie nozdrza uderzał smród jego własnej palącej się skóry: "Nie jestem martwy, to pomyłka!"

Odwróciły się teraz plecami, widział więc dokładnie ich twarze. Marie i Mary nie były umierającymi z głodu wiedźmami, lecz młodymi, pięknymi kobietami - urągały mu swoją nagością. I Edith - wciąż dokuczliwa, wyła, obrzucała go obelgami, obrażała - był już bezsilny i nie mógł jej ukarać. "Nie jesteś martwy, Zoke, ale wkrótce będziesz. Spalony żywcem!"

- Darujcie mi życie!

Drzwi pieca były wciąż otwarte. Stopy na podłodze

172

już się przypalały, ale znosił tę udrękę - wciąż miał nadzieję, że się uwolni. Napiął mięśnie, wyprężył się i rzucił do przodu. Skok zdawał się trwać wieczność. Chciał dosięgnąć dręczycielek - ale nagle okazało się, że nie ma ich w tym miejscu - skryła je ściana, kwadrat rozpalonego kamienia, który go uderzył, rzucił z powrotem i cisnął na rozżarzoną podłogę.

Dźwięczny odgłos i drzwiczki pieca zamknęły się ponuro a ostatecznie, zostawiając go krzyczącego i płonącego, duszącego się smrodem palącego ciała. Głuchy i niemy, nie mógł słyszeć własnego skwierczenia, ślepy tak, że nie widział ścian żarzących się to czerwienią, to bielą.

Na zewnątrz starego pieca Marie, Mary i Edith czekały niecierpliwie, na wpół obłąkane zapachem pieczonego mięsa, który wydobywał się przez nieszczelne drzwiczki.

## Rozdział XXIV

To była Samanta i Debbie, poznał w półmroku ich sylwetki, prześliznęły się przez drzwi i zbliżyły w kierunku łóżka. Były nagie, tak jak i on. Nie spodziewał się, że będzie inaczej.

Poczuł ich zapach, intensywną woń piżma, podkreślającą zmysłowość - łowczyń, które przyszły po pewną zdobycz. Uśmiechnęły się, ukazując białe zęby, dotknęły go delikatnie miękkimi palcami i usiadły na łóżku, po jego obu stronach. Zadrżała Ostra przemowa, którą przygotował specjalnie na przybycie nieproszonych gości nagle uleciała mu z głowy. Był zmieszany, mimo że podejrzewał podstęp. Albo następną tragedię Ruth, potem Janet. Kto następny?

- Gdzie Ellen - spytał

- Śpi - Samanta roześmiała się - Dzięki Bogu, śpi. Nie potrzebne nam tutaj dzieci, prawda. Frank?

Wiedział, po co tu przyszły i tym razem nie miał zamiaru się opierać. Drżał ze zdenerwowania i podniecenia. Dwa razy został oszukany - teraz on będzie górą. Jeśli był skazany na to, by spędzić z nimi na Ulver resztę życia, był zdecydowany przynajmniej dobrze się bawić. I w żadnym razie nie zamierzał stać się ich niewolnikiem, zmuszanym do spełniania wszystkich seksualnych zachcianek.

Gdy Samanta pochyliła się nad nim, objął ją ramieniem i pociągnął w dół, na siebie. Jej usta były miękkie, ale zaskakująco zimne. Gdy język Franka wśliznął się do jej ust, jęknęła i otarła się o jego pierś. Zapach piżma był tak intensywny, że zaczęło mu się kręcić w głowie.

Prawie JUŻ zapomniał o obecności młodszej dziewczyny, gdy podczas długiego, namiętnego pocałunku z Samantą, poczuł, że Debbie głaszcze jego ciało delikatnie, lecz z po-

174

żądaniem. W chwilę później dotknęła go ustami; były równie zimne jak usta matki.

Obie kochanki jęczały cicho, rywalizując o niego, ale Samanta zdecydowała, że ma prawo być pierwsza. Odsunęła córkę i znalazła się na Franku, wygięła plecy w łuk i poruszając się miękko, krzyczała z rozkoszy.

Zapach potu mieszał się z wonią piżma; stare łóżko skrzypiało. Samanta drżała, wstrząsana spazmami rozkoszy i ścisła Franka kolanami, jak jeździec, który przelał się, że wierchowiec go zrzuci. Debbie pospiesznie i z pewną desperacją zajęła miejsce matki, gdy ta zezwoliła już na zmianę warty. Szalała na Franku, jakby brała udział w wyścigu konnym i mijający czas był jej większym wrogiem.

Frank walczył z wyczerpaniem - nie dawały mu chwili wytchnienia, przeklinały się nawzajem, półszepem za to, że muszą się nim dzielić. Wiedział, że jest skończony, były zbyt wymagające.

Uklękły po obu jego bokach, zmuszone pogodzić się z tym, że nie jest już w stanie czynić zadość ich niezaspokojonej żądzy. Ciała kobiet błyszczwały, włosy były w nieładzie, i wciąż pieściły go w nadziei, że coś zeń jeszcze wykrzeszą.

- Chodźmy na dół - wyszeptała w końcu Samanta.

- Wolałbym iść spać - odrzekł ziewając, i dodał: - po tym...

Obie kobiety zaśmiały się i spojrzały na siebie porozumiewawczo.

- Nie, idźmy wszyscy na dół - powtórzyła Samanta. - Zjemy co nieco.

- Nie zapomniałaś o czymś? - spytał Frank nieco zdziwiony. - Nie mamy nic do jedzenia. Rano muszę zabić owcę.

- Znalazłyśmy coś - szturchała go palcem, jakby drażniła się z nim po dziewczęcemu.

- Gdzie?

- Chodź i sam zobacz. Frank.

Chciał się ubrać, ale chwyciły go za ramiona, jakby żadna nie była skłonna darować drugiej całej Franka, a bała się, że tamta ukradnie go, wykorzystując chwilę nie-

uwagi. Wyprowadziły go na podest i nie puściły nawet wtedy, gdy schodzili po schodach - Samanta kroczyła przodem, Debbie zamykała pochód.

Mniejszy piec już zgwał, tylko w dużym, chlebowym, przez nieco uchylone drzwiczki widać było płonący ogień. Poczłł obezwładniająco gorąco, jak oddech ognistego smoka.

Zmieszał się mocno i odruchowo zasłonił biodra dłońmi, wiedząc, że jego policzki oblały się rumieńcem. Ellen nie leżała na swoim prowizorycznym łóżku, stała przy piecu wyczekująco, jakby coś się w nim piekło, a ona czekała, żeby to wyjąć.

„Cholera - pomyślał - powinienem być się jednak uprzeć i ubrać przed zejściem na dół”.

- Spał tak mocno, że miałyśmy mnóstwo roboty z obudzeniem go! - Samanta wybuchnęła głośnym śmiechem, jak gdyby nawet nie oczekiwała, że najmłodsza córka jej uwierzy. - No, jak tam piec?

- Już czerwony - oczy Ellen zaślniły, rzuciła na Franka ukradkowe spojrzenie. - Jest gotowy, matko.

- Świetnie - Samanta zamknęła dłoń na nadgarstku Franka, Debbie chwyciła go za drugą rękę. Ścisnęły tak mocno, że piekła go skóra.

- Otwórz, Ellen, niech zobaczy.

W jej głosie było coś takiego, że przez mózg Franka przemknęło ostrzeżenie, To nie było zwykłe: pokażmy mu, co mamy na kolację, ale zapowiedź triumfu. Trzymały go wciąż za ręce, jak więźnia. Zauważył inne, osobliwe, choć z pozoru nic nie znaczące rzeczy. Przecież nie musiały gotować w piecu chlebowym, ani go rozpałać, mały piec wystarczyłby w zupełności.

Jeśli rzeczywiście znalazły coś do jedzenia, czemu nie powiedziały mu o tym, gdy szedł spać, albo wcześniej? Nie miał pojęcia, cóż takiego mogły odkryć, więc czemu robiły z tego taką tajemnicę?

Zadrżał, zdjęty niejasnymi podejrzeniami i zebrał się w sobie. Dziecko szeroko otworzyło drzwi pieca, ukazując jego kamienne wnętrze, którego ściany były rozżarzone do czerwoności, wnętrze dorównujące wielkością dużej zamrażarce. Można by tam upiec całego wieprza lub owcę.

176

Frank spojrział do środka, ale nic tam nie zobaczył. Piec był pusty!

Nagle domyślił się, co chcą zrobić. Nie zwalniając uchwytu zbliżyły się do siebie za jego plecami i zaczęły popychać go kolanami. Usłyszał śmiech Ellen i przekleństwa, a gdy nacierały na niego, napiął mięśnie i pchnął je do tyłu z całą siłą, jaką udało mu się zebrać.

- Do pieca z nim! - zaskrzeczała Ellen z obłąkaniem w głosie i rozwścieczoną, nienawistną twarzą. - Upieczemy go i zjemy jego mięso!

Razem pchały go w kierunku rozwartego pieca; żar przypiekał go, pragnąc jego ciała tak, jak te kobiety pożądały go jeszcze nie tak dawno temu. Wbijaly w niego paznokcie z niewiarygodną siłą. Było niedorzeczne wierzyć, że są dziewczętami na kursie przewodniczek. Ellen przyskoczyła, żeby im pomóc, chwyciła Franka za włosy i ciągnęła. Krzyknął z bólu i potknął się.

- Ugotować bękart!

Przez jedną okropną chwilę pogodził się z losem - w tej chwili poddał się, zrezygnował i prawie stracił życie. Usta ognistej bestii miały właśnie go połknąć.

Nagle jednak wstąpiła weń desperacja. Poczłł olbrzymią siłę. Zatrzymał jakoś napastniczki, bosymi stopami zaparł się na nierównej kamiennej podłodze, szarpnął w tył i w tym samym czasie wyrwał rękę z uchwytu Debbie. Ścisnął dłoń w pięść, podniósł ją w górę i szarpnął z całej siły. Mignęła mu przed oczyma - wykrzywiona wściekłością i żądzą twarz Samanty - piękna przeistoczyła się w bestię. Kąciaki warg opuszczone były w dół w grymasie nienawiści. Nagle jej rysy trysnęły czerwienią, twarz w miejscu, gdzie dosięgła jej pięść Franka, zmieniła się w czerwoną miazgę. Usłyszał chrzęst kości, gdy jego kłykie zdruzgotały nos i zęby. Samanta upadła do tyłu, obracając się i krzycząc. Debbie rzuciła się i wbiła paznokcie w jego policzki. Poczłł w ustach smak krwi. Mocowała się z nim, próbując pchnąć go w tył, ale podniósł kolano i przy akompaniamencie głuchego odgłosu kopnął ją w miednicę. Złuźniła uchwyt i chwiejąc się na nogach cofnęła pod ścianę.

12 - Wyspa

177

Teraz Ellen znalazła się przy nim, jak młoda lwica gotowa walczyć do śmierci o żer dla swej matki i siostry. Krzyczała, kopała, waliła pięściami. Uderzył ją w podbródek, chwilę potem Ellen łkała, leżąc na podłodze.

Piec wyrzucał z siebie kłęby dymu, jak gdyby i on był zły, że pozbawiono go zdobyczy. Frank przenosił wzrok z jednej na drugą, kolejno: okrwawione przeciwniczki były okaleczone, ale nie pokonane, zaczynały się powoli podnosić, mamrocząc przekleństwa.

Przewaga Franka była dla kobiet zaskoczeniem. Nie przewidziały tak skutecznego oporu. Ale Frank wiedział, że to chwilowe.

Były dużo silniejsze, niż normalne kobiety - bo też nie były normalne - wiedział to aż nazbyt dobrze. Diablice domagające się mięsa śmiertelnika; jakąkolwiek fasadę stworzyły, by to ukryć, nie potrzebowały jej dłużej. Były wcielonym złem, niezniszczalnym, wiecznym - nie mógł z nimi walczyć. Jedyna szansa tkwiła w ucieczce.

Ruszył w kierunku drzwi, usłyszał jeszcze ich krzyk. Trzasnęła drzwiami i uciekał ślepo w noc, wiedząc tylko, że musi biec i skryć się - i modlić się, żeby go nie znalazły. Szansę miał znikome, ale był przynajmniej wciąż jeszcze panem swego ciała i duszy.

Dziedziniec był oświetlony światłem padającym z okna, jasny kwadrat ukazał jego oczom... bagno i coś, co wyszło z cienia i szło do Franka.

Stanął jak wryty, zdjęty przerażeniem. Ciemny kształt poruszał się nisko przy ziemi, na brzuchu - niewątpliwie jakieś zwierzę! Uszy postawione, ogonem uderzał w ziemię, jakby go witał - ależ to pies, collie!

- Jake! - krzyknął głośno, z nadzieją, ale i niedowierzaniem, i wtedy zobaczył, że to naprawdę owczarek. Nie mógł się mylić - zwierzę nad lewym okiem miało białą plamkę. To było niemożliwe: widział przecież psa wciąganego przez bagno na Moss!

Cud, po prostu cud - ale nie miał czasu zastanawiać się nad tym. Wystarczyło, że Jake był tutaj żywy. "Och, Boże, jak bardzo cię potrzebuję, psie!"

178

Jake zatrzymał się, odwrócił, podbiegł kilka jardów, zaczekał.

Frank rzucił się do biegu. Jedno spojrzenie w tył wystarczyło: drzwi domu były otwarte, ukazywały krwawe twarze Samanty i jej córek. Zobaczyły go, wrzasnęły przerażająco, w ich krzyku był gniew i żądza krwi. I może głód?

Jake susami poruszał się naprzód, białe plamy na ciele zwierzęcia wskazywały drogę Frankowi. Owczarek biegł, potem zatrzymywał się i czekał, a gdy Frank zrównał się z nim, znów ruszał naprzód. Podążali dobrze znaną ścieżką, którą prowadzili zwykle owce, potem zeszli z niej i biegli po trawie, której nie sposób rozpoznać, jako że wszędzie była taka sama. Frank ślepo



poddał się dyktatowi Jake'a, nie wiedział zupełnie, gdzie jest.

Nagle usłyszał dalekie krzyki swych prześladowczyń. Wyły jak polujące wilki, które zwęszyły uciekającą ofiarę, przerażająco niehumanicznie. Zdawało mu się, że są daleko, i że zgubił pościg. Potrzebował teraz jakiejś kryjówki, żeby doczekać świtu. Jutro przypłynie łódź - nagle był tego pewien. Stary przewoźnik dobieje do zniszczonego nabrzeża, z fajką w stwardniałych ustach i być może nawet nie pofatyguje się, żeby wyjaśnić spóźnienie. Wszedłby na pokład razem z Jake'em od razu po przybiciu łodzi i natychmiast by odpłynęli. Bez chwili zwłoki wyniesie się stąd i nie wróci nawet po rzeczy. Wyspa Ulver jest domem żyjących trupów.

Zawiadanie policji było bezcelowe. Ruth i Janet nie umarły; były martwe od dawna, a "pogrzeb" był tylko mydleniem mu oczu. Miały wyspę na własność; McBannon and Brown mogli wystawić ją na sprzedaż, ale nigdy nikt nie kupił jej naprawdę. Gdy wróci do Shropshire, będzie musiał zacząć zupełnie od nowa. Był wdzięczny za to, że żyje; poszuka jakiejś pracy z zakwaterowaniem, na farmie, rzecz jasna.

Nie słyszał już nic prócz bliskiego huku fal - kobiety na pewno zaprzestały pościgu. Nie chciał o nich myśleć, ani o tym, że mógłby zostać pokrojony na kawałki i zjedzony na obiad.

179

Jake zaszczekał niecierpliwie i podbiegł do niego, po czym znów rzucił się naprzód.

- O.K., facet, tylko złapię oddech. Prowadź i znajdź nam miłą, wygodną kryjówkę, w której można by przeleżeć do rana. Dla ciebie i dla mnie.

Owczarek biegł. Frank przez chwilę jeszcze widział białą plamę, ale zniknęła nagle. Wokół tylko czarna noc. Frank zrobił krok naprzód - Jake prawdopodobnie zniknął w jakimś obniżeniu gruntu, może w małej dziurze? A może znalazł właśnie kryjówkę?

- Gdzie jesteś, piesku?

Nagle Frank się potknął, stracił grunt pod nogami, spadał w bezdenną ciemność. Nabierał prędkości, koziółkował, wirował i obracał się; słyszał fale rozbijające się o skalisty brzeg, czuł lodowato zimny prysznic na nagim ciele.

"Kociu, o mój Boże!" - zebrał siły i modlił się, żeby koniec był szybki, żeby stracić przytomność, zanim utonie.

Nie zauważył ironii losu w tych ostatnich sekundach życia. Słyszał znów głos przewoźnika: "Ulver nie chce być sprzedana, bo umarli trzymają ją dla siebie. To, co kiedyś stało się na wyspie powraca, za każdym razem, nie tylko 40 lat temu.

Greenwoodowie nie opuścili wyspy, oni zginęli!"

Greenwoodowie - z nimi było tak samo. Uciekli z łóżka w środku nocy i rzucili się z Kotła.

Frank wpadł w fale i zanurzył się. Zanim stracił świadomość, poczuł, że otarł się o coś miękkiego. Sięgnął, chwycił się mocno. Wiedział, że to Jake.